

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000296996

Napis na gubese
stary

W. Gomulicki

W. Gomulicki

Opowiadania
o starej
Wamnie

prośbę do Jego Magnificencji o wy-
obowiązki w niniejszym wydziale
do prac lekcyjnych, skrytka podane
do pracy. W/m prac. Biblioteczne

Wniosek

Jego Magnificencja
Rektor Politechniki Krakowskiej
Prof. dr hab. inż. Bolesław KORDAS

Kraków, dnia 29 października 1980

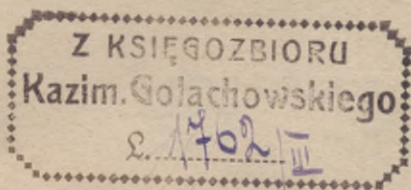
Handwritten signature

I/78

Przebieg... Golachowski

Nowy Sącz ul. Kościuszki l. 11/1 p.

OPOWIADANIA
O STAREJ WARSZAWIE



Prof. Kazimierz Gołachowski
Nowy Sącz ul. Kościuszki ł. 11/1 p.

WIKTOR GOMULICKI

OPOWIADANIA O STAREJ WARSZAWIE

WYDANIE NOWE,
POPRAWIONE, ROZSZERZONE
I OZDOBIONE ILUSTRACYAMI.

TOM I.

W. G.



Z KSIĘGOZBIORU
Kazim. Gołachowskiego
L. 1962/III

WARSZAWA—1913

NAKLAD I DRUK ZAKŁ. GRAF. TOW. AKC. S. ORGELBRANDA
S-ÓW. SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDEGO I S-KI
W WARSZAWIE. WELWOWIE H. ALTENBERG, G. SEYFFART,
E. WENDE I S-KA z ogr. p.



~~I-26398~~



1-301684

BPK-B-138/2017
Akc. Nr. ~~K-2541~~ 57.

I.

O WARSZAWIE JAKO STOLICY KRAJU.

W ostatnim dziesięcioleciu XVI-go w. spełnił się fakt w dziejach Warszawy najważniejszy: została stolicą Rzeczypospolitej.

Nie można z bezwzględną ścisłością oznaczyć roku, w którym to nastąpiła. Ani *Volumina Legum*, ani dziejopisowie współcześni, ani nawet potoczni pamiętnikarze nie o tem nie mówią wyraźnie. Ważny wypadek jest jakby umyślnie przez wszystkich przemilczany.

W braku innych danych, data sprowadzenia się Zygmunta III-go do Warszawy w r. 1596 uważana bywa za datę przeniesienia stolicy. Tę datę zapisał w swem dziełku pierwszy z historyków Warszawy, Gołębiowski. Za Gołębiowskim powtórzył ją Sobieszezański; za ostatnim prawie wszyscy o Warszawie piszący.

Nie wytrzymuje wszakże krytyki ani ta data, ani popierać ją mający argument. Zygmunt III przybył w r. 1596 do Warszawy i w niewygodnym Zamku warszawskim osiadł nie dla tego, aby miał przenosić z sobą — gdzie? w rękę, czy w szkatułce podróżnej? — stolicę, lecz z tego prostego powodu, że chwilowo, wskutek spalenia się zamku w Krakowie, był pozbawiony przystojnego dachu nad głową.

Co do nas, idziemy za Weinertem, który datę ustolecznienia Warszawy przeniósł na rok 1598. Dlaczego to uczynił i dlaczego uznaliśmy jego hipotezę za najzasadniejszą, powie się o tem w miejscu właściwem.

POPZĘDNIĘ STOLICE POLSKI.

Gdy Popiel w chwilach okropnego zgonu
Karzącej zbrodnie doświadczył prawicy,
Naród, chcąc znaleźć następcę do tronu,
Zebrał się w pięknych równinach Kruświcy...

W Kruświcy mieszkał Popiel; pod Kruświcą obrano Piasta — Kruświca zatem była pierwszą stolicą Polski.

Z tamtych to stron, z nad brzegów szeroko rozlanego Gopła, gdzie osiedli byli Polanie, wywodzi swój ród Polska. Tam jej gniazdo i tam jej kolebka. Dla uczczenia tak ważnej pamiątki, gdy już z chaosu nazw in-

nych wyłoniło się ostatecznie nazwisko Polski, całą ową dzielnicę nazwano Wielką Polską.

Ale tę cząstkę pochłoniął wkrótce rozrastający się organizm państwowy.

Mała, skromna, na uboju leżąca Kraświca nie mogła pysznić się długo swą godnością. Ustąpiła ją niebawem innemu miastu, które, że było siedzibą *kneziów*, nazwano Gnieznem.

Znaczenie i historia Kraświcy były przez pół legendowe; Gniezno i jego dzieje są już najzupełniej historyczne. To miasto, dziś nieznaczne i w obszarach Królestwa pruskiego niknące, odgrywało w swoim czasie rolę tak ważną, że czuło się w prawie narzucać swą nazwę państwu całemu.

Mówi o tem Bartoszewicz: „Oda, wdowa po Mieszku, bawiąc na wygnaniu w Rzymie, sama dobrze nie wie, jak ma nazwać to nowe państwo, które postanowiła darować stolicy apostolskiej; nazywa je tedy poprostu—*krajem Gnieźnieńskim*. Nie nazywa go Polską, Polanami, Polakami nie byli wtenczas inni Lechici, tembardziej Chrobaci, ani Mazury, ani Ślązacy, ani Kujawianie, ale wszyscy prawie należeli do jednego pana, do księcia, czy króla polskiego, który stolicę swoją założył w Gnieźnie i utworzył wielkie państwo Gnieźnieńskie“.

Grób św. Wojciecha i odwiedziny cesar-

rza Ottona, uznającego króla w Bolesławie, dodają Gniezna powagi i blasku. Tu koronują się królowie polscy, aż do Bolesława Śmiałego. O tym ostatnim niewiadomo napewno, czy kładł koronę w Gnieźnie, czy też w Krakowie. W każdym razie, od ucieczki jego i powstałego ztąd zamieszania, rozpoczyna się upadek Gniezna.

Już nawet za rządów Bolesława wychodzi na pierwszy plan Kraków. Król często w nim przebywa, bo ma ztąd blisko do krajów, z którymi wiążą go stosunki polityczne.

Potem, gdy już szala losów przechyliła się stanowczo na rzecz Krakowa, spostrzegamy nagle niezwykle zjawisko: stolica zaczyna być pojęciem względnem, nieprzywiązaniem stale do jednego miejsca. Zjawisko to powtórzy się i później i będzie jednym z osobliwych znamion politycznego ustroju Polski — tym razem jednak jest wyjątkowo rażące.

Władysław Herman i Bolesław Krzywousty prawie nieustannie przebywają w Płocku. Uważając za stolicę to miasto, które jest siedzibą monarchy, musimy ów tytuł, za panowania obu wspomnianych królów, przyznać — Płockowi. Nawet po śmierci, Herman i Krzywousty nie rozłączają się ze swym ulubionym grodem; ciała ich, jak wiadomo, spoczęły w podziemiach płockiego tamaru.

Przed śmiercią jednak Bolesława, Kra-

ków bierze ostatecznie przewagę nad innymi miastami i staje się głową państwa. Tą godnością obdarza go akt podziału kraju pomiędzy synów Krzywoustego. Stary król, wedle wyrażenia Bartoszewicza „rozdzielając, spaja“. Cztery pozostawił działy, a w nich cztery stolice—ani Płock jednak, ani Gniezno, ani Sandomierz, nie mają królować krajowi, lecz jeden Kraków. Ma on być punktem środkowym, skupiającym promienie odrębności narodowej wielkiego państwa.

Kraków zatem w r. 1139 zostaje stolicą Polski.

W mieście podwawelskiem królowie polscy koronują się, mieszkają i na sen wieczny kładą. Tu odbywają się sejmy, stanowią prawa. Tu jest ognisko władzy, bogactwa, oświaty. Tu odprawiają się wjazdy uroczyste, wesela królów, zabawy rycerskie i mieszczkańskie uczty, których sławą rozbrzmiewa cała Europa. Tu jest mózg i serce narodu.

Ale było już przeznaczeniem Rzeczypospolitej, aby nigdy na ruchomym jej granic nie zupełnie trwałego nie wyrosło. Co pewien czas, zjawiały się siły dla nowej stolicy wrogie, podkopując jej powagę i znaczenie.

Przedewszystkiem do walki wystąpiła dawna, zdetronizowana potęga: Gniezno. W Gnie-

nie było ognisko władzy duchownej, mieszkał tam najwyższy przedstawiciel jej w Polsce — arcybiskup. Władza arcybiskupa gnieźnieńskiego rozciągała się na całą Lechię Chrobacę. Był on na swój sposób władcą kraja, władcą potężnym, potężniejszym niekiedy od monarchy świeckiego.

O znaczeniu arcybiskupa w ówczesnej Polsce pisze wspomniany już historyk: „Wpływ jego sięgał do wszystkich księstw, a był to wpływ bardzo silny, jak wogóle Kościoła w wiekach średnich, bo stawał się arcybiskup najwyższym stróżem wiary w całym narodzie i miał na każdą potrzebę w razie ostateczności straszliwą kłatwę... Arcybiskup więcej znaczył, niż najpotężniejszy książę Lechii, a nawet, niż sam najpierwszy godnością książę krakowski... Kiedy najpotężniejszy książę znaczył tyle, ile mógł, arcybiskup znaczył tyle, ile chciał... Gdy władza świecka rozprysła się i nie utrzymała w Krakowie, władza duchowna, płynąca z wiary, z ustawy Boskiej, ciągle odzywała się z Gniezna językiem nadziemskiej sprawiedliwości i siły“.

Było więc Gniezno przez czas długi jakby drugą stolicą Polski i wiodło cichą walkę współzawodniczą z Krakowem. Przy sprzyjających okolicznościach, walka mogła łatwo stać się głośną i niebezpieczną. Okoliczności znalazły się.

Przemysław, książę wielkopolski, wzrósłszy w potęgę, zapragnął stworzyć nową, silną i nierozdzieloną Polskę. Punkt ciężkości tej Polski przesunięty miał być z południa na północ, z Chrobacyi do kraju najbardziej i najrdzenniejszego: do Wielkopolski.

Z chwilą, gdy arcybiskup Świnka ukoronował Przemysława na króla polskiego w Gnieźnie, ten gród wydarł Krakowowi pierwszeństwo i stał się napowrót stolicą kraju. Liczono, że Chrobacya zgodzi się sama ze spełnionym faktem, że siła narodowa skupi się w stronie pomorza i przeciw będzie na północnych Niemców, że wreszcie Kraków uzna się dobrowolnie pokonanym i przyjmie z rezygnacją drugorzędną rolę miasta książęcego.

Stało się inaczej. Wielka idea, zapowiadająca zupełny przewrót w politycznym organizmie Polski, upadła całkowicie ze śmiercią Przemysława. I jakkolwiek Wacław czeski również w Gnieźnie włożył na głowę przywłaszczoną koronę, nie to już Gniezno nie pomogło.

Koronacya Łokietka w Krakowie zerwała w jednej chwili cały, wytrwale snaty wątek.

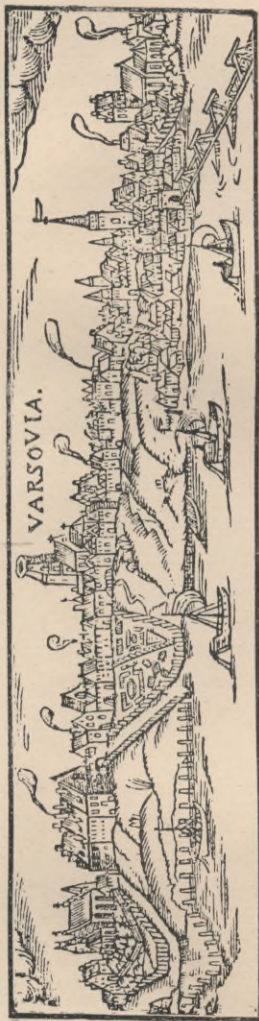
Kazimierz Wielki wyżej jeszcze podnosi i silniej utrwała królewskość Krakowa. Gniezno nigdy już odtąd wależyć o przewagę nie próbuje, arcybiskup zaczyna bywać tam go-

ściem coraz rzadszym; w końcu przenosi się nawet całkowiec do Łowicza.

Długo trwa niezem nieprzyémiona świętność Krakowa — aż za Jagiellonów występuje na widownięć inny gród, żadny znaczenia: Wilno.

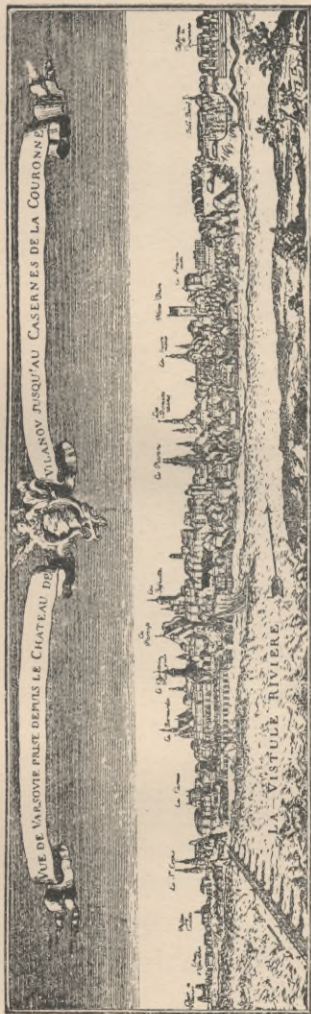
Wiele form politycznych, prawnych, obyczajowych rozdziela, w początkach zwłaszcza, Koronę od Litwy. Król polski jest tylko wielkim księciem litewskim, i w tym podwójnym charakterze przebywać musi kolejno w Krakowie i Wilnie. Plemienne ambicje, występujące często jaskrawo z jednej i drugiej strony, zwiększają i pogłębiają dualizm. Rozumie się, że wiele spraw Litwy tylko w Krakowie załatwiać się daje—co znów dla Litwinów jest rzeczą z różnych względów niedogodną. Podróżować wogóle nie było wówczas łatwo, cóż dopiero podróżować z jednego krańca wielkiego państwa na drugi! Przytem „przyjaźń przyjaźnią, interes interesem...” Dla interesów zaś zawsze lepiej, gdy są między „swoimi” załatwiane.

Wynikają ztąd pewne niechęci, które zaspakają dopiero ustanowienie wspólnych sejmów. Sejmy odbywają się w Horodle, Parczowie, Łomazach—ale i one chwilami pożądaney jedności nie tworzą. Aleksander Jagiellończyk zaniedbuje widocznie Koronę dla Litwy, Kraków dla Wilna. Koronacya tego



NAJDAWNIEJSZY WIDOK WARSZAWY.

(Z drzeworytu przy „Konstytucjach sejmowych” z roku 1586).



WARSZAWA ZA STANISŁAWA AUGUSTA.

(Ze współczesnego sztychu).

króla odbywa się jeszcze w Krakowie, ale po-
grzeb już w Wilnie.

Być może, iż to wówczas zrodziła się
idea przeniesienia stolicy w miejsce neutral-
ne, w środku obszernej monarchii leżące;
a w takim razie i przyszłe losy Warszawy
rozstrzygnęły się już wówczas w teorii.

Za Zygmunta Starego ta idea przycicha.
Ale już syn jego wprowadza ją częściowo
w wykonanie, stroniąc coraz bardziej od Kra-
kowa, przenosząc się ustawicznie, z majesta-
tem swym, z miejsca na miejsce. Po wielu
rachach wahadłowych z południa na północ
i odwrotnie, zatrzymuje się Zygmunt August
nieruchomo w samym środku obieganego łuku:
w Warszawie.

Batory całą siłą swej energicznej, rycer-
skiej natury ciąży ku północy, rozbijając naj-
częściej w Grodnie swój namiot koczowniczy.

I wreszcie za pierwszego z Wazów speł-
nia się fakt, będący z wielu względów konie-
cznością dziejową: berło przewodnictwa od
Krakowa przechodzi do Warszawy.

WARSZAWA PRZED ZYGMUNTEM III.

Nie przenosi się stolicy do pierwszej
lepszey, źle zabudowanej, niewygodnie urzą-
dzonej mieściny. Wybór padać musi na mia-
sto porządne, które pod pewnymi względami

tamtemu dorównywa, a pod innymi je przewyższa.

Takiem miastem w stosunku do Krakowa była Warszawa w dobie, poprzedzającej bezpośrednio jej wyniesienie do godności stolicy.

Przez czas długi ona zajmowała miejsce poślednie, drugie po Płocku, nawet po Czersku. Ale już książęta Mazowiecy (zwłaszcza Janusz I) zaczęli pracować nad jej rozwojem. Ten był powolny, lecz ciągły. Za ostatnich książąt miasto cokolwiek upadło, po weeleeniu do Korony, rozpoczął się dla niego żywszy jeszcze i świetniejszy okres rozwoju.

Warszawa staje się od tej chwili ulubienicą polskich monarchów.

Zygmunt I, oprócz rządu całego księstwa, którym był wojewoda Mazowiecki, ustanowił dla Warszawy oddzielny starostę. Wszystkie przywileje, przez książąt nadane, potwierdził; dodał też do nich nowe, o które mieszczanie upraszali. Jedyne Żydzi uskarżać się mogli na króla, bo ich z miasta zupełnie wydalil. Było to ^{przez} zresztą tylko wznowienie dawnego zakazu, który, jak zwykle u nas, poszedł z czasem w zapomnienie.

Więszym jeszcze afektem darzyła Warszawę Bona. Po śmierci męża, przemieszkiwała w niej prawie nieustannie. Tu spotkała ją też publiczna poniewierka: otrąbiono na



ZIEMOWIT, KSIĄŻĘ MĄZOWIECKI.
(Z rysunku Jana Matejki).

Rynku Staromiejskim, aby nikt z mieszczan nie dawał podwód królowej, uciekającej z Polski z ogromnymi skarbami. Zakaz później cofnięto, i długa karawana wozów wytoczyła się z miasta, zabierając Zygmontowi i Rzeczypospolitej prawną ich własność.

Serce Zygmunta Augusta przechyliło się całkowicie na stronę Warszawy. Do Krakowa żywił król niechęć—dla tego może, iż nie lubiła go Barbara. Wszakże nawet grobom wawelskim poskąpił ciała ukochanej.

Zamek warszawski, częściowo przerebiony, był świadkiem szaleństw, melancholii i czarnoksiężkich praktyk nieszczęsnego monarchy. Nie można bez bólu serdecznego czytać, co pisze o tem Orzelski. Jedna cytata wystarczy.

„Po wieszery — opowiada — poszedł król do starej znaehorki Koryckiej. Poprzedzał go Mikołaj Mniszech ze świecą. W komorze piwniczego czekała na nich baba. Znajdowała się też tam duża stągiew napełniona wodą. Korycka, zacierpnawszy łyżką z przyniesionej czary, dała się napić królowi. Potem wszystkich oddaliła i pozostała z nim sam na sam. Król z polecenia jej rozebrał się i obmył chore i wychudzone ciało w stągwi. Po rozmowie, która zabrała nieco czasu, towarzyszący Mniszechowi Czarnotulski wyszedł z Korycką nad Wisłę, w towarzystwie

piwniczego i jednego pacholka, i widział, jak Koryeka wylała ze stągwi wodę do rzeki, jak prała bieliznę królewską, jak wyrwała z niej nitkę i schowała ją potem...”

Działo się to przed samym wyjazdem Zygmunta do Knyszyna. Król bawił wówczas w Warszawie od września 1569 do czerwca 1572, więc blisko przez trzy lata.

Niemało przywilejów otrzymało miasto od tego dobrego dla wszystkich, nawet dla wrogów swych, monarchy. Ale najważniejszymi darami, które dostało od niego, były: uczynienie Warszawy miastem sejmowem i wybudowanie mostu stałego na Wiśle.

Most poczytywano za cud mechaniki. Kosztował on niemało zachodów i niemało pieniędzy. Pomysł, materiał, robota były krajowe, co zapisaćby można na chwałę kraju, gdyby nie to, że ani pomysł, ani materiał, ani robota oczekiwaniom nie odpowiedziały...

Mówi Sarnieki (w rękopisie p. t. „Księgi Hetmańskie“, cytowanym przez A. Grabowskiego w „Ojezystych spominkach“), że król naśladował swą matkę, która na granicy włoskiej, w Pontebii, most z odpowiednim napisem postawiła. Most, wystawiony przez Zygmunta, był „na podziwienie misterny, ale król, nie dokończywszy go, umarł, *fatis sic volentibus*, podobno aby się przypowieści dawnej dosyć



SIGISMVNDVS AVGVSTVS DEI
gratia Rex Poloniae, magnus Dux Lituaniae, Russiae,
Prussiae, Masouiae, Samogitiae &c.

ZYGMUNT AUGUST.
(Podług współczesnego sztychu)

stało w tej mierze o polskich mościech: cze-
ski post a polski most, wszędzie nierząd“.

Sarnieki pisał tak za Stefana Batorego, jakby przewidując żałośny koniec wielkiego przedsięwzięcia. Już na wiosnę 1603 roku lody most rozbiły. A krzepko musiał być budowany, skoro pale, w dno rzeki powbijane, do naszych dni dotrwały.

Dzięki Braunowi, autorowi wielotomowego „*Theatrum Urbium*“, wiemy, jak to arcydzieło inżynierskie ojców naszych wyglądało.

Henryka Walezyusza ani myśl, ani noga w naszym mieście nie powstały. Zupełnie to naturalne. Ten król nie był stworzony dla Warszawy, ani Warszawa dla tego króla.

Za to Stefan Batory częstym jest w Warszawie gościem. Odwiedza ją najpierw zaraz po koronacyi, następnie dla połączenia się z Anną Jagiellonką; wreszcie, aby przewoźnić w pięciu sejmach, które się tu za jego rządów odbyły. Na sejmie w roku 1578 odbiera hołd publiczny od Jerzego Fryderyka, który jako zarządca Prus lenność swą uznaje.

Z przywilejów, nadanych Warszawie przez Batorego, najważniejszy jest ten, którym miasto nasze zrównane zostaje w prawach z innymi miastami Rzeczypospolitej.

Zobaczmy teraz, jak wyglądała Warszawa w chwili, gdy wola Zygmunta III, a ściślej

mówiąc: potrzeby państwa — wyniosły ją na stanowisko głównego miasta w kraju.

Już sama liczba kościołów wskazuje, że mamy do czynienia z grodem poważnym. Było ich wówczas dziesięć:

1. kościół Ś-go Jana, parafialny, z kolegiatą przeniesioną z Czerska;

2. kościół Ś-go Jerzego, Kanoników Regularnych, przy ulicy Świętojerskiej (dziś nieistniejący), z cmentarzem, na którym chowano ciała straconych;

3. kościół i klasztor księży Augustyanów przy ulicy Pivnej, której ta właśnie połowa nazywała się wówczas ulicą Ś-go Marcina;

4. kościół Ś-go Ducha, czyli księży Paulinów, za bramą Nowomiejską;

5. kościół Panny Maryi, parafialny, pod względem dawności drugi z rzędu po Świętojańskim;

6. kościół i klasztor księży Bernardynów za bramą Krakowską.

7. kościół w Ujazdowie, parafialny (parafia przeniesiona z Solca przez Annę Jagiellonkę);

8. kościół Ś-go Krzyża przy drodze do Ujazdowa;

9. kościółek Świętej Trójcy za miastem, przy zbiegu dzisiejszych Nalewek i ulicy Długiej;

10. kaplica Ś-go Krzyża w polu, przy drodze, stanowiącej przedłużenie dzisiejszej ulicy Zakroczymskiej, z ementarzem dla „zapowietrzonych“, czyli zmarłych na zarazę morderową.

Stara Warszawa (*Antiqua Civitas Varsoviensis*) była „pestką“ i „jądrem“ miasta całego; nie była jednak całym miastem. Obok niej wyrosła i rozrosła się młodsza jej siostra: Nowa Warszawa (*Nova Civitas Varsoviensis*).

Te dwa miasta stanowiły jedność, jako dwie części jednej całości, na pozór wszakże każde istniało samodzielnie. Lustraeye z owych czasów (dochowały się dwie: z 1564 i 1569 r.) tak o nich mówią: „Są dwie mieście, od siebie rozdzielone, jedno murowane, które zowią Stare-Miasto, a drugie Nowe Miasto drewniane; każde z nich swego prawa używa i osobny urząd mają“.

W pierwszej z dwóch lustracyj, która jest też i najpierwszą z dopełnionych w Warszawie, zapisano w Starej Warszawie następujące ulice: Rynek, Nowomiejską, Krzywe Koło, Świętego Jana, Grodzką, Bernardyńską, Świętego Marcina, Piekarską, Piwną, Żydowską, Dunaj, Freta, Waliszewo, Rybitwię, Rynek Przedmiejski, Świętokrzyską (nie trzeba jej brać za jedno z dzisiejszą ulicą tego nazwiska), Łazarzowską, Przeczną, Długą. Oprócz tego wymienione tam zostały miejscowości: „za

Mniskami“, „na Bykowiec“, „za Świętym Krzyżem“ oraz przeróżne „folwarki“.

Dwa zamki posiadało miasto: jeden po księżętach Mazowieckich, drewniany, z jednym tylko skrzydłem murowanem, położony nad Wisłą, która wówczas też pod nim płynęła; drugi w Ujazdowie, murowany, z pięknym parkiem, gdzie przemieszkiwała bogobojna wdowa po Batorym.

Na środku Rynku Staromiejskiego stał Ratusz z wysoką wieżą, na której szczycie wykręcała się blaszana Syrena. Ratusz był otoczony murowanymi kramnicami, gdzie sprzedawano towar wszelaki. Piwnice pod Ratuszem służyły wyłącznie do sprzedaży wina i piwa (wódki dostać można było tylko w aptece). Piwo „piątkowskie“ miało przywilej, że tylko tu i nigdzie więcej sprzedawane być mogło.

Kamienice w Rynku i w ulicach przyległych były piękne, ozdobne, godłami różnymi upstrzone. Z tego, co dziś tam się ogląda, nawet przybliżonego pojęcia mieć o nich nie można. Czoła ówczesnych domów, będących własnością bogatych mieszczan, były strojne, malowane, wyłaceane, posągami i posążkami ostawione. Wewnątrz nie brakło dostatku i wykwintu, a przez oprawne w ołów szybki i w kamiennem obramieniu achylonej „farty“ widzieć można było niewiastki, godne nie tylko

mieszczańskich, lecz szlacheckich, senator-
skich—ba! królewskich nawet—uścisków.

Podwójny mur otaczał Starą Warszawę. Oprócz wielu baszt, znajdowały się w nim bramy, obsadzone strażą i na noc zamykane: Krakowska, Nowomiejska, Poboczna, Gnojna i Biała albo Wiślana. Przed murem był wał i fosa; na fosie mosty zwodzone.

Miasto odznaczało się zamożnością, ruchliwością i nastrojem wesołym. Pełno w niem było „gospód“ mieszczańskich i oddzielnie szlacheckich. Brzmiała w nich do późnej noce muzyka i rozlegały się wiwaty. Po zamknięciu gospód, na pustych ulicach i po zaułkach słyhać było często hałasy, krzesanie czekanami o bruk, strzelanie z rąsznic. Musiano aż to wszystko wciągać do „artykułów marszałkowskich“ i surowemi karami powściągać.

O zasobach Warszawy dowiedział się kraj podczas elekeyi Henryka Walezego.

Na polach między Wolą a Powązkami powtórzył się wówczas cud, który ongi uświetnił równiny Kraświckie. Jak tam wiejska zagroda biednego kołodzieja, tak tu małe z pozoru miasto potrafiło do syta nakarmić i napoić tłum niezmierny. Nie rachowano obiorców królewskich nad Gopłem; nad Wisłą jednak zebrało się wówczas przeszło sto tysięcy szlachty, nie licząc pacholków. Wszy-

sey rozjechali się do domu zadowoleni, wyślawiając zamożność i gospodarność grodu mazowieckiego.

Było to jakby stwierdzeniem publicznem, że miasto dość już dojrzało i na siłach się wzmogło, ażeby pod jego skrzydła pogarnąć się mogła cała Rzeczpospolita.

PRZENIESIENIE STOLICY Z KRAKOWA DO WARSZAWY. — POWODY PRZENIESIENIA. — TOWARZYSZĄCE MU OKOLICZNOŚCI.

Ustolecznienie Warszawy nazwałem wyżej „koniecznością dziejową“. Każda konieczność spełnić się musi—od zewnętrznych jednak przyczyn zależy jej przyśpieszenie lub opóźnienie. Niechęć Zygmunta Augusta do Krakowa i małe w nim upodobanie Zygmunta III-go stały się w tym razie okolicznościami przyśpieszającymi.

Zobaczmy, jak zapatrują się na ten fakt i czem go usprawiedliwiają dawniejsi dziejopisowie Warszawy.

Związły, jak zawsze, Gołębiowski zaznacza go bez żadnego nacisku, prawie tylko nawiasem. „Król Zygmunt III — mówi — że bliższą rodowitego państwa była, Warszawę za stolicę obrał, i dalsi po nim królowie ciągle w niej mieli siedlisko“.

Sobieszczański opisuje fakt szczegóło-

wiej. Wspomina o pożarze, który dwukrotnie w r. 1595 nawiedzał Zamek krakowski i „monarchów polskich odpowiedniego mieszkania pozbawił“. Przyśpieszyło to, wedle niego, spełnienie zamysłów Zygmunta, który postanowił przenieść stolicę do Warszawy, „jako do miejsca, bardziej w środku całego państwa położonego i granie jego ojcowizny, Szwecyi, bliższego“. Zaznaczywszy przyjazd króla z rodziną, dworem i sprzętami do Warszawy, dodaje Sobieszczański bez dłuższych wywodów: „Odtąd starożytne miasto Mazowska stolicą całej Polski zostało“.

Dopiero Weinert zwraca pilniejszą uwagę na ten fakt ważny, który w dziejach Warszawy nabrał znaczenia epokowego. Jednak w dochodzeniu przyczyn nie sięga dalej, niż tamci. I dla niego „prawdziwym powodem przeniesienia stolicy“ jest: najpierw pożar zamku krakowskiego, następnie chęć Zygmunta przemieszkiwania w miejscu bliższym Szwecyi. Ale Weinert, specjalista od poszukiwań archiwalnych i nawykły widzieć każde ważniejsze zdarzenie historyczne upamiętnione w odpowiednim urzędowym akcie, zadaje sam sobie pytanie: czy jest możliwe, żeby nie istniał żaden przywilej, lub przynajmniej jakieś pismo urzędowe, w którychby zapisano i stwierdzono ustolecznienie Warszawy?

Postawiwszy pytanie, szuka na nie odpo-

wiedzi. Po długim szperaniu w archiwach, udaje mu się tę odpowiedź znaleźć. Stanowi ją przywilej Zygmunta III z kwietnia 1598 r., wydany w Warszawie dla Warszawy.

Wyjątkowe łaski przyznaje król w tym przywileju swemu ulubionemu miastu. Rozkazuje mianowicie, aby „mieszkańców miasta Starej Warszawy, jakiegokolwiek stanu, płci i godności“, uważano za „uwolnionych od wszelkich wogóle opłat i egzekucyj jakiegokolwiek ceł, tak lądowych, jak wodnych, pod jakimkolwiek tytułem i w jakimkolwiek bądź miejscu istniejących, od jakiegokolwiek ieh towarów, zbóż, wszelkiego ziarna i od innych rzeczy, które bądź to lądem, bądź wodą zkądkolwiek przywożą i odwożą, oraz nie tylko od wozów, tratw, łodzi, lecz i od tego rodzaju statków, po Wiśle, Narwi, Bugu, Styrze, Sanie, Wieprzu, Drwęcy, Noteci i po innych rzekach państwa i prowincyj podległych, w górę i na dół żeglujących“.

Z treści tego przywileju, jak również z nader oryginalnego wstępu, którym on był opatrzony, a który nie powtarza się w żadnym innem nadaniu, wyprowadza Weinert dość śmiały, ale uzasadniony wniosek, że akt powyższy zastępował urzędowe mianowanie Warszawy stolicą.

Dlaczego wybrano tę formę, nie inną? dlaczego uciekano się do omówień tam,

gdzie należało przedstawić rzecz wyraźnie, w uświęconych prawem i zwyczajem wyrazach?

Z pytaniem tem łączy się inne: dlaczego dokument choć podpisany własnoręcznie przez króla, pozbawiony jest znamion urzędowych, mianowicie pieczęci królewskiej oraz podpisu kanclerza, co pozbawiło go prawomocności i spowodowało, że spoczął w archiwum, jako rzecz beзуżyteczna?..

Na oba pytania odpowiedź jedna: znajdował się ktoś, komu przenoszenie stolicy nie było na rękę. Próbowano niechętnego podejść, zastępując specjalną uchwałę zwykłym przywilejem, ale odgadł on podejście i w porę mu przeszkodził.

Wiele zaś okoliczności przychodziło mu z pomocą...

Rok 1598 był dla króla Zygmunta rokiem bardzo pracowitym i bardzo niefortunnym. W tym roku król wojował nieszczęśliwie z Karolem Sadermańskim, co wiele mu przyczyniło strat i goryczy.

Oddalony od kraju i zaprzątnięty całkowicie myślą o koronie szwedzkiej, droższej dla niego, niż polska, mógł łatwo zapomnieć o koniecznem uzupełnieniu swego aktu. Nie przypuszczał zresztą, aby rzecz, na sejmie uchwalona i sankeyę podpisu królewskiego nosząca, mogła być napotkać jakiegokolwiek ze strony formalnej utrudnienia.

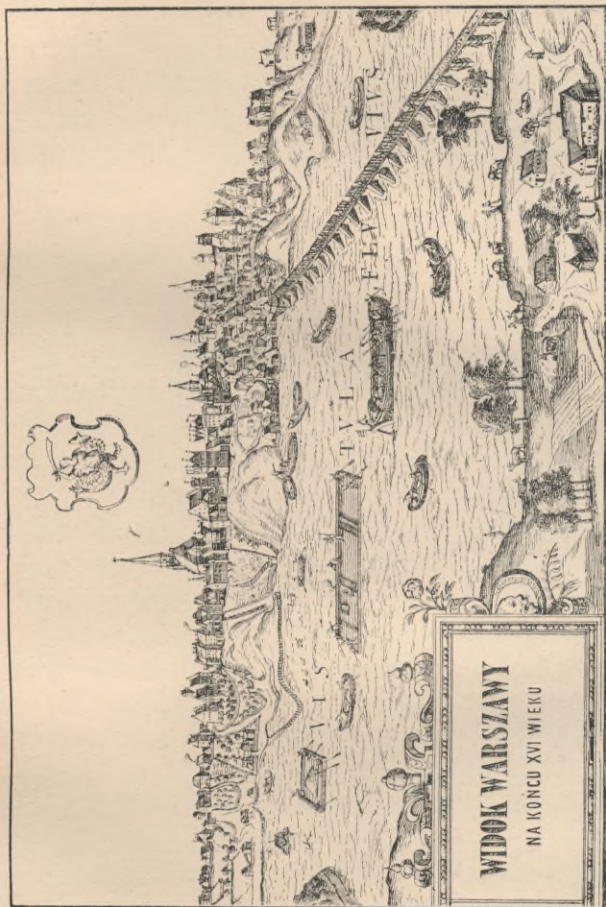
Zawiódł się jednak. Skorzystano z nieobecności króla i odmówiono aktowi kancelaryjnych znamion autentyczności.

Treść przywileju, jako uchwała sejmowa, przeszła do *Voluminów Legum*, nie w autentycznym jednak tekście, lecz w tendencyjnej przeróbce. Opuszczono tam cały wstęp, posiadający pierwszorzędne znaczenie, i z wyjątkowego nadania uczyniono akt zupełnie zwykły, mianowicie aprobację dawnych przywilejów miasta, którą każdy monarcha początek swego panowania zaznaczał.

Być może, iż Zygmunt o częściowem nieposzanowaniu swej woli nie wiedział; być może również, że wiedział, ale, swoim zwyczajem, zmilczał i postanowił zwolna a po cichu, na nikogo nie zważając i nikomu się nie opowiadając, plan swój do skutku doprowadzić.

Jakoż wiemy, że doprowadził.

Bartoszewicz poddaje krytyce i odrzuca przytaczane przez wspomnianych dziejopisów przyezyny. „Nie ma—mówi—żadnego znaczenia powieść, że król niby po spaleniu się zamku krakowskiego, na mieszkanie z dworem przeniósł się do Warszawy. Boć w Warszawie byłoby królowi daleko gorzej i żadnejby nie miał wygody. Zamek warszawski dobry był dla ksiąząt Mazowieckich, dobry nawet dla Zygmunta Augusta, który bawił tu prywatnie, jakby na letniem mieszkaniu, ale nie



WARSZAWA W WIEKU XVI.
(Z dzieła Brauna „Theatrum urbium”).

starczył na potrzeby świetnego dworu królewskiego, gdyby miał się stałe osiedlić w Warszawie“.

Gdyby król opuszczał Kraków jedynie dla szkód zrządzonych przez pożar, to po naprawieniu ich powinien był tam powrócić. Nie powrócił jednak, lecz na stałe w Warszawie zamieszkał.

O drugiej z wymienionych przyczyn mówi nasz historyk: „Gdyby o to (o zbliżenie się do Szwecyi) chodziło, znalazłby się punkt stosowniejszy: Wilno, Gdańsk, Ryga, pierwsze lepsze miasto litewskie. A potem, cóż królowi chodzić mogło o dzień, o dwa dni drogi mniej do rodzinnego kraju? Gdyby Szwecya trzymała się mocno Zygmunta, mógłby do niej jeździć i ze Ślązka nawet. Gdyby zaś Szwecya nie chciała Zygmunta, cóż sprawie królewskiej pomogło, że mieszkał bliżej Sztokholmu, w Warszawie?“

Nareszcie twierdzi Bartoszewicz, że samo zamieszkanie Zygmunta w Warszawie nie czyniło jej jeszcze stolicą. Następca króla „mógł tak samo dobrze przenieść się znów do Krakowa, lub wybrać sobie nowe miejsce ulubione, na któremby dwór swój osadził i do którego ściągnąłby życie“.

Ostatni argument popiera i wzmacnia hipotezę Weinerta.

Bez przywileju nie byłoby stolicy. A że

przywilej, czy też akt, miejsce jego zastępujący, nosi datę 1598 r., od tego zatem roku uważać należy Warszawę za stolicę.

Wiele przyczyn, a nawet powiedzieć można: wszystko zgoła, przez długie lata składało się na to, aby miasta naszemu przodownictwo w kraju wyrobić. Prócz względów politycznych, o których wyżej, w rozdziale o dawnych stolicach, wspomniałem, grały tu ważną rolę względy geograficzne, terytoryalne. Warszawa leżała prawie w samym środku Rzeczypospolitej, przy głównym trakcie wodnym i wielu ważnych drogach lądowych, była zaś miastem głównym Mazowsza, a więc prowincyi z wielu względów neutralnej.

Gdy na porządku dziennym znalazło się pytanie: gdzie dokonywać obioru nowego króla? — rozwiązano je prawie bez wahania na korzyść Warszawy. Nie podniosły się też prawie żadne głosy opozycyjne, gdy Warszawę miejscem zamieszkania królów uczyniono.

Dopiero, gdy Warszawa stała się widownią aktów, posiadających pierwszorzędne znaczenie historyczne, jak na przykład hołd pruski (*homagium*), zaśpiewano minorowo o niej — see, okazywanej Krakowowi. Rymopis współczesny, cytowany przez Bartoszewicza, ubolewał:

„Kraków z tego się smęcił, że to w inszem stało
Mieście się *omagium*—jego poniechało...”

Musiano liczyć się z drażliwością czci-
godnego i pełnego zasług staruszka, który nie
był winien temu, że przeżył się i już potrze-
bom kraju, pod każdym względem przekształ-
conego, nie odpowiada. Na zasadzie jakiejś
milszącej umowy postanowiono: nie nazywać
Warszawy głośno „stolicą“, i odebrawszy Kra-
kowowi istotę władzy, pozostawić ma jej błę-
szące pozory.

W Warszawie królowie mieszkają, rzą-
dzą, stanowią prawa, wypowiadają wojny, od-
bierają hołdy, zawierają sojusze i t. p. W Kra-
kowie — koronują się i są chowani. „Co za
różnica—mówi historyk—obadwa stolic, Kra-
kowa i Warszawy! Tu grób wielki, tam —
gwar i nieustanne życie; tu wspomnienia,
tam—mieszkanie królewskie, stolica“.

W dawnych opisach Warszawy rażącym
jest prawie opuszczanie tytułów: stolica kraju,
stolica Polski. W dziele Rocheforta p. t. *Le
Voyageur d'Europe*, wydanem w r. 1672, po-
wiedziano o Warszawie, że jest „stolicą Ma-
zowska, a nadto miejscem zjazdów elekcyj-
nych i sejmowych, oraz rezydencją królów“.

Więcej, niż w sto lat później, ksiądz Fran-
ciszek Salezy Jezierski w dziełku pełnem hu-
moru i satyry: „Niektóre wyrazy, porządkiem
abecadła zebrane i t. d.“, pod wyrazem *War-
szawa* pisze: „Warszawa, miasto stołeczne

księztwa Mazowieckiego i miejsce pomieszkania królów polskich“.

Wszystkie te omówienia nie zmieniły i zmienić nie mogły faktu, że od roku 1598 Warszawa była stołecznem miastem Królestwa faktycznie i urzędowo, i że z nikim zgoła — nawet z Dreznem za Sasów — władzą i znaczeniem dzielić się nie potrzebowała.

WARSZAWA ZA ZYGMUNTA III.

Zygmunt III nie zasłużył na to, aby mu naród stawiał pomniki; zarobił sobie jednak na bronz i marmur u Warszawy. Na naszej „kolumnie Zygmontowskiej“, gdzie jako fundator jest wymieniony „syn“, mogłaby też podpisać się Warszawa, jako—córka.

Jest rzeczą prawie pewną, że miasto nasze zostałoby stolicą kraju bez Zygmunta i niezależnie od Zygmunta; bądź co bądź, ważny ten fakt spełnił się za jego rządów, on też spełnienie się przyśpieszył i przyczynił się do niego skatecznie.

Za Zygmunta, doszła Warszawa do niebywalej przedtem świetności; wówczas też dopiero stała się miastem naprawdę europejskiem, godnem, aby je zagraniczni geografowie opisywali, a zagraniczni artyści widoki jej na miedzi rytowali.



ZYGMUNT III.
 (Ze współczesnego sztychu).

Odmieniła się cała postać miasta z chwilą, gdy w niem dwór królewski osiadł na stałe. Dawniejsze, przygodne odwiedziny monarchów dokonać tego nie mogły. Dom zajezdny, nawet najwytworniej urządzony, nigdy nie stanie się pałacem.

Przedewszystkiem miasto przygotować musiało odpowiednio wspaniałe siedziby na pomieszczenie króla, senatorów oraz tłumnego zastępu szlachty bogatej, która za osobą monarchy ciągnie, jak rój pszczołny za matką.

Pierwszem tego następstwem była gruntowna przebudowa Zamku królewskiego, drugiem — wznoszenie licznych pałaców prywatnych, po przedmieściach naturalnie, gdyż w obrębie murów miejsca wolnego nie było.

Za książąt Mazowieckich, Zamek był zwykłym dworem drewnianym, ani ozdobnym, ani nawet wygodnym i przestronnym. Gdy miasto nawiedzali goście ukoronowani lub znakomici wysłańcy dworów zagranicznych, pomieszczano ich w Rynku staromiejskim. Służyła na ten cel wielka książęca kamienica na rogu Dunaju, zwana „Ogródkiem“, czyli małym Grodem (gród znaczy tyleż, co zamek) Stawali także dostojnicy w domach mieszczan staromiejskich; przyczem zdarzało się, że przebijano mury w dwóch lub trzech sąsiadujących z sobą kamieniach, aby z kilku szcza-

płych mieszkań utworzyć jedno jako tako wygodne.

Utrzymują powszechnie, że dopiero Zygmunt III przerobił Zamek z drewnianego na murowany. Tak nie jest. Już za Zygmunta Augusta przeróbka była rozpoczęta.

Wiadomo, że ten monarcha, przynoszący się nieustannie z miejsca na miejsce, najchętniej i najdłużej zatrzymywał się w Warszawie. Warszawę lubiła też jego matka. Na użytek obojga poczyniono w Zamku odpowiednie zmiany, i wówczas to wzniesiono nowe skrzydło Zamku od ulicy Świętojańskiej, sąsiadujące z „Mansyonaryą“. W tem skrzydle mieszkał prawdopodobnie Zygmunt po sprowadzeniu się do Warszawy. Ale było to mieszkanie tymczasowe, gdyż i wszystkie owe roboty nosiły charakter tymczasowy.

Dopiero od roku 1607 rozpoczął Zygmunt roboty budowlane na wielką skalę. Zamiast prowadzić dalej łataninę swych poprzedników, przygotował plan nowego zamku, wysuniętego bardziej w stronę Przedmieścia Krakowskiego. Gmach posiadał kształt pięcioboku i miał być wzorowany na jednym z zamków szwedzkich, który zbudowała Katarzyna Jagiellonka w mieście Drottningholm na wyspie Lön.

Budowa dopiero ku końcowi panowania tego monarchy uwięziona została wieżą, która nosi miano „Zygmuntowskiej“.

Wykończali roboty w szczegółach synowie Zygmunta, a pamiątką tej pracy Wazów są widoczne dotąd nad wewnętrznymi bramami ich herbowe „Snopki“.

Magnaci budowali się głównie przy wielkim gościńcu, wiodącym w stronę Krakowa, i to dało początek Przedmieściu Krakowskiemu. Powstawały też szybko i inne przedmieścia, mające z czasem zlać się w jedną całość z miastem właściwym, duszącem się w ciasnym pierścieniu muru obronnego.

Miasto rozszerzało się, rosło w siłę i bogactwa, ale zarazem zaczynało doświadczać bezprawia szlacheckiego, którego najpierwszą formą były tak zwane „jurydyki“. Magnat, sprowadzający się do miasta a nienawykły ulegać nikomu, nie chciał okazywać uległości Magistratowi, tworzył więc rodzaj miasta w mieście i sam się jego głową mianował.

Jurydyki podkopywały powagę urzędu miejskiego, wprowadzały zamęt do całego prawodawstwa i na wszelki sposób szkodziły miastu; król jednak, choć swym „mieszczankom“ szczerze życzliwy, nie mógł swawoli szlacheckiej okiełznać. Jurydyki, za Zygmunta III *de facto* narodzone, broiły w Warszawie aż do końca XVIII-go wieku.

Pobożność Zygmunta oraz jego dyletanizm artystyczny odbiły się w sposób wła-

ściwy na postaci miasta. Zaroilo się ono w tym czasie mnichami i artystami.

Aż sześć nowych zgromadzeń zakonnych przybywa za Zygmunta w Warszawie: Jezuici, Dominikanie, Reformaci, Brygidki, Bernardynki i Karmelitki. Ponieważ każde ze zgromadzeń otrzymało przy klasztorze własny kościół, Jezuitom zaś dostały się dwa kościoły, Warszawa przeto z bogaca się odrazu siedmioma nowymi świątyniami.

Niektórzy historycy (między innymi Julian Bartoszewicz) wymieniają nadto „Kaplicę obrządka gréckiego“, rozumiejąc przez nią tak zwaną „Kaplicę Moskiewską“ (*Sacellum Moscoviticum*), będącą grobowcem carów Szujskich. W tej kaplicy jednak, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nie odprawiano stale nabożeństw; posiadała też ona niewątpliwie charakter pomnika grobowego. W braku oddzielnego cmentarza dla prawosławnych, pomnik ustawiono w miejscu, gdzie kończyło się Przedmieście Krakowskie i z kąd rozechodziło się kilka dróg, z których jedna prowadziła do wsi królewskiej Jazdowa.

Z przybyciem Jezuitów podniósł się ogólny stan umysłowości. Zakon, posiadający u siebie takie potęgi umysłowe, jak Skarga, Bembus i inni, wpręde ujął ster wychowania publicznego. Jezuici, mieszczący się początkowo w skromnym i szepułym „Klasztorcu“,

otworzyli niebawem swą uczelnię, czyli *Domus professa*, w tyłach swego kościoła, przy ulicy, która ztąd właśnie otrzymała nazwę Jezuickiej.

W ślad za ojcami i ich mądrością, zjawili się na bruku warszawskim stali sprzedawcy książek. W księgach metrycznych zapisano przywilej, wydany dwom obywatelom warszawskim: Pawłowi Fabrycemu i Janowi Modzelewskiemu, na wyłączne prowadzenie handlu księgarskiego. Na czas sejmów i jarmarków przywilej tracił swą ważność. Kupcom postronnym wolno było wówczas, na równi z innym towarem, przywozić i sprzedawać książki. Rozumie się, że z tej wolności najobficiej korzystali księgarze, czyli „bibliopole“ krakowscy a po nich gdańscy.

Nadleciały też wówczas do nas inne rzadkie ptaki: malarze, architekci, śpiewacy, złotnicy, alchemicy. Wszystkich sprowadzał Zygmunt; wszystkich za kolegów i towarzyszków zawodu poczytywał.

Gotyckie sklepienia Katedry zabrzmiały dźwiękami hucznej kapeli włoskiej, z grajków i śpiewaków złożonej, która króla znaczne pieniądze kosztowała. Dyrektor owej kapeli Asprillo Pacelli ma dotąd kamień nagrobny z marmurowem popiersiem w jednej ze ścian kościoła Świętojańskiego. Był to snadź zdol-

ny kapelmistrz, sława bowiem jego kompanii artystycznej rozeszła się po Europie.

Do Włochów przystawali zwolna i Polacy. Doszła nas wiadomość o pewnym Tobiaszu z Sandomierza, który należał do nadwornych śpiewaków Zygmunta III. Zwano go popolicie „Tobiaszkiem“, słynął zaś z pięknego i potężnego głosu, którym, jak pisze ks. Siarczyński — „najdzielniej poruszał, przerażał i rozezulał, śpiewając treny Jeremiasza, ułożone na głosy przez Wacława z Szamotał“.

Jednocześnie pracowali pod bokiem króla liczni artyści-malarze — niestety, prawie wyłącznie cudzoziemcy. Na ich czele stał słynny Tomasz Dolabella, który przyozdabiał zamek pięknymi malowidłami. Znajdowały się w ich liczbie obrazy, będące jakby malowaną kroniką panowania Zygmunta III. Nie dochowały się one do naszych czasów. Dwa tylko, z których jeden wyobraża Zygmunta pod Smoleńskiem, a drugi cara Wasila Szajskiego z braćmi, wyznających się niewolnikami króla na Zamku warszawskim—znane są nam z rycin, wykonanych współcześnie.

Obrazy religijne włoskiej i holenderskiej szkoły przyozdabiać zaczęły i świątynie warszawskie, usuwając z nich dawne, niemieckie, średniowieczną technicę malowidła oraz zabytki prastarej sztuki bizantyjskiej.

Tehnienie artystyczne od dworu królew-

skiego powiało na całą Warszawę, przedostając się do komnat senatorskich, do mieszczkańskich świetlic, do warsztatów rzemieślniczych. Zakwitły i form szlacheckich nabrały rzemiosła. Do szczególnej świetności doszło artystyczne ślusarstwo, także złotnictwo i — szklarstwo. Ostatnie, z powodu rozpow szechnionych malowideł na szkle oraz okien kolorowych, któremi przyozdabiano kościoły i pałace, uważane było bardziej za sztukę, niż za rzemiosło. Postanowienie królewskie zaliczyło je nawet do jednego cechu z malarstwem.

Zabytki artystycznej ślusarszczyzny, które podziwiamy we wnętrzu staromiejskich kamienic i w prywatnych, starannie przechowywanych je zbiorach, z tej głównie epoki pochodzą.

Co do złotnictwa, to król był nie tylko protektorem, lecz i „mistrzem cechowym“ tego wytwornego rzemiosła. Roboty królewskie, wyłącznie „chwale Bożej“ poświęcone, rozdawane były przez koronowanego artystę kościołom. Kilka ich przechowuje skarbiec Katedry warszawskiej.

Warszawa jeszcze przed Zygmuntem była grodem handlowym; odkąd jednak została stolicą, handel jej w trójnasób się powiększył. Kupcy warszawscy sprowadzali towary z całej Europy; wielu z nich miało własne okręty, do-

cierające do portów francuskich, nawet włoskich. Z Wenecyi przywożono oddzielny rodzaj tkanin, wyrabianych tam umyślnie dla nas i ztąd nazywanych *roba di Polonia*—o których Łukasz Opaliński w swych satyrach wyraża się ironicznie.

Ustołeczniczenie Warszawy odbiło się też na obyczajach. Stały się one w ujemnem znaczeniu tego słowa: wielkomięjskimi. Wpływ Włochów, za Zygmunta przepelniających Warszawę, nie mógł być pod tym względem dodatni.

Włoszczyzna, której za czasów Bony strzeżono się, jak zarazy, rozpanoszyła się teraz wszędzie. Żony i córki mieszczan nie tylko stroiły się z włoska, ale nadto uważały za znak „dobrego tonu“ mówić po włosku i włoskie śpiewać pieśni. Do mody należało uczyć się po łacinie, a znajomość języka Wergilego i Owidyusza ułatwiała naukę pokrewnej mu włoszczyzny. To też, gdy mężczyźni okraszali mowę łaciną, kobiety pstrzyły ją z upodobaniem słowami włoskimi. Wówczas to najwięcej tych słów przedostało się do naszego języka.

Nie brakło zresztą w tej epoce i niemieczyny. W zamku panowały: strój, obyczaj i język—niemieckie. W rodzinnem gronie Zygmunta rozmawiano wyłącznie po niemiecku; straż przyboeczna króla była niemiecka i nie-

mieckich używała haseł. Skądinąd znów tradycje rodzinne, handlowe oraz urzędzenia magistrackie, sądowe, cechowe, na prawie Magdeburgkiem wzorowane, ciągnęły mieszczan Stariej Warszawy do niemieczyzny.

Ale w żyznym, choć twardym gruncie Mazowska tkwi niespożyta siła żywotna. Dzięki jej, Warszawa przemogła i przyswoiła sobie wszystkie obec żywioły.

Mozaikowy obraz ówczesnego społeczeństwa warszawskiego tylko przenikliwość prawdziwego artysty, studjami historycznymi i starożytniczemi poparta, dokładnie odtworzyć może. Warszawa dzisiejsza ze swym całym, szychowym, mieszczańskim przepychem, ze swą jaskrawą a zimną, martwe światło rozlewającą elektrycznością, ze swym uniformowym tłumem elegantów i elegantek, według jednego wzoru odzianych, w porównaniu z ową zprzed trzech stuleci, rodzącą się dopiero, a raczej przeradzającą, estetykowi i artyście wyda się z pewnością brzydszą, — może nawet bezwzględnie brzydką.

Ze skąpych szczątków starożytności warszawskich, które są jakby okruchami rozbitego na szczątki posągu, niepodobna sądzić o tem, jak nasze miasto wyglądało i jakim urokiem otoczone było w przeszłości. Żadna ze stolic europejskich tak szybko i tak do gruntu nie przemieniała swej zewnętrżności, jak

Warszawa. Jedno Stare Miasto trzyma się najoporniej, ale i ono jest dziś tylko opadłym z ciała i ze strojących je złotogłowiów — szkieletem.

Wspomniałem wyżej o malowanej kronice rządów Zygmontowskich, której kart kilka wykończył Dolabella. Jaka szkoda, że nikt nie pomyślał o takiejże kronice Warszawy z tych samych czasów! Ale stanowiło to już fatalność naszego narodu, że łatwiej w nim było zawsze o wielkich ludzi, niż o ich portrecistów, o malowniczość, niż o malarzów, o poetyczność, niż o poezję. Gdyby nie to, ileż mielibyśmy z tamtej epoki obrazów i pieśni, naprzemian wesołych i ponurych, upajających chwałą i zgrozą przejmujących!

Ważne wspomnienia historyczne i kronikarskie barwną wstęgą przesuwają się przez roczniki ówczesnego życia warszawskiego. Wymieniać wszystkich nie sposób; przyjrzyjmy się choć najwydatniejszym.

W jesieni 1606 roku szalony orkan nawiedza Warszawę. Spadają kominy z dachów; sypią się w gruz i dachy całe. O samej północy zawala się z hukiem tysiąca armat niebotyczna wieża kościoła Ś. Jana, która na najdawniejszych widokach Warszawy wygląda jak maszt olbrzymi, wieńczący okrętową całego miasta figurę.

Pod ciężarem wywróconego kolosa zapada się sklepienie świątyni, a runąwszy,

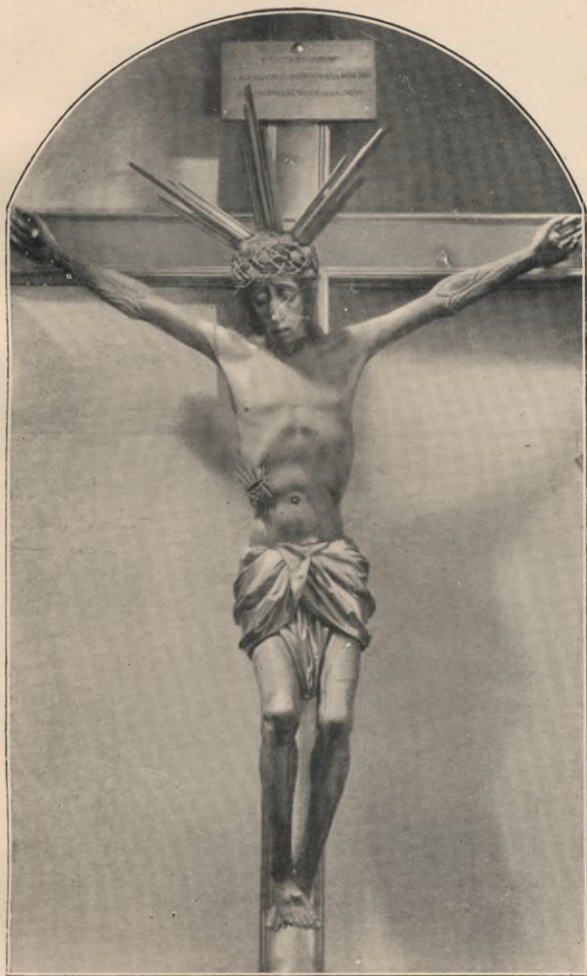


FIGURA „CUDOWNEGO” PANA JEZUSA W ARCHIKATEDRZE,
W KĄPLICY NIEGDYŚ BARYCZKOWSKIEJ.

rozbija posadzkę kamienną i odkrywa pełne tramien podziemia. Na środku głównej nawy piętrzy się olbrzymia sterta potrzaskanych cegieł, marmarów, kamiennych posągów, rzeźb złoconych, kolorowych okien i sprzętów kościelnych. Gdy nadbiegły tłum do wnętrza sterty zagląda, wydaje okrzyk podziwu: stoi tam nienaruszona i jakby mocnem sklepieniem nakryta figura Chrystusa, którą niedawno jeden z Baryczków z Norymbergi przywiózł. Cóż dziwnego, że ten Chrystus nazywa się odtąd „cadownymi“

Mary Katedry rozbrzmiewają nieustannie natchnionem, Jeremiaszowem słowem Skargi. I zdarza się dnia jednego, że gdy „Złotousty“ schodzi już z kazalnicy, okryty kurzawą goniec zwiastuje zwycięstwo pod Kirchholmem. Skarga wraca na kazalnicę, pada na kolana, a wszyscy obecni, króla nie wyłączając, idą za jego przykładem. Głośna modlitwa dziękczynna płynie ku ostrołukowym sklepieniom, serea kilkotysięcznego tłumu napełnia pragnienie i nadzieja nowych tryumfów.

Innym razem ciągnie Przedmieściem Krakowskim orszak zwycięzki z hetmanem Żółkiewskim na czele. Ciągnie do zamku, gdzie właśnie, pod przewodem samego króla, sejm się odbywa. Hetman przywozi królowi łupy bogate; stawia też przed nim jeńców znakomitych, którzy z należnem nieszczęściem współ-

czuciem, otrzymają na mieszkanie piękny zamek Gostyniński.

Do ożywienia i świetności miasta przyczyniają się w stopniu niemałym sejmy, prowadzące do Warszawy kwiat i śmietankę narodu.

Aż trzydzieści sejmów odbyło się w Warszawie za Zygmunta. Bywały świetne i owocne, — nie brakło burzliwych i warcholskich. Na jednym sejmie król płakał; na innym po szablę sięgał...

Podczas sejmu w r. 1607 straszna klęska spadła na Warszawę. Szlachta, zajmująca „gospody“ na Starem Mieście, dla szczupłości miejsc, urządziła kuchnie na Rynku, przed domami, ku czemu wyrywano bruk i wznoszono drewniane szałas. Łatwo pojąć jak wielkiem groziło to niebezpieczeństwem. Jakoż we wspomnianym roku od ognia kuchennego wszczął się gwałtowny pożar, który obrócił w perzynę trzy czwarte domów w Rynku Staromiejskim, wyrządzając nieobliczoną szkodę mieszczanom, miastu i — potomności.

Ogień zatrzymał się na Kanonii¹⁾, w bezpośrednim sąsiedztwie Jezuickiego kolegium,

¹⁾ Pamiątką tego jest tablica na domu № 79 przy tej ulicy. Głosi ona, że ten dom był ostatni, któ-

klasztora i kościoła, oraz Katedry i Zamku królewskiego. A właśnie główna część zamku, w której król przemieszkiwał, znajdowała się wówczas od strony Kanonii. Przerażony Zygmunt opuścił w popłochu miasto, i wrócił dopiero, z rodziną i dworem, po ugaszeniu pożaru.

Jednego słonecznego ranka, mieszczanie warszawscy ujrzeni z podziwem, zaraz za murami, przed kościołem Bernardynów, drewniane, bogatymi kobiercami okryte wzniesienie, a na niem wyłaczany, cudnie w słońcu błyszczący tron królewski. Niebawem błysnęły halabardy straży monarszej, pieszce i konne rycerstwo szumnym wieńcem opasało to miejsce, zjawiły się bogate karoce senatorów, wreszcie nadjechał i sam król, dworzanami otoczony.

Zasiadł król na tronie, a po chwili, ze strony przeciwnej nadeiagnął inny orszak, szary, skromny, potulny...

To elektor Brandebarski przybywał składać hołd monarsze polskiemu i Rzeczypospolitej.

„Warszawa — słusznie zauważył Barto-

ry strawiły płomienie, i że w lat cztery po pożarze odbudował go ksiądz Zalasowski, kanonik pułtuski.

szewicz — staje się niezmiernie historycznym miastem za Zygmunta III-go“.

Wspomniałem o tryumfalnym wjeździe Żółkiewskiego. Obok tego wjazdu postawić można inny, nie dorównywający mu znaczeniem historycznym, przewyższający go jednak malowniczością. Był nim wjazd Lisowezyków.

Banda tego, jedyne go może w dziejach wojskowości rycerstwa, odziana przez pół w aksamit i złotogłów, przez pół w jaskrawe łańchmany, z pod których wyglądało nagie, na słońcu i mrozie zbronzowane ciało — spadła na Warszawę jak huragan, przywołana rozkazem królewskim aż z północnych krańców Europy, z nad brzegów morza Białego, z krainy prawie legendowej. Król wzywał ją, aby złożyła rachunek ze swych wypraw samowolnych, ze swego wałęsania się po świecie, ze swego zbójnictwa. Rachunek wypaść musiał pomyślnie, bo Lisowezycy opuszczali Warszawę z gęstą miną—i wkrótce aż nazbyt głośno uczyniło się o nich po Europie.

Nie zmienniejszego nad oblicze Warszawy, ukazujące się z oddalenia, w kolei lat i wieków. Raz bliższy pogodnie światłem prawie anielskim; to znów wyrazem szalonym, niemal demonicznym, przeraża; kiedy indziej wygląda żałobnie i pokutniczo; to

w mroku całkowiec tonie; to wreszcie wynarza się, po Rembrandtowsku oświetlone jaśkrawym, pożarnym płomieniem...

Odwracamy kartę, na której bawiły nas i zachwycały malownicze stroje, zwycięzkie pochody, batne hetmanów twarze, płaszczące się książąt lennych postacie — jakże odmienny widok przed oczyma nam staje! Miasto wyladnione, puste, milczące, — emmentarz prawdziwy. Co kilka kroków dom opustoszały z zamkniętymi na skobel wrotami, nieraz z wielkim czarnym krzyżem na murze. Wiele ale pomniejszych zamknięto szafcem z desek i kamieni. Przy szafcu straż stoi i nikogo nie przepuszcza, bo to miejsca potępione, bo tam — śmierć pewna.

U bram miejskich zaciągnięto łańcuchy, zapuszczono wrzeczadze. Po pustych ulicach i placach włóczą się psy głodne, wyjąc ponuro. Ludzie w czerwonych i granatowych opończach, z czarnymi na piersiach krzyżami, snują się po mieście, dźwigając na noszach straszne, tajemniczo osłonięte, ciężary.

Zamek stoi pustkami; puste są też pałace senatorów. Co pewien czas emmentarną ciszę przerywa na chwilę stłumiony głos trąby. To pachołek magistracki zwołuje mieszczan, aby im oznajmić nowe rozporządzenie „burmistrza powietrznego“, jedynej władzy, która

jeszcze znajduje posłuch i bądzi resztkę czujności w zamartwem mieście.

Straszny gość nawiedził Warszawę: zarazą. Od listopada 1624 do maja 1625-go roku mór pastwi się nad miastem, któremu już mnichy *Requiem* śpiewają. Kto mógł, za przykładem króla i magnatów, wyniósł się daleko; inni schronili się do puszcz pobliskich, woląc kły wileze i niedźwiedzie pazury, niż uścisk kościastej „Dziewicy mora“. Ci, których przytrzymał na miejscu obowiązek, miłość lub poświęcenie, padali jak muchy...

Przed trzema wiekami nerwy Warszawian mocniejsze były od dzisiejszych. Inaczej, nie wytrzymałoby oni widoku wielu okropnych „egzekucyi“, w które epoka Zygmunta III obfitowała. Najwydatniejsze a zarazem najokrutniejsze były: ścięcie Nalewajki i ćwiertowanie Piekarskiego.

O herszcie zbuntowanych kozaków twierdzą pewni kronikarze, że był przed śmiercią na żelaznego, do czerwoności rozpalonego byka wsadzony, żelazną, rozpaloną blachą ukoronowany, poczem dopiero kat ściał mu głowę. Choć opowieść jest bajką, odcisnął się na niej znak srogich mąk, jakich wówczas straceńcom nie skąpiono.

Szczegóły egzekucyi Piekarskiego, historycznie stwierdzone, są niemniej okrutne — może jeszcze okrutniejsze. Pastwiono się nad

niepoczytalnym obłąkańcem, którego-by dzisiejsze sądy do domu zdrowia odesłały, z zadaniem i wyrafinowanem okrucieństwem. Obwożono go po ulicach na wielkim wozie; kat przypalał go „ogniem siarczystym“, klezczami ciało wyrywał. Potem palono mu i obcinano kolejno jedną rękę i drugą, wreszcie czterema końmi na cztery części był rozrywany. Po spaleniu ciała na stosie, prochami nabito działo i wystrzelono.

Kilkakrotnie w ciągu tego długiego panowania okrywa się żałobą dwór, a za dworem i cała stolica.

Umiera najpierw Anna Jagiellonka, wdowa po Stefanie Batorym. „Acz zesła w wieku—pisze Niemcewicz—w którym śmierć zbyt wczesną nazwać się nie może, nie zmniejszała powszechnego po sobie żala: zawsze zbyt krótko żyją ci, co się zasłużyli ojezyźnie. Powiększała stratę myśl, że ta pani była ostatnią, uschłą już gałązką bajnego szesepu Jagiellów“.

W istocie, wszystkie dodatnie znamiona rodu Jagiellońskiego w Annie po raz ostatni objawiły się narodowi. Śmierć jej była ostatecznym zamknięciem okresu, ongi przez Władysława i Jadwigę rozpoczętego. Co do Zygmunta Wazy, łądzono się tylko, nazywając go potomkiem Jagiellów. Smutną też prawdę mieszczą w sobie słowa Piaseckiego: „Z Anną

Jagiellonką zeszedł do grobu nie tylko ród Jagiellów, lecz zarazem powaga, przystojność i dawne, dobre obyczaje naroda“.

W roku 1597 śmierć zabiera Zygmuntowi pierwszą żonę, Annę, arcyksiężniczkę austriacką. Kochał ją mąż, cenili swoi i obcy. „Pani ta (słowa Niemcewicza), od dziejopisów naszych wielce chwalona, w 24-m roku wieku swego, przy porodzeniu córki, życie skończyła“. Król bardzo żywo odczuł stratę.

I druga małżonka królewska, rodzona siostra tamtej, Konstancya, w Warszawie życie zakończyła. Szczegóły jej ostatniej choroby i śmierci rzucają znamienne światło na ówczesne stosunki. Królowa razem z królem znajdowała się na procesyi Bożego Ciała, przyczem oboje całą drogę odbywali pieszo, z odkrytymi głowami. Upał był wielki, królowa przepaliła na słońcu głowę, co było bezpośrednią przyczyną zgonu. Przeszło ćwierć wieku przeżył Zygmunt z Konstancyą; śmierć jej uczyniła w jego życiu próżnię, niezem już zapełnić się nie dającą.

Nareszcie umarł w Warszawie i sam Zygmunt, a był pierwszym monarchą polskim który w naszym mieście ostatnie oddał tchnienie. Smutne szczegóły choroby króla (któremu, podobnie jak Batoremu, przyśpieszyły śmierć ciemnota i upór lekarzy) opisał dokładnie ks. Albrycht Radziwiłł w swych „Pamię-

tnikach". Powtórzył je, z przyprawą powieściową, Kraszewski w „Ostatnim roku panowania Zygmunta III“.

WARSZAWA ZA SYNÓW ZYGMUNTA III.

Do odmalowania dokładnego obrazu Warszawy za Władysława IV-go wystarczyłoby przepisać „Gościniec“ Adama Jarzębskiego.

W dobie najważniejszej, bo poprzedzającej bezpośrednio nawałę szwedzką i ruinę miasta, „muzyk Jego królewskiej mości i budowniczy ujazdowski“ (jak się sam na tytule mianuje) odtworzył z natury, naiwnie ale wiernie, współczesną sobie Warszawę. Inaczej, niebyśmy prawie o niej nie wiedzieli.

A piękną była Warszawa za pierwszego z synów Zygmontowych. Przystroiła się wówczas mnóstwem pałaców, kościołów, ogrodów i prawie obcych jej do owego czasu dzieł sztuki. Pomnik, wystawiony przez króla szanowanemu ojcu (więcej może szanowanemu, niż miłowanemu) „taż za marem miejskim“, był pierwszym z monumentów publicznych stolicy.

Władysław w podróżach po Europie wykształcił smak i zapragnął uczynić Warszawę podobną do wielkich miast Zachodu. Piękny zamiar udał się w części kochającemu swój kraj monarsze. Sekundował mu w tem dziel-

nie towarzyszą lat młodzieńczych i młodzieńczych wybryków, Kazanowski, o którego domu na Przedmieściu Krakowskiem czytamy dziś, jak o zaczarowanym pałacu.

Piękne też były dwa nowe pałace królewskie: jeden na drodze do Ujazdowa (późniejszy „Kazimierowski“), drugi w samym Ujazdowie.

Dobremu smakowi króla wystawili pochlebne świadectwo wybredni pod tym względem Francuzi. W drukowanych relacjach towarzyszków i towarzyszek Maryi Ludwiki czytamy o ówczesnej Warszawie gorące pochwały.

Światowy aż do zbytku król nie zapomniał jednak o Bogu i jego sługach. Nadany przez ojca popęd do zakładania nowych klasztorów za rządów syna nie tylko nie osłabł, lecz wzmoenił się jeszcze. Za Władysława osiedli w Warszawie: Karmelici, Pijarzy, Franciszkanie, Benonici, z żeńskich zaś zgromadzeń: Wizytki, Brygidki i Siostry Miłosierdzia, przewane u nas „Szarytkami“.

Wiadomo jak rozległe plany polityczne i wojenne chodziły Władysławowi po głowie. Niestety, myśl króla była lotna, ale ciało ciężkie, przedwczesną otyłością i podagrą do miejsca przykute. Rycerskie upodobania Władysława ujawniły się we wznesieniu wspianiałego Arsenala (przy ulicy Długiej, gdzie dziś wię-

zienie), przezwanego z niemiecka „Cekauzem“. Opisał go malowniczo wspomniany Jarzemb-
ski; dokładny zaś jego „inwentarz“ znajduje
się w zapiskach słynnego Krzysztofa Arci-
szewskiego.

Dodajmy wreszcie, że król, żyjący modą
francuską i labiący widowiska sceniczne, urzą-
dził pierwszy w Warszawie teatr. Był to teatr
dworski i istniał dla prywatnej tylko króla
i magnatów rozrywki. Mimo to, budził po-
średnio i w całym narodzie zamiłowanie do
sztuki dramatycznej, zaspokajane do owego
czasu wyłącznie przez kościelne oraz szkolne
dyałogi i misterya.

Rządy Jana Kazimierza, nieszczęsne dla
kraju całego, nieszczęsne były i dla Warsza-
wy. Groty, wymierzone w cały organizm Rze-
czypospolitej, godziły przedewszystkiem w jej
serce—stolicę. Opisywać Warszawę po roku
1655 znaczyłoby wyliczać same klęski i straty.

Bez przesady można powiedzieć, że
z tym rokiem zapada w przepaść dawna, ksią-
żęca i królewska Warszawa—Warszawa kwi-
tnąca, bogata, piękna, pochwałami przez cu-
dzoziemców darzona.

To, co po tamtej Warszawie pozostało,
po sto razy zmieniane, zacierane, do nowych
smaków przystosowywane, jest albo bladą ma-
rą znikłej rzeczywistości, albo, co gorsze —
jej karykaturą.

Jak wyglądała Warszawa bezpośrednio po wojnach szwedzkich, o tem pociąga „Rewizya miast Starej i Nowej Warszawy z roku 1659“ (przytoczona z rękopisu przez Sobieszczańskiego). Znajdujemy w niej taki naprzykład opis ulicy Długiej:

„Bywały tu dawniej pańskie i różne gospody, do dyspozycyi marszałkowskiej należąca, mianowicie na posłów tatarskich, tureckich i innych oryentalnych; teraz puste place aż po za dwór Jego Mei Biskupa Płockiego, a cała ta ulica ośm tylko zabudowań liczy“.

Tak było w całym mieście, które sprawiało wrażenie zgliszczy pożarnych lub olbrzymiego cmentarza...

Na dobro miasta w owej epoce zapisać trzeba: otwarcie dwóch klasztorów (Dominikanów Obserwantów i Bonifratrów) oraz urządzenie pierwszej stałej poczty (mieściła się na Krzywem Kole).

Nakoniec za Jana Kazimierza (w roku 1661) ujrzała Warszawa po raz pierwszy polską gazetę. Był nią wydawany przez Jana Aleksandra Gorczyńskiego „Merkuryusz Polski Ordynaryjny“.

WARSZAWA ZA MICHAŁA I JANA.

Nijakie pod każdym względem rządy młodego Wiśniowieckiego i w dziejach Warszawy nie zapisały się niezem trwalszem. Tragiczna była tylko dla miasta elekeya tego króla. Co jeszcze pozostało po niedawnej zawierasz wojennej, zniszczył wówczas do szczytu pożar gwałtowny.

W „Regestrze Rewizyi Gospód miasta Starej Warszawy“ z roku 1669 (rękopis) znajduję wymowne ślady tej katastrofy. O ulicy Piekarskiej naprzykład czytam: „Ulicia Piekarska wszytka zgorzała na Sejmie *Electionis* po lewej ręce od Rynku ku Marowi“. A dalej: „Druga strona na tej ulicy po prawej stronie zgorzała wszytka“. A dalej jeszcze: „Z Rynku idąc do Dunaju ku Bramie na Wału po lewej ręce zgorzało wszytko...“

Z ważniejszych faktów, którymi to panowanie kronikę Warszawy z bogaciło, zapisać można koronacyę królowej Eleonory, arcyksiężniczki austryackiej. Był to drugi już obrzęd koronacyjny, odbyty w Warszawie, jakby naprzekór Krakowowi. Tymi obrzędami Warszawa utrwałała w Rzeczypospolitej i wywalczała sobie stanowczą wyższość nad zmieniającym się zwolna w grobowe mauzoleum Krakowem.

Innych wspomnień i pamiątek król Mi-

chał w Warszawie nie pozostawił. Za krótkich jego rządów, miasto nasze zajęte było wyłącznie gojeniem ran po klęskach.

U Kamedułów na Bielanach znajdują się piękne portrety pary królewskiej. Wiśniowiecki należał do szczególnych dobrodziejów i częstych bywalców pustelni Bielańskiej. Dowodzi to, że był zdolniejszy do rozmyślań ascetycznych, niż do rycerskiego i politycznego czynu.

I król Jan, zbawca chrześcijaństwa, dla Warszawy nie zbawczego nie zrobił. Być może nawet, że ujął jej nieco blasku — przez zbudowanie bowiem pałacu w Wilanowie i zamieszkanie w nim, tam przeniósł środek ciężkości miasta.

Kapucyni na Miodowej i Karmelici na Lesznie przez tego króla byli sprowadzeni do Warszawy. „Marysieńka“ na swoją rękę ufundowała żeński zakon Sakramentek.

Żonie Sobieskiego i jej praktycznym, — że nie powiem: handlarskim—tendencyom, zawdzięczała Warszawa wielki bazar, nazwany od imienia założycielki „Marywilem“. I tu znalazła się „Panu Bogu świeczka“—pod postacią kaplicy, która w bazarze dziwne za prawdę czyniła wrażenie.

Powstał wówczas i Marymont, myśliwski pałacyk króla i jego małżonki, również imieniem tej ostatniej ochrzezony.

Za Sobieskiego, chociaż on był jednym z najszezerzej polskich monarchów — nad miarę rozpanoszyli się w Warszawie Francuzi. Ciekawe o tem szczegóły podaje Pasek. U niego też doczytać się można przednich rzeczy o cyrku francuskim, gdzie dworowi austriackiemu jawnie urągano...

Warszawa posiada dotąd pamiątkę tego świetnego nazewnątrz panowania. Skromna to pamiątka, choć w widocznym punkcie umieszczona, niewiele też mieszkańcom Warszawy wiadome jest historyczne jej znaczenie.

Pamiątką tą — figura Matki Boskiej na Przedmieściu Krakowskiem, ongi przed domem Maleza (gdzie zaczynało się Wązkie Krakowskie Przedmieście), dziś na zieleńcu, stojąca.

Wystawił tę figurę Bellotti, architekt włoski, w Warszawie osiadły, w roku tryumfu wiedeńskiego, a zarazem na pamiątkę tego tryumfu. Gdybyśmy naszym pamiątkom i zażytkom okazywali to zajęcie, jakiego nie szczędzimy obeym, roztargniony nasz wzrok dostrzegłby na podstawie figury napis, wyjaśniający dokładnie jej znaczenie. Czytamy tam między innemi: „Dnia 12 września Roku Pańskiego 1683, najwaleczniejszy z królów Jan III, za Boską pomocą oblegających Wiedeń Turków świetnie pokonał. Tego samego dnia, tak szczęśliwego dla uwiecznie-

nia głazem, ten pomnik Józef Bellotti, Włoch, własnym kosztem wystawił“.

WARSZAWA ZA SASÓW.

Wyobraźmy sobie położenie człowieka, który znalazł się niespodzianie pomiędzy dwiema bijącemi się z sobą gromadami ludzi. W takim położeniu była za Augusta II-go nieszczęsna Warszawa.

Początek wieku XVIII-go przyniósł jej nowe odwiedziny Szwedów, nowe bitwy i nowe ruiny. Potem zaczęły się nieustanne przechody wojsk rosyjskich, które przysyłał Piotr Wielki, uczyniwszy się przyjacielem i obrońcą Augusta.

W lipcu 1707 roku przybył do Warszawy sam Piotr i zamieszkał w pałacu Bielińskiego (późniejszy pałac Łubieńskich na Królewskiej, w końcu wieku zeszłego rozrzucony).

Gdy burze wojenne uciekły, Warszawa jęła się pracy około uprzątnięcia gruzów i zabudowywania pustek. Król dał początek, wznosząc olbrzymi pałac dla siebie i dla swego liczego dworu. Pałac, przez Sasa zbudowany, nazwano „Saskim“. Tenże tytuł dostał się i przylegającemu do pałacu ogrodowi, oraz jednej z kęp na Wiśle (było ich wówczas trzy, a każda inną miała nazwę).

Warszawa za Sasów stała się miastem po wierzchu strojnem, w głębi pełnem brudu, niechlujstwa i nędzy. Kontrasty: bogactwa i biedy, przesyta i głodu, wytworności i gburstwa — nigdzie może i nigdy nie występowały tak ostro, jak wówczas w stolicy Polski.

Warszawa saska stała się także miastem wesołem. Była to wesołość człowieka pijanego, który o tem, co było, zapomniał, a o tem co będzie, myśleć się lęka.

Przez cały rok grzmiały kapele, przygrywając letnim i zimowym zabawom; bale następowały po balach; miłostki były dla wszystkich nieodzowną życia przyprawą; niezmierną ilość prochu marnowano na fajerwerki, a wojsko polskie i saskie służyło wyłącznie za materiał do przeróżnych paradnych rewij i manewrów, któremi niedołężny król bawił siebie i naród. Uwieńczeniem wszystkiego była wielka, po dzisiejszemu się wyrażając „szopka“ wojenna, zwana Kampamentem, urządzona na polach pomiędzy Warszawą a Wilanowem.

Za Augusta II-go, przybyły Warszawie kościoły: Trynitarzy na Solcu i Bazylianów. Tenże król zbudował tak zwaną „Kalwaryę“, to jest szereg kapliczek z wyobrażeniami stacyj Męki Pańskiej.

August III w dalszym ciągu prowadził dzieło ozdabiania i rozweselania Warszawy. Rozwijał zwłaszcza wytrwale jej muzykal-

ność oraz kult baletowy i cyrkowy. Dotychczas w usposobieniu Warszawian odnajdują się ślady owej tresury.

Innemi potrzebami miasta flegmatyczny ten epikurejczyk wcale się nie zajmował. Na szczęście dla Warszawy, znalazła ona dzielnego opiekuna we Franciszku Bielińskim, marszałku wielkim koronnym. Ten energiczny zarządca miasta uczynił dla niego tak wiele, że sobie na pomnik od Warszawian zasłużył. Powiedzieć nawet można, że on pierwszy o zaprowadzeniu w Warszawie ładu pomyślał. Inni czynili Warszawę bogatą, wspańiałą, politycznie silną i strojną; Bieliński dopiero uczynił ją—porządną.

Z działalnością wzorowego marszałka łączy się bezpośrednio działalność tak zwanej „Komisyi Brakowej“. Komisyja, której kierownikiem i duszą był Bieliński, dokonała pracy prawdziwie Herkulesowej, bo ówczesna Warszawa przedstawiała uderzające do stajni Augiasza podobieństwo.

Wybrukowano ulice, urządzono ścieki, uprzętnięto z ulic odwieczne śmiecie, umożliwiono dostęp do Wisły, a co najważniejsza, opodatkowano obywateli według stałej i dla wszystkich jednakowej normy.

Z nowych użytecznych nabytków, jakie miasto w tym czasie otrzymało, wymieniamy: latarnie w bramach miejskich, pompy, dostar-

czające dobrej wody do picia, pierwszy plan Warszawy, pierwszą loteryę i pierwsze — kawiarnie.

W tej epoce ogólnego rozprzężenia, poniewierki praw i rozpasania obyczajów, Opatrzność zesłała miastu i krajowi innych jeszcze trzech mężów, równych Bielińskiemu rozumem, energią i miłością dobra publicznego. Pierwszym był Baudoain, założyciel szpitala Dzieciątka Jezus; drugim Konarski, twórca *Collegium nobilem*; trzecim Załuski, fundator biblioteki publicznej.

WARSZAWA ZA STANISŁAWA AUGUSTA.

Ze czcią spoglądam i innym spoglądać zalecam na odwieczne, ciemne, opuszczone i najczęściej bardzo brudne domy staromiejskie. Te domy były szańcem, o który roztrącały się fale cudzoziemczyzny, perjodycznie zalewać nas usiłującej.

W ciągu wieków groził Warszawie kolejno zalew włoski, szwedzki, francuski. Za Stanisława Augusta zalew francuski raz jeszcze wtargnął, ale nakształt bałwana, przewalającego się przez wierzch okrętu, zmiotł i uniół to jedynie, co się nieopatrznie na czoło wysunęło. Głębin, to jest tego, co stanowi rdzeń miasta, nawet nie dotknął, rdze-

niem zaś było: gnieżdżące się w owych poczer-
niałych, o Don-Kichotowej figurze, kamieni-
cach stare warszawskie mieszczaństwo.

Stara Warszawa przetrwała w tym sa-
mym, zewnętrznym i wewnętrznym kształcie
epokę książąt Mazowieckich, Jagiellonów, Wa-
zów i królów obieralnych. Sądzone jej było
przetrwać tak samo rządy Stanisława Augu-
sta oraz dalsze, aż do chwili obecnej sięgające,
odmiany.

Jednak epoka, która część narodu roze-
brała z kontuszów, musiała i część miasta
ukształtować po cudzoziemsku. Wistocie, gma-
chy stawiane za rządów Poniatowskiego, ko-
mnaty zamkowe jego pomysłem zdobione,
wreszcie cała zewnętrzność dworu i tego, co
się nazywać zwykło „lepszem (?) towarzy-
stwem“ — nosiły wyraźne znamiona francuz-
czyzny. Cóż mówić dopiero o najdoskonal-
szem wcieleniu idei i upodobań króla: o „Ła-
zienkach królewskich“, prześlicznych, ale wy-
glądających u nas, jak drzewo pomarańczowe
w sadzie polskiego chłopka!

Zresztą ta epoka, aż do ostatnich lat
XVIII-go wieku, była dla Warszawy względnie
pomyślna. Miasto rozrastało się w różnych
kierunkach, oddalając się coraz bardziej od
swego jądra staromiejskiego. Przybywało mu
z roku na rok ludzi i gmachów. Wsie okoli-
czne łączyły się z niem i wsiąkały w nie, tra-

cę byt odrębny. „Jurydyki“ broiły po dawnemu—może nawet gorzej. Wszystko to jednak spajał cement stołeczny, nad wszystkim sprawiała rządy symboliczna—Syrena... Ten wielki ruch budowlany, administracyjny i towarzyski wyglądał na zakreśloną szeroko pracę przygotowawczą. I dla tego współczesny, bystry i dowcipny obserwator (ksiądz F. S. Jezierski) tak o tem pisze:

„Uważając Warszawę ile dopiero ma być miastem, to jest mila wszerz i wzdłuż, obwiedziona jest miałkim przekopem, napełniona kamienicami, pałacami, kościołami i klasztorami, dworkami drewnianymi, szpitalami, ogrodami, budynkami starymi, browarami, magazynami, młynami, cegielniami, fantazyami na koniec umysłów pańskich. Ta rozległość pochłonęła wsie i folwarki okoliczne, które dziś są niby przedmieściami przedmieściów. Reszta odsuniętych miejsc wydaje się oczekiwać murów od ludzi, od czasu i od pieniędzy“.

Ryciny i obrazy Canaletta, rysunki Norblina i Orłowskiego odtwarzają wiernie ówczesną stolicę, jej postać i barwne, ruchliwe, z punktu malarskiego niezrównanie piękne, życie.

W przetwarzającej się stolicy jedna tylko rzecz pozostała niewzruszona: porządki, a raczej nieporządki miejskie. Cała energia i wszystkie wysiłki Bielińskiego nie zdołały

wykorzenie całkowicie narowu, który wsiąknął już niejako w krew mieszkańców Warszawy.

Porwanie króla o pół do dziesiątej w nocy, na ulicy pierwszorzędnej, o sto kroków od Zamku, dostatecznie chyba stwierdza, że w roku 1771 oświetlenie ulic warszawskich i czujność miejskiej policyi wiele pozostawiały do życzenia...

Dopiero po tym fackie, zabrano się nieco energicznej do naprawiania rażących błędów. Przedewszystkiem powiększono liczbę latarni i wydano przepisy o meldankach.

Za Stanisława Augusta, przybyły Warszawie dwa kościoły: Ś. Karola na Powązkach i Bazyliński na Miodowej. Wzniosła też własną, piękną świątynię gmina ewangelicka. Król rozszerzył i wspaniale wewnątrz przyozdobił Zamek, budząc rymowane zachwyty wśród dworskich poetów. Stanęły wreszcie piękne koszary dla wojska.

Przy ogólnym wzroście sztuki i literatury, musiał i teatr zakwitnąć. Jakoż przedstawienia polskie, najpierw w miejscach przygodnych, następnie w umyślnie wzniesionym gmachu na placu Krasińskich, weszły na stały program zabaw stołecznych. Rozumie się, że obok nich nie brakło—jak i dziś nie braknie—popisów francuskiej komedyi, włoskiej opery i kosmopolitycznego baletu.

Z faktów ważniejszych zapiszmy jeszcze:

zbudowanie mostu łyżwowego na Wiśle (1775), wzniesienie posągu Sobieskiego w Łazienkach (1788) i zakaz chowania zmarłych przy kościołach (1782).

WARSZAWA POD RZĄDEM PRUSKIM.

Zmiana dekoracyi...

Niema już Królestwa Polskiego, niema więc tem samem jego stolicy, Warszawy. Są tylko „Prusy Południowe“ i jest w nich: *der Hauptstadt Warschau*.

Wszystko, a zatem i wewnętrzne gospodarstwo Warszawy, z gruntu przetwarza się i zmienia. Na lepsze, czy gorsze?

O „czasach pruskich“ słyzy się u nas najrozmaitsze sądy. Przeważnie one brzmią surowo i niepoehlebnie. Falkowski, Morawski i inni biadają nad upadkiem moralnym prowincyj polskich pod rządem Fryderyka Wilhelma. Według nich, ten rząd nie tylko nie powściągał ogólnego rozprzężenia obyczajów, lecz nawet rozpastę rozmyślnie podniecał. Skarbek powstrzymuje się od tych, cokolwiek za śmiałych sądów, ale w „Pamiętnikach Se-glasa“ maluje jaskrawo zgniliznę i rozkład moralny społeczeństwa.

Ludzie zrezygnowani nie opuszczają rąk, nie tracą otuchy, i godząc się z położeniem,

usiłują stworzyć sobie i ogółowi nowe, daleko znośniejsze warunki istnienia.

Rząd dopomaga wyborną administracją, powściągnięciem nadużyć, usuwaniem nieporządku i bezładu—instytucjami nareszcie, dobro ogółu mającemi na celu.

Najzawziętszy prusakożerca nie zaprzeczy, że w miastach polskich, a przedewszystkiem w Warszawie, rządy Fryderyka Wilhelma pozostawiły ślady użytecznej działalności. „Prusacy—pisze w pamiętnikach swych pewien Rosyanin, wśród nas podówczas przebywający*)—budowali w prowincjach polskich miasta, ulepszyli byt włościan, poskromili nadużycia szlachty, zaprowadzali szkoły, agencye ubezpieczeń, towarzystwa dobroczynności, wspierali rękodzieła i pracowitość. Dowiedli oni w Polsce, że nie klimat i nie gleba formują naród, lecz instytucye“. W pochwałach tych tkwi przesada — główna ich treść jest niewzruszona, bo na faktach oparta.

Warszawa pod rządem pruskim spowadniała i zdemokratyzowała się.

Niczem pięknem nie zbogaciło się miasto w tym czasie; przybyło mu za to niejedno użyteczne. Przedewszystkiem skończyły się rządy jurydyk, które podciągnięto pod władzę jednego dla całej Warszawy magistrata.

*) Michajłowski—Danilewski.

Następnie wzmógł się handel przez wpuszczenie do miasta żydów. Dalej wzmocniło się życie rodzinne i towarzyskie. Nakoniec, dzięki wielu użytecznym instytucyom, podniosły się: dobrobyt i wygoda mieszkańców.

Samo wyszczególnienie tych instytucyj dostatecznie ważność ich okaże. Tak więc za rządu praskiego pozyskała Warszawa: lombard miejski, wypożyczający pieniądze na fanty po 8 od sta rocznie; hipotekę miejskich nieruchomości; liceum, czyli szkołę publiczną, dzisiejszym gimnazyom odpowiadającą; dobre oświecenie; targi uwzględniające sanitarne i ekonomiczne potrzeby miasta; przytulki dla żebraków; miejskie towarzystwo ogniowe; kantor zleceń, ułatwiający stosunki między wytwórcami a spożywcami; dorożki, bruki, pensye prywatne i t. p.

Nareszcie zapisać trzeba w tym rozdziale fakt wielkiej doniosłości: założenie (w r. 1800) Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

WARSZAWA ZA KSIĘZTWA WARSZAWSKIEGO.

Za rządów Fryderyka Augusta — istnej maryonетки, poraszanej przez Bonapartego — Warszawa była najpierw koszarami, potem zbornym punktem rekratów, w końcu — olbrzymim szpitalem.

Przez te osiem lat wypełniała miasto jakaś niezdrowa, duszna, zaczadzająca atmosfera. Oddychający nią żyli w ciągłym upojeniu:

Warszawa, w oczekiwaniu wielkich rzeczy, które, niestety, nadejść nie miały, wzrok w przyszłość wyteżając, dołą obecną weale się nie zajmowała. Na tym granie rachomym nie, naturalnie, wzrosnąć nie mogło.

Miasto, okazujące po wierzech sztuczną energię, w rzeczywistości było biedne, osowiałe, coraz bardziej żywotność swą tracące. Smutny, bo prawdziwy jego obraz odmalował Pradt w swych wspomnieniach ambasadora francuskiego.

Niedość było Napoleonowi wyludniać miasto, zabierając mu wszystką młodzież, ubożyć obywateli podatkami wojennymi—zabierać jeszcze kazał i do Paryża wywozić nieliczne dzieła dzieła sztuki, jakie je zdobyły. Ogołociono wówczas pałace i kościoły z wielu pięknych obrazów, których część, w skutku energicznych upominań się, została zwrócona.

Wysilano się nad sposobami okazywania Napoleonowi hołdów, graniczących z ubóstwieniem. Skarbek w swych „Dziejach“ obszernie o nich pisze. Nie wymieniając innych, wspomnimy tylko o przemianowaniu ulicy Miodowej na „Napoleońską“.

Ogłoszenie kodeksu Napoleona przyjęto z tym samym zapalem, co i jego osobę.

Na szczęście, obok ogółu, żyjącego wyłącznie przyszłością, stały jednostki, nie spuszczone z oczu obecności. Im to zawdzięczać trzeba utworzenie „Najwyższej Izby Edukacyjnej“, która sprawami oświaty z pożytkiem się zajmowała, a po za tem: otwarcie „Szkoły prawa“, „Szkoły lekarskiej“ i „Towarzystwa Dobroczynności“.

Działalność teatru pod dyrekcją Wojciecha Bogusławskiego w tej epoce ogólnego podniecenia umysłów była bardzo ożywiona; podniosło się też dziennikarstwo, zasilane obfitością nowin i pilnem ich poszukiwaniem.

Nie tylko wojenne i polityczne lecz i żywiołowe klęski dotykały w tem ośmioletcu Warszawę. W liezbie ostatnich zapisała kronika miasta dwa wielkie pożary, z których jeden obrócił w perzynę dawną bibliotekę Załuskich przy ulicy Daniłowiczowskiej, a drugi zniszczył prawie cały pałac Kazimierowski na Przedmieściu Krakowskim.

W roku 1807 inżynierowie francuscy zamierzali nauczyć Warszawian: jak się mosty budują. Zabrawszy się żwawo do dzieła, w ciągu kilku miesięcy postawili most na palach, który kosztował 700,000 złotych polskich. Otwarto go w czerweu—przezem znów wy-

buchnęły zachwyty, a może także ody, kantaty i hymny.

Ale zaraz następnej wiosny trzeba było śpiewać elegie i gorzkie żale — lody bowiem skruszyły to arcydzieło, a woda pale wyrwała i uniosła.

Możnaby w tym moście widzieć symbol ówczesnych nadziei...

WARSZAWA JAKO STOLICA WSKRZESZONEGO KRÓLESTWA.

W r. 1815, w skutku nowej odmiany politycznej, Warszawa stała się napowrót tem, czem ją był uczynił Zygmunt III. Cesarz Aleksander I, przywracając krajowi naszemu tytuł królestwa, koronował się w Warszawie, jako w jego stolicy, na króla polskiego. Miasto podniosło się i rozpoczęło nowy okres rozwoju na drodze pokojowej.

Warszawę po roku 1815 opanowała namiętność odmładzania się. Barzono jedne po drugich stare malownicze bramy miejskie. Pod oskardami malarzkimi padł Ratusz staromiejski, istna relikwia, której każda cegła była godną zachowania pamiątką. Dwa czołowe skrzydła Zamku oraz szereg kamienie przy Bramie Krakowskiej, znikły bez śladu. Rozrzucono kościół i klasztor Dominikanów Ob-

serwantów, rozebrano Pocijów, przekształcono Marywil i t. d.

Natomiast przystroiło się miasto całym szeregiem gmachów rozpaczliwie monotonicznych, wedle jednego pseudo-klasycznego typu wznoszonych i dziwacznie pod naszym niebem i wśród naszego klimatu wyglądających. Twórcą tych wszystkich, przeładowanych kolumnami, budowli był Włoch Corazzi, który niemi w kronice Warszawy zapisał się trwale—zbyt trwale, niestety.

Warszawa wzrastała w ludność i w bogactwo, a jako miejsce sejmów, gromadziła w swych murach bogatą szlachtę i przedstawicieli całego kraju. Przybywały jej coraz nowe instytucje i coraz nowe porządki.

Gdy szczątki legionów wróciły do kraju i gdy, wyrażając się stylem ówczesnym, „w świątyni Janusa, zamknięto podwoje“, zaczęły dawać znak życia: literatura i sztuka.

Ludzie, których wzrok dalej sięgał, przepowiadali Warszawie wielką przyszłość, głównie ekonomiczną. Należał do tych ludzi Staszic.

II.

O KAMIENICACH W RYNKU STARO- MIEJSKIM.

W e wszystkich dotychczasowych opisach Rynku Starego Miasta poprzestawano na wzmiance o kilku najwydatniejszych jego domach. Reszta wydawała się opisującym niegodną bliższej uwagi. Ja sędzę o tem inaczej. Dla mnie Rynek Staromiejski jest księgą, której wszystkie bez wyjątku karty powinny być odczytane. Jedne z nich zajmują więcej, inne mniej—nie wynika stąd jednak, aby którakolwiek, bez szkody dla całości, mogła być wydana.

Z czterech boków Rynku, każdy miał niegdyś swą nazwę urzędową. Te nazwy dla dzisiejszego czytelnika byłyby już niezrozumiałe. Zamiast nich postawimy inne, prostiejsze i wskazujące zarazem stronę, w której się każdy z boków znajduje.

Szczegółowy przegląd domów odbywać się będzie koleją dzisiejszych numerów policyjnych; tuż obok nich wskażemy numery hipoteczne.

A. BOK POŁUDNIOWY.

(Pomiędzy Jezuicką a Świętojańską).

O tym boku ksiądz Kurowski napisał, że „nie posiada żadnego domu, do którego-by przywiązana była pamiątka głośnego czynu lub w dziejach wspomnianej osoby“. Zobaczymy zaraz o ile to jest prawdą.

Pierwszy opis należy się domowi dziś już nieistniejącemu. Stał on na rogu Rynku i ulicy Jezuickiej, tam gdzie znajduje się obecnie przedłużenie gmachów po-Pijarskich.

W wieku XVII był ten dom własnością rodziny Gizów (inaczej Gissów), liczącej się do patrycyatu Starej Warszawy. Rodzina ta posiadała również dom oboczny.

O Gizach mówi Jarzębski:

Gizowie od czasów dawni
W urzędach są różnych sławni...

Potwierdzają to fakty.

Uczony biskup warmiński Tydeman Giza, żyjący w pierwszej połowie XVI-go w. z tego rodu pochodzi. Niejednostajność pisowni już przy jego nazwisku występuje wyraźnie. Nazywany jest naprzemian: Giza, Gissa, Gize (ta



RYNEK STAROMIEJSKI W DOBIE PRZEDOSTATNIEJ.

forma ustaliła się), Ghize, Ghise, wreszcie Gisias i Gizjusz. Łączyła go przyjaźń z Kopernikiem i Erazmem z Rotterdamu; cieszył się też zaufaniem Zygmunta Starego.

Prawie współcześnie z biskupem występuje Balcer albo Baltazar Giza, który jest rajcą Starej Warszawy.

Syn Balcera Paweł jest księdzem († 1624). Napis na jego nagrobku, dziś już nieistniejącym, utrwał w swych „Monumentach“ Starowolski.

Mieli też Gizowie w rodzie swym i poetę. Na imię ma było Jan. Ten żył i pisał ku końcowi wieku XVI-go, modą zaś ówczesną przeważał się Gysaeus. Bentkowski wspomina za Janockim (Janociana I, 105) o dwóch jego wierszach, w młodym wieku napisanych, które się w Bibliotece Załuskich znajdowały. Oto ich tytuły: I. *In obitum Sereniss. Stephani Regis Pol. etc.* (Kraków 1588, in 8°); II. *Charites Serenissimam Annam Reginam Pol. etc. in ingressu Cracoviam anno 1588 salutant. Joanne Gysaeo Varsavien. ad lyram tenero aetatis plectro praecinente.* (Kraków 1588, in 4°).

Jedna z Gizanek (nazywana błędnie „Gizanką“) odgrywa nieciekawą rolę w erotyczno-melancholijnych fantazyach Zygmunta Augusta. Poślubił ją Michał (syn Jerzego) książę Wiśniowiecki. Inna (Anna) jest matką dziejopisa Rudawskiego. Rudawski nazywa ją

„baronessą z przesławnego rodu Gissów we Frankonii“. Jest w tem przesada, ale częściowa tylko. Gizowie—jak niemal wszystkie rody mieszczańskie Starej Warszawy—byli pochodzenia niemieckiego; gniazdem też ich była podobno Frankonia.

W początkach XVII-go w. Aleksander Giza piastuje urząd administratora komór solnych Mazowieckich.

Z lustracyi 1620 r. dowiadujemy się, że miał spór z mieszczanami Nowomiejskimi. Przedmiotem sporu była jego posiadłość sześciowłókowa, w obrębie Nowej Warszawy leżąca. Gizowie otrzymali przywilej na nią od Bolesława księcia Mazowieckiego. Nowomieszczanom nie było to na rękę, wystąpili więc energicznie przeciw libertacyi—której wszakże prawomocności pozbawić nie mogli.

W r. 1652 Mikołaj Konstancy Giza otrzymuje indygenat. Jednocześnie król Jan Kazimierz obdarza go przywilejem, awalnającym od czynszów z folwarka we wsi Wielka Wola i z gruntów, półtrzęciej włóki obejmujących.

W epoce pierwszej wojny szwedzkiej, wstawia się Jan Aleksander Giza (syn administratora). Akty Starej Warszawy nazywają go naprzemian Janem i Aleksandrem. Wprowadza to zamieszanie do genealogii Gizów, wśród których znajduje się współcześnie inny

Aleksander, kanonik warszawski. Jest to zapewne młodszy brat tamtego.

Jan Aleksander Giza jest w r. 1655 właścicielem domu, o którym mówimy. Piastuje wówczas zaszczytną godność burmistrza Starej Warszawy. Na ten urząd wraca kilkakrotnie, co dowodzi jak wielkiem zaufaniem darzony był przez współobywateli.

W czasie najazdu szwedzkiego, gdy popłoch ogarnął całe miasto, on jeden głowy nie traci, i stanąwszy na czele obrony, umiejętnie nią kieruje. Zjednywa mu to przydomek: „Rząd Warszawy“.

Dwaj bracia Jana Aleksandra służą wojskowo. Jakób jest rotmistrzem rajtaryi, Franciszek—kapitanem. Męstwo Jakóba, okazane przy wzięciu Torunia w r. 1657, zapisano w konstytucjach.

Ksiądz Aleksander Giza, kanonik warszawski, jest sekretarzem królewskim. W „Rewizyi gospód“ z r. 1669 występuje jako właściciel opisywanego przez nas domu. W tejże Rewizyi opisano i sam dom, jako posiadający „izb 5, sklepów 4, piwnie 3, kachni 2“. Stawał w nim gospodą biskup Warmiński.

Ksiądz sekretarz posiada grunty libertowane w Bródnie pod Warszawą.

Na początku wieku XVIII-go, dom Gizów przeszedł na własność Franciszka Witthoffa,

burmistrza Starej Warszawy. Witthoffowie to również patrycyusze staromiejscy.

Franciszek nosił przezwisko „Bogacz“, liczył się bowiem do najzamożniejszych obywateli miasta. Miał szczególne apodobanie do nabywania domów, których posiadał kilkanaście. Może czynił to w nadziei, że tym sposobem utrwali się w mieście na długo, jeśli nie na zawsze, potęgą jego rodziny.

Stało się inaczej.

„Bogacz“ miał jedyne go syna Stanisława, któremu, umierając (w r. 1719), pozostawił olbrzymi majątek. Nie spodziewał się, niestety, że ten syn będzie ostatnim z rodu. Stanisława wzięli w opiekę Jezuiti i tak długo mówili mu o marności dóbr doczesnych, że przywdział ich sakienkę i bogactwa swe zakonowi zapisał.

Wówczas też przeszedł do rąk Jezuitów i dom, który opisujemy.

Weielony do gmachów klasztornych, uległ zupełnej przeróbce i był samoistny utracił.

Od r. 1729, pozbawiony czoła i oddzielnej pozycyi bipotecznej, nie liczy się już do posesyj staromiejskich.

O przeszłości tego domu jedno jeszcze zapisać trzeba. Zanim został własnością Gizów, nazywano go „Zygmuntowskim“. Skądby ta nazwa powstała, dojść nie mogłem.

№ 1 (35).

Na tym domu znajdowała się dawniej tablica marmurowa z takim napisem:

D. O. M.

Nie dziw, że tak ta struktura wspaniała,
Gdyż dwakroć polskich tronów respekt miała.
W ręku Walbachów w przód libertowana,
Z tym przywilejem w moc Gizom podana,
Andrychiewiczów z Gizowskiej została,
Których się kosztem tak reformowała.

Roku Pańskiego 1707, dnia 18 Października.

Jest to w streszczeniu kronika posesyi. Pierwszy jej właściciel, Melchior Walbach, w wieku XVI żyjący, był bogatym kupcem a zarazem podwojewodzim warszawskim. Musiał położyć ważne dla miasta zasługi, skoro obdarzono jego dom libertacją oraz innymi przywilejami. Jedno i drugie zostało aprobowane w r. 1677, gdy dom był już własnością Gizów.

Jak przeszłość całej Warszawy, tak i przeszłość tego domu trudno odbudować z tego, co się widzi obecnie. Kilka zaledwie pozostałości stanowi ślad niewyraźny i zatarty, po którym postępując ostrożnie, z dowodami archiwalnymi w ręce, dochodzi się do ułamkowego doby wczorajszej obrazu.

Samo rozejrzenie się w planie sytuacji-

nym domu poucza, że był siedzibą rodziny możnej, prawie magnackiej. Jest to jakby trójca budynków, w jedną całość złączonych. Każdy budynek posiada trzy lub cztery piętra oraz obszerne, oszklone poddasze. Komunikację pomiędzy budynkami stanowiły niegdyś korytarzyki wąskie, półciemne i tak zręcznie w ścianach sieni ukryte, że nieświadomy istnienia ich się nie domyślał.

Dom czołowy o czterech piętrach służył za mieszkanie gospodarzowi i jego rodzinie. Komnaty są tu po pańsku obszerne i widne. Ale napróżno szukalibyśmy ich najpiękniejszej z późniejszych czasów ozdoby: malowanych przez Bacciarellego plafonów. Zachowały się tylko piękne poręcze schodów z kutego, misternie wyginanego żelaza.

W sieni stoi jeszcze ława kamienna dla służby, a nad drzwiami zamurowanymi widać tablicę z zatartym do szczytu napisem.

Część druga, znacznie skromniejsza, stanowiła pomieszczenie służby. Od budynku czołowego oddziela ją maleńkie, typowo staromiejskie, do studni podobne podwórko.

Część ostatnia obrócona była na składy. Okna są tu po większej części kratami żelaznymi opatrzone.

„Rewizya gospód“ utwierdza nas w przekonaniu, że ta posesya miała ongi charakter dworu w pełnem tego słowa znaczeniu. Nie

brakło w niej nawet tego, co w domach staromiejskich stanowi największą osobliwość, mianowicie: stajen. Rewizya wymienia „stajenkę na tyle“ oraz „stajnię wielką“.

Po Gizach, właścicielami domu stali się Andrychewicze.

Ostatnia rodzina dopiero w drugiej połowie XVIII w. na widownię występuje. W 1781 roku Ignacy Andrychewicz v. Andrychowicz jest ławnikiem Starej Warszawy i asesorem urzędu ekonomicznego; w trzy lata później spotykamy go wymienionego pomiędzy rajcami.

Andrychewicze kamienicę, nadrajnowaną już nieco, odnowili i upiększyli, pozostawiając pamięć tego w tablicy, o której wspomniałem na wstępie.

Taryfa z 1784 r. wymienia jako właścicielkę domu „urodzoną“ Antoszewską. Potem dom przechodzi kolejno do Majewskich, Vogłów i Gołembiewskich. W rękę ostatniej rodziny dotąd (od lat przeszło stu) pozostaje.

Znajdujący się na czole domu wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej za szkłem nie jest zabytkiem dawnym. Umieszczono go dopiero w roku 1853.

Obecny właściciel domu objaśnił mnie, że ze starych pamiątek nieruchomości jego posiada jeszcze: drzwi dębowe rzeźbione w stylu „kościelnym“ (gotyckim, ostrołakowym), także okienice i boazerye oraz belki modrzewiowe

snycerskiej roboty, napszczane farbami. Te ostatnie są w części zabiłone wapnem, w części deskami oszalowane. Należy je koniecznie odsłonić i oczyścić.

Jeden z mieszkańców domu niegdyś „Gizowskiego“ uczynił się sławnym, a przynajmniej popularnym. Był nim Patz, dyrektor policyi za rządów pruskich.

Musiał to być człek energiczny i zwolennik doraźnego wymierzania sprawiedliwości. Dowiec aliczny zamknął charakterystykę jego w dwuwierszu, który się dotąd w pamięci lada warszawskiego przechował:

Chodźmy do pana Paca,
Co bije kijem i obraca.

Skończywszy z faktami, wspomnijmy o — bajkach.

Podanie ustne, dowodami nie poparte, czyni dom opisywany miejscem zamieszkania Urszuli Mejerin, głośnej ochmistrzyni synów Zygmunta III-go. „Panna Urszula“ miała tu mieszkać zaraz po przybyciu do Polski, przy czem skryte, podziemne przejście łączyło rzekomo jej dom z Zamkiem królewskim...

Twórcy tej romantycznej fantazyi nie biorą pod uwagę faktu, że towarzyszka królowej a następnie dozorezyni jej dzieci, nie mogła przemieszkować gdzieindziej, jak tylko — przy królowej i przy jej dzieciach. Nie

zastanawiają się też nad tem, że nikt nie potrzebuje dostawać się drogą skrytą tam, gdzie ma w każdej chwili, jak mówią Francuzi, *ses grandes et petites entrées*.

Postanowiłem wykryć źródło, z którego bajka powstała, i zdaje mi się, że cel do-
piął.

Przedewszystkiem, istnieją wskazówki (jeśli się nie mylę w Pamiętnikach ks. Albrychta Radziwiłła), że panna Urszula pokumała się z mieszczanstwem warszawskiem i w Rynku, czy też w którejs z przyległych ulic, nabyła na własność kamieniczkę. Rozumie się, że tą kamieniczką nie była i być nie mogła wielka posesya Walbachowska, zajmująca miejsce tak wydatne w kronice Starej Warszawy.

Następnie jeden z domów na tej właśnie południowej stronie Rynku, zwał się „Majeranowski“ (od Majerana, burmistrza Starej Warszawy) — co brzmiało tak samo prawie, jak „Majerinowski“.

Wreszcie w kamienicy Walbachowskiej istniały rzeczywiście przejścia, któremi można się było dostać — nie skrycie jednak i nie pod ziemią — najpierw do kościołów: Jezuickiego i Ś. Jana, następnie do Zamku.

Wiadomo, jaka tajemniczość okrywała (i dotąd okrywa) osobę wpływowej Niemki, przyjaciółki i opiekunki Jezuitów. Nawet na-

zwisko jej podawane jest w wątpliwość*). Ra-
chliwa fantazyja ludu warszawskiego, tajemni-
czością podniecona, wysilała się, aby „pannę
Urszulę“ uczynić bohaterką jakiejś, w stylu
staromiejskim, legendy. W tym celu, trzy odo-
sobnione fakty, które przytoczyłem, złączone
zostały w jeden, i po odpowiednim prze-
kształceniu zmieniły się w efektowną—bajkę.

№ 3 i 5 (36 i 37).

Te dwa numery łączę w jeden, posiadają
bowiem bardzo mało treści historycznej i pa-
miętnikowej.

Jako właściciel domu № 3, wymieniony
jest w lustracyi 1655 r. Jerzy Jucht vel Juch,
„cyrulik J. K. Mości“. Ten dom był liberto-
wany, co zapisano znów w lustracyi 1660 r.

Zdaje się, że tylko przez czas krótki
znajdowała się ta kamienica w posiadaniu
Juchta, bo już w 1669 r. właścicielem jej jest
Marcin Ginter, akty zaś owoczesne piszą o niej:
„*ante* Kosińskiego“.

W dziejach Starej Warszawy nazwisko
Ginterów często się spotyka. Była to rodzi-

*) Sobieszczański twierdzi, że Meierinn albo Ma-
jerinn nie jest nazwisko, lecz znaczy poprostu: ochmi-
strzyni. W starej niemczyźnie wyraz ten jednoznaczny
był z Meisterinn (Hofmeisterinn).

na kapiecka, można i zasłużona. Napiszę o niej obszerniej w kronice domu zwanego „pod Murzynkiem“, który przez długie lata był własnością Ginterów a prawdopodobnie przez nich też został wybudowany.

W końcu zeszłego i na początku bieżącego stulecia kamienica № 3 należała kolejno do Flackiewiczów i Izdebskich.

O domu № 5 mniej jeszcze jest do powiedzenia.

W wieku XVII był własnością najpierw Jeleniów, następnie Kotyńskich. Ani pierwsi, ani drudzy nie zajęli w dziejach miasta miejsca wydatnego. Pomiedzy członkami magistratury nazwisk tych napróżno szukałem.

Breza, Kwiatkowski, Choromański, Sarnowicz—oto nazwiska późniejszych właścicieli domu.

Na jego czole, ponad środkowem oknem pierwszego piętra, znajduje się w płaskorzeźbie medalionowej portret mężczyzny.

№ 7 (38).

Ta kamienica nazywała się niegdyś „Złocista“. Dlaczego? Bo czoło jej było wyłancane. W bardzo dawnych opisach Warszawy, zwłaszcza w relacyach cudzoziemców, znajdują się wzmianki o polichromicznem przyozdabianiu domów staromiejskich. A w polichromii i dla złota jest miejsce.

Stwierdza to zresztą i późniejszy Jarzębski:

Bardzo kamienice śliczne
W Rynku; także i uliczne.
Błyszczą się od złota prawie;
Niemasz takich w Czersku, w Rawie.
Na nich dziwne rysowanie,
Farbami ukształtowanie.

W ogóle, z dzisiejszej powierzchowności domów staromiejskich nie można powziąć pojęcia o tem: jak wyglądały przed dwoma, trzema wiekami. Dziś to tylko zeschłe, pozerniałe łupiny, otłuczone i wypłowiałe konchy—w których niema ani owocu, ani mięczaka. Niegdyś miały własne, osobiste życie, miały duszę, która im pewien wyraz indywidualny nadawała; dziś, jak owe konchy i łupiny, poniewierają się wśród wielkomiejskich odpadków, służąc to tym, to owym, za przygodne schronisko...

O pierwszych właścicielach kamienicy mówią wyraźnie: herb i cyfra, wykowane miernie z żelaza i nad wejściem umieszczone. Herb, wyobrażający krzyż podwójny z dwiema podpórkami, jest herbem „Baryczka“; cyfra *S. B.* oznacza Stanisława Baryczkę.

Nazwa kamienicy musiała pozostawać w związku i z herbem, ten ostatni bowiem, w opisanu heraldycznym, ma barwę złotą. „Widzieć takich herbów siła w Warszawie,

w kościele Ś. Jana"—mówi Niesiecki. Odnosi się to do czasów, poprzedzających ostatnią przeróbkę kościoła.

Baryczkowie także i ci
W konsyliach znamienici —

rymuje wspomniany przed chwilą wierszopis. Pochwała to zbyt skromna. Najpierw, nie można Baryczków kłaść na drugim miejscu skoro zawsze zajmowali pierwsze; następnie „konsylia“ nie były nigdy wyłącznym polem popisu dla tych, co różnorodnemi, a prawie bez wyjątku samodzielniemi, odznaczyli się zasługami.

Ród Baryczków wywodzi się z Węgier.

Wojciech Tylkowski, uczony jezuita, żyjący w XVII w., pisze, że pierwszym z Baryczków, co kraj rodzinny opuścił i przybył najpierw na Ruś, potem do Polski, był Iwo, czyli Jan. Stało się to jeszcze na początku XIII w. mianowicie w roku 1207.

Powód, dla którego Iwo Baryczka został wychodźcą, był ten, że „urodzonemu na wolności, nie chciało się jęczeć pod jarzmem bisurmańskim“.

Dziedzie głośnego i poważnego imienia, dziesiąty z rodu, pozostawił w rękę pogan rozległe majątki, i przeniósł się na Ruś, zakładając wolność nad bogactwa. Na Rusi poślubił równą sobie urodzeniem Jadwigę Ró-

życównę, ale mimo to na stałe w tym kraju nie osiadł.

Gdy Ruś zawrzała wojną domową, Iwo z młodą małżonką zapragnęli zacisniejszego dla siebie gniazda, i udali się na Mazowsze. Panował w niem wówczas książę Konrad, któremu Baryczka dziwnie przypadł do serea. Młody wychodźca węgierski, przypuszczony do przyjaźni panującego, zajął na dworze miejsce wydatne i osypyany został zaszczytami. Gdy nadto otrzymał w darze od księcia dwie wioski, związało go to ostatecznie z ziemią, której już ani on, ani najdalsi jego potomkowie, nigdy opuszczać nie mieli.

Opowieść księdza Tylkowskiego opatruje Niesiecki uwagą krytyczną. Twierdzi, że Iwo Baryczka nie mógł uchodzić z ojezyny przed Turkami, gdyż ci dopiero w całe stulecie później do Węgier zawitali. „Raczejby tedy (słowa Niesieckiego) miał mówić, że z Kolo-manem, królem Halickim na Ruś Iwo przyszedł“.

Cokolwiekbądź, protoplastą polskiego, a ściślej mówiąc: mazowieckiego domu Baryczków, był ów Iwo czyli Jan.

Przypatrzmy się teraz dalszym dziejom tego rodu, ściśle już odtąd z dziejami Mazowsza i jego stolicy związanym.

Iwo miał trzech synów: Bartłomieja, Henryka i Jana. Ci antenaci późniejszych miesz-

czan odznaczali się duchem rycerskim, mieszczańskiemu krańcowo przeciwnym. Bartłomiej bronił Mazowsza od Litwinów, i w jednej utarczce z nimi poległ. Henryk walczył szczęśliwie z Henrykiem Brodatym i, jak się zdaje, w stanie bezzennym życia dokonał. Jan spłacił również dług obowiązkom publicznym, pomyślał jednak następnie o obowiązkach rodu i pojął żonę z rodu Grzymałów.

Po Janie Baryczce pozostało trzech synów: Marcin, Jerzy i Henryk.

Z tej trójcy najgłośniejszym stał się Marcin, doktor ś. teologii, wikarjusz i kaznodzieja katedry krakowskiej. Osobistość to historyczna — w której rodowodzie Tylkowski widocznie błąd popełnił. Marcin Baryczka nie mógł być wnukiem Iwona, gdyż dzielił go odeń półtorawieczny okres czasu. Z ledwością uważać-by go można za jego prawnuka...

Ten Marcin Baryczka padł ofiarą starcia się władzy świeckiej z duchowną za Kazimierza Wielkiego.

Książdz Tylkowski widzi w królu tylko rozpastnika oraz wyłamującego się z pod władzy Kościoła odstępcę, a w Baryczce — tylko pokornego sługę kościelnego. Historia nieco inaczej obu ich charakteryzuje.

Król Kazimierz nazwany został Wielkim głównie dla wielkich zasług, na polu wewnętrznego urzędzenia kraju położonych. Dążył

do zaprowadzenia równowagi pomiędzy klasami społecznymi, do równomiernego rozłożenia przywilejów i ciężarów. Duchowieństwo ówczesne, które zapewniwszy sobie przywileje największe, dążyło jeszcze do wyłamania się od wszelkich zgoła ciężarów, tym zamiarom monarchycznym w poprzek staowało.

Stąd gniewy obu stron i stąd gwałtowne starcie, które doprowadziło aż do zbrodni. Ofiarą padł ksiądz Baryczka, którego utopiono w przeręblu. Stało się to 8 stycznia 1349 roku.

Bezpośrednią przyczyną katastrofy była klątwa, rzucana na króla przez biskupa krakowskiego, Bodzantę; bezpośrednim powodem klątwy — upominanie się u tegoż Bodzanty o należne skarbowi koronnemu podatki. Powód jednak właściwy zamaskowano czem innym, mianowicie: niemoralnym życiem Kazimierza. Z klątwą poszedł na zamek Marcin Baryczka i śmiałość swą życiem przypłacił.

Okrutna śmierć młodego księdza, który mimo zaciekłości stronnicej, był człowiekiem czystym i w dobrej wierze działającym, rzucałaby plamę na charakter króla, — gdyby go historia w obronę nie wzięła. Okazano, że utopienie Baryczki nie od Kazimierza wyszło, lecz od gwałtowników świeckich, z duchowieństwem wojujących.

Kraszewski, który w swym każdym sądzie

o ludziach i faktach, starał się być beznamiętnym i sprawiedliwym, tak w krótkich słowach tę rzecz przedstawia:

„Zajście z Bodzantą, biskupem krakowskim o dziesięciny doprowadziło aż do tego, że na króla klątwę rzucono. Sądzy i dworactwo Kazimierza najczynniejszego w tej sprawie ks. Marcina Baryezkę, mszcząc się za pana, utopili. Zrzucono winę morderstwa na króla, aby go zohydzić, bo dowiedziona mu być nie mogła“.

Cokolwiekby, dom Baryezków w rzędzie innych laminarów pozyskał męczennika. Starano się nawet tego zbyt żarliwego sługę Kościoła otoczyć urokiem cudów i świętości. Stworzona została legenda o „głosach anielskich“, odzywających się w miejscu jego męczeństwa, o „światłości niezwykłej“, która płonęła tam dopóty, aż lód roztopniał. Ciało kaznodziei miało w górę Wisły, przeciw wodzie, płynąć „bez najmniejszego uszkodzenia, jakby świeżo do wody wrzucone“, przyczem „wonność jakąś wdzięczną z siebie wydawało“.

Ks. Marcin Baryezka pochowany został w Krakowie, w kościele Ś. Katarzyny a OO. Augustyanów, w kaplicy brackiej Ś. Mikołaja z Tolentyna.

W warszawskim kościele Panny Maryi, na Nowem Mieście, znajduje się nad stallami

w prezbiteryum jego portret, zapewne staraniem rodziny umieszczony. Portret przedstawia księdza Baryczkę stojącego przed Kazimierzem Wielkim. Poniżej następujący napis:

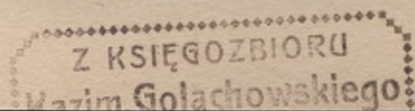
Martinus Bariczka Varsaviensis Doctor Vicarius Concionator Cathedralis Cracoviensis vitae integritate mundi contemptu, DEO ZELO celebris, quod in Casimiro II Rege Poloniae audacter vitia palam argueret eundemque jussu S. Sedis excommunicaret in Vistula sub glacie A. 1349, 8 Januarii submersus obiit. Vitam ejus et mortem sanctam Angelicus diu usuque ad obitum glaciem audius prodidit conceptus.

Drugi z synów Jana Baryczki, Jerzy, nie odznaczył się niczem takim, co by aż do naszej pamięci doszło. Żonaty był z Barbarą z Wyszkwicie i umarł w Czersku, gdzie mu żona nagrobek wystawiła.

Jerzy Baryczka zeszedł ze świata bezpotomnie a dziedziców imienia i zasług pozostawił najmłodszy z braci, Henryk. Ten ostatni, poślubiwszy Barbarę z Domniewa, herbu Dołęga, miał z nią dwóch synów: Wacława i Wojciecha.

Każde prawie pokolenie Baryczków dostarczało sługę Kościołowi, i z tych zatem dwóch braci jeden poświęcił się służbie Bożej. Był nim Wacław, późniejszy kanonik wrocławski.

Wojciech Baryczka wiódł żywot świecki



i rycerski. Już jako człowiek żonaty i ojciec kilkorga dzieci, udał się z królem Władysławem na nieszczęsną wyprawę pod Warnę, gdzie „życie na placu położył“.

I po Wojciechu dwóch pozostało synów: Szymon i Piotr.

Wierni tradycyi poszli obaj w życie odmiennemi drogami, aby—jak to zwykle u Baryczków bywało — spłacić w równej mierze dług ojezyźnie i rodowi.

Śmierć ojca nie zniechęciła starszego z synów do wojennego rzemiosła. Szymon Baryczka mężnie wojował i w Polsce i w Czechach, mówi też o nim Niesiecki, że „zdał się być do wojny urodzonym“.

Młodszy z braci, Piotr, poświęcił się życiu dworskiemu i mieszczkańskiemu. Przebywając przez czas długi na dworze Konrada III (Niesiecki błędnie pisze „wtórego“, dzielą bowiem tych książąt dwa całe stulecia) księcia Mazowieckiego, osiadł następnie w Warszawie, której już potomkowie jego nie opuszczali.

Piotra uważać można za właściwego protoplastę i głowę rodu Baryczków-mieszczan, którzy przez kilka wieków stanowili *lumen* Starej Warszawy.

Synów tego Piotra było trzech: Piotr *junior*, Jerzy i Jan.

Piotr, posłuszny tradycyi, poszedł w służbę Kościoła i został kanonikiem warszawskim.

Jan bawił przez czas niejaki na dworze Ludwika, króla węgierskiego, poczem wrócił do ojczyzny i w Warszawie zamieszkał.

Jerzy uprawiał w równej mierze naukę i pobożność, starając się na wszelki sposób być użyteczny miastu rodzinnemu. „W różnych cudzoziemskich językach przećwiczony“, odbywał częste podróże, nigdy w nich jednak Warszawy z serca i pamięci nie wypuszczając. Jemu to zawdzięcza katedra warszawska „cudownego“ Pana Jezusa, rzezanego z drzewa i umieszczonego w oddzielnej kaplicy, na lewo od wielkiego ołtarza. Tę rzeźbę przywiózł Jerzy Baryczka z Norymbergi, gdzie przez heretyków, wraz z innymi świętościami była na stos, do spalenia, wyrzucona.

Ksiądz Tylkowski, zaraz po tych braciach, umieszcza Stanisława, „syna Bartłomieja“, co do genealogii Baryczków wprowadza pewne zamieszanie. — Któryż to Bartłomiej?—pyta czytelnik—i skąd się wziął w tem miejscu?..

Niesiecki, przypuszczając, że tu mowa o Bartłomieju, synu Iwona, zauważa ironicznie, że autor „od roku 1280 prędko poskoczył do roku 1500!“

Wątpliwość wyjaśnia najzupełniej tablica marmarowa, na innym, niegdyś Baryczkowskim domu umieszczona. O tym domu i o tej tablicy będzie mowa później, przy opi-

się południowego boku Rynku. Tymczasem wyjmujemy z tej tablicy wiadomość, że Bartłomiej Baryczka, o którego tu idzie, był synem Jerzego, burmistrza Starej Warszawy i Jadwigi Bartolorówny, a wnakiem Piotra i Anny. Nie przerywa się przeto w tem miejscu bynajmniej łańcuch genealogiczny.

Otóż ten Bartłomiej, ożeniony z Krystyną Fukierówną, miał syna Stanisława, w którym odżył rycerski duch przodków. Walczył on w kraju i na obczyźnie, a wszędzie — jak mówi jego biograf — „odważnego serca dawał dowody“.

Ten to Stanisław Baryczka wznosił dom, który opisujemy i na którym cyfra jego widnieje. Był nie lada potentatem, choć, jak się zdaje, skończywszy rycerski okres swego życia i osiadłszy w Warszawie, zajmował się głównie, jeśli nie jedynie, robieniem fortuny. Dzierżawił wieś Kamień pod Warszawą, był administratorem Żup solnych w Mazowszu, skupował place, domy — ba, jurydyki całe. Od niego jedna z ulic Starej Warszawy otrzymała nazwę „Baryczkowskiej“ (poprzednio, t. j. do roku 1619, zwała się „Żydowską“ albo „Abrahamowską“).

Kilkakrotnie był obierany przez współmieszczan starszym ławnikiem, Weinert zaś twierdzi, że „prawością swą dla dobra miasta, jako jeden z najgorliwszych urzędników sły-

nał i w całym Mazowszu odznaczał się powagą. Jednak i własnego dobra z oka nie spuszczał, umiając w potrzebie energicznie się o nie upomnieć. Około roku 1609 miał jakiś zatarg z magistratem Starej Warszawy o bezprawne wycinanie drzew na Kawczej (dziś Saskiej) Kępie. Z tą pewnością, jaką dają w równym stopniu: czyste sumienie i bogactwo, wystąpił wówczas z obroną, w której nazywa siebie „człowiekiem da Pan Bóg nie tylko z wieku swego ale i z przodków swych spokojnym i w niczem nienagannym“. Nawiasem dodaję, że w tej obronie godne jest uwagi jedno wyrażenie znamienne: „Rzeczpospolita Warszawska“.

Stanisław, poślubiwszy Jadwigę Kalską (Ksiądz Tymowski nazywa ją Kulińską, herba Odrowąż), miał z nią trzech synów: Wojciecha *vel* Alberta, Stanisława i Jaeka. Wszysey trzej trwałą pamięć po sobie zostawili.

Jaek Baryczka, doktor ś. teologii, mąż pobożny i światły, był jednym z założycieli i głównych dobrodziejów klasztoru Dominikanów przy ulicy Freta. W uznaniu zasług, obierano go czterokrotnie przeorem tego zakonu.

Ksiądz Tymowski pisze o nim: „Theologia i Philosophia dla swoich w Warszawie fundował“. Znaczy to, że staraniem i kosztem uczeiwego przeora powstał przy klasztorze Dominikanów rodzaj Akademii duchownej,

czyli tak zwane *Studium formale*, któremu na cześć fundatora dano przydomek *Baricianum*. Trzy katedry profesorskie opłacane w niem były ze szkатуły Baryezki.

Prócz tego, ojciec Jacek energicznie zajmował się budową kościoła i klasztoru, na co szło niemało pieniędzy jego i całej rodziny Baryezków. Jedną obszerną izbę w klasztorze przeznaczył na bibliotekę, obdarzywszy ją na początek własnym bogatym zbiorem ksiąg i rękopisów. Doprowadziwszy do końca ukochane swe dzieło, to jest ukończywszy budowę kościoła (1638 roku) i klasztoru (1649 roku), umarł spokojnie w r. 1650, podniesiony do godności „wikarego generalnego“ wszystkich klasztorów Dominikańskich w Koronie.

Brat Jacka, Stanisław, słynął z nauki a zwłaszcza z biegłości w językach i talentu krasomówczego. Był to człowiek do tańca i do rózania—co zresztą w rodzie Baryezków nie należało do rzadkości. Na dworze papieskim błyszczał zaletami duchowemi; pod baławą Żółkiewskiego zdumiewał żołnierską bitnością. Wiele dobrodziejstw świadczył kościołom i klasztorom. W Warszawie kościoły: Ś. Jana, Ś. Krzyża i Ś. Józefa oraz klasztory OO. Dominikanów i PP. Karmelitanek dużo mu zawdzięczały.

Ma on w katedrze kamień nagrobny z portretem, przez bratanka fundowany, na

którym cnoty jego i zasługi szeroko są opisywane. Dowiadujemy się z tego źródła (co w części przytacza i Niesiecki), że był sekretarzem królewskim Zygmunta III i Władysława IV-go a doradcą zaufanym cesarza Ferdynanda II, że cieszył się uznaniem i życzliwością papieża Klemensa VIII, że podróżował wiele po Niemczech, Włoszech i Hiszpanii, że pod Żółkiewskim Marsowi dzielnie służył, że więcej niż 30,000 florenów na wsparcia i zapisy pobożne wydał i t. d.

Umarł w r. 1651.

Ostatni z braci, Wojciech, starosta Ujazdowski, w kronikach rycerskich imię swe zapisał. Pod Strygoniem walczył z Turkami i tam też, jak mówi Niesiecki, „na harcu tureckiego olbrzyma i wzrostem i siłą straszego zabił“. W nagrodę męstwa, cesarz Rudolf II nobilitował go na szlacheńca niemieckiego (w r. 1590). Powróciwszy do ojczyzny, był pod Smoleńskiem i pod Kircholmem. Za wyświadczone krajowi zasługi, został sekretarzem królewskim i koniuszym nadwornym.

O tym Baryezce piszą biografowie, że nosił niezagojoną do śmierci ranę, którą był w jednej z wypraw wojennych otrzymał.

Zmarł w roku 1649, licząc lat 66. U Ś. Jana, w kaplicy Pana Jezusa, na prawo od wejścia ma pomnik, przez synów wystawiony.

Rzecz dziwna, że mimo tylu czynów zna-

mienitych, dopiero w roku 1658 przyznano indygenat rodzinie Baryczków, w osobach: Stanisława (bratanka Stanisława, wyżej wymienionego), oraz jego braci: Wojciecha i Jana. Ten Stanisław był doskonałym strategikiem, budową machin wojennych, zakładaczem min i t. p. Popisywał się z umiejętnością swą pod Beresteczkiem i Żwańcem, przyczynił się też w znacznym stopniu do odebrania Szwedom Torunia, Krakowa i Warszawy. Był sekretarzem Jana Kazimierza i zajmował urząd „owiesnego“, to jest urzędnika do wydawania obroków na dworze królewskim. Na tablicy marmarowej, którą pamięć stryja uczeił, nazwany jest „*generosus Stanislaus in Molocice Baryczka*“. Jak wszyscy niemal Baryczkowie, i on hojnie wspomagał klasztory. Między innymi, Dominikanie warszawscy otrzymali od niego w darze zasobną bibliotekę. U Dominikanów też ma kamień nagrobny.

Bracia tego Stanisława wczesną śmiercią pomarli. Jan jako kanonik płocki i pałtaski oraz proboszcz koleński, Wojciech jako młodzieniec niedojrzały jeszcze, a rokujący piękną przyszłość w naukach.

Stanisław Baryczka, który zmarł bezpotomnie (w r. 1682), a podobno wcale w związku małżeńskie nie wstępował, był właściwie ostatnim z rodu.

Tylkowski wymienia dwóch jeszcze Ba-

ryczków: Michała i Jędrzeja. Michał był kapitanem; on też wydał w r. 1657 książkę p. t.: „*Quantum Poeticum accurata, autoritate Poetarum recognitum*“. Jędrzej był łowczym sochaczewskim i podpisał elekcję Augusta II.

Na schyłku XVII w. Baryczkowie znikają z powierzchni naszej ziemi bez śladu. Liczne ich domy i granty przechodzą w cudze ręce, kolegium ich oraz alica, jako rzecz i jako nazwa, istnieć przestają; nawet pamięć nazwiska, które niedawno jeszcze na każdej karcie kroniki warszawskiej występowało, zanika.

Rodzina, przez pięć wieków blisko świecąca blaskiem nieprzyémionym, gaśnie w jednej chwili, jak lampa zdmuchnięta.

I tylko, jako pamiątka po Baryczkach, na czołach starych kamienie i na ścianach starych świątyń błyszczy „siła ich herbów“ — mimo których Warszawianin dzisiejszy obojętnie przechodzi, nie rozumiejąc znaczenia tych krzyżujących się linii, ani się też na zrozumienie ich nie siląc...

Dalsze dzieje kamienicy, niegdyś „złocistej“, dziś spłowiałej i szarej, nie przedstawiają nic ciekawego. Jakiś „sławetny“ Eken-dorf posiada ją około roku 1780 i później; następnie przez czas długi, prawie aż do dni naszych, pozostaje ona w ręku rodziny Kaśmierskich.

№ 9 (39).

Jest to jeden z tych kilku starych domów, w których dochowały się jeszcze dawne „sklepy“, to jest piwnice, o kilka łokci niżej pozioma ulicy położone, z wejściami od czoła. „Sklep“ znajdujący się w tym domu zajmuje obecnie przekupień pieczywa. Niezwykłość sklepu stanowi to, że właściwie sprzedaż chleba i bułek odbywa się na straganie ustawionym na ulicy, tuż przy domu; skład zaś pieczywa mieści się w piwnicy. Sprzedaż, dokonywana w budce płóciennej, wieczorami, w oświetleniu kolorowej latarni, tworzy bardzo wdzięczny obrazek rodzajowy. Dziwię się, że uszedł on dotąd uwagi artystów ze szkoły Piwarskiego i Kostrzewskiego.

Sama kamienica mało ma wspomnień ciekawszych. Nazywano ją niegdyś od imienia właścicieli „Długoszową“. Odkąd i dokąd przysługiwała jej ta nazwa, określić trudno. Wszakże już w r. 1669 piszą o niej: „*ad praesens* Gizego“.

Czy warszawscy Długosze byli pokrewni owym, herbu Wieniawa, z których wyszedł Jan, historyk — nie mogłem wyśledzić. W r. 1580 Stanisław, a w trzydzieści lat później Paweł (zapewne syn tamtego), są starszymi ławnikami (*archiscabini*) M. S. Warszawy.

Przy końcu zeszłego wieku kamienica

przechodzi na własność sławetnych Kostki i Flaczkiewicza. Później jest własnością sukcesorów tego ostatniego. Około r. 1838 posiada ją Dąbkowski.

№ 11 (40).

Czoło tej kamienicy, mimo wielu późniejszych przeróbek, piękne jest i ciekawe. Zwracają zwłaszcza uwagę znamienne głowy (gigantów?) nad oknem drugiego piętra.

Ładna ślusarszczyzna zdobi otwór nad głównym wejściem. W samym środku ornamentów widzi się misternie związane litery *J. R.*

Jadalnia, która zajęła dół kamienicy, jest zupełnie nowoczesna. Za to ocalał w dawnym kształcie sklep czyli loszek niewielki, w którym mieści się kram spożywczy. Wejście do loszku osłania piękny, stary daszek. Dla tych, co w dół schodzić nie chcą lub nie mogą, ustawiono stragan.

I ta kamienica miała w dawnych wiekach swe miano odrębne. Zwała się „Majeranowska“. Wystawił ją przy końcu w. XVI Mikołaj Majeran *vel* Marian, aptekarz królewski (*pharmacopola*), który musiał dla miasta zasługi jakieś położyć, gdyż obrano go burmistrzem Starej Warszawy. Na tem stanowisku widzimy go jeszcze w r. 1607.

W drugiej połowie XVII w. ten dom na-

leżał w równych częściach do Gizów i do Gatakowskiego. Podług „Regestru Gospód“ z roku 1669, posiadał: izb 7, *kownatę* (tak) z sionką i kuchenką, sklepów 2, piwnic 2, kuchni 4. W czasie sejmu stawał w nim gospodarą biskup chełmiński.

W liczbie późniejszych właścicieli domu spotykamy Ekersdorfa i Kopkego.

№ 13 (8).

Tej kamienicy, której ściany narożne zdobi podwójne wyobrażenie lwa z tarczą, półtrzecia wieku temu zdarzył się brzydki *casus*. Obaliła się. Ani właściwego powodu, ani dokładnej daty tego osobliwego zdarzenia nie znamy; katastrofa wszakże musiała nastąpić w samym środku wieku XVII.

Odbyta w r. 1636 rewizya domów staromiejskich znalazła w tej kamienicy kilka izb „grożących zawaleniem“; w rewizyi zaś z roku 1669 zapisano o niej: „teraz restaurować zaczęto“.

Miała niegdyś dwie nazwy: „Budzyńska“ i „Plerowa“. W połowie XVII wieku była własnością „Claudego“ czyli Klaudyusza Henrieta, rajcy warszawskiego. Znajdowało się w niej wówczas: izb 4, „kownat“ 3, sklepów 2, piwnic 2, na tyle izdebek 2. Stawał tu kasztelan krakowski.

W ostatnich latach zeszłego stulecia, właścicielem tej kamienicy był doktor Czempiński, dziadek Klementyny Hoffmanowej. O tym doktorze, zajmującym miejsce wydatne wśród mieszczaństwa warszawskiego przedostatniej doby, powiemy obszerniej przy opisie kamienicy „pod Fortaną“, która również do niego należała.

Zmieniając często właścicieli, dom, o którym mówimy, znajdował się kolejno w ręku Karasiów, Piaskowskich, Ilnickich i t. d.

Wracając do katastrofy na wstępie wymienionej, zapisać musimy, że dziwnym trafem, w połowie bieżącego wieku, takimże samemu wypadkowi uległa kamienica, w bliższym sąsiedztwie, bo po przeciwnej stronie ulicy, położona. Czy nie możnaby dopatrywać się w tem jakichś szczególnych właściwości gruntu? Tą drugą kamienicą, (dziś już nieistniejącą) była posesya niegdyś Lelewelów, następnie Wagnerowej, na rogu Świętojańskiej i Zapiecka. Ta posesya, oznaczona numerem hipotecznym 9, runęła w r. 1831. Plac pozostały po niej a sprzedany miasta posłużył do rozszerzenia Zapiecka.

B. BOK ZACHODNI.

(Pomiędzy Zapieckiem a Dunajem).

№ 15 (119).

Ta wielka narożna kamienica należy właściwie do Zapiecka. Tam też zapisywana jest w taryfach, choć dawne lastracye umieszczały ją w Rynku.

Nazywano tę kamienicę jeszcze w początkach zeszłego wieku „Grottowską“ od jednego z właścicieli: Grotthoffa. Daje ona dokładne pojęcie o wielkości domów staromiejskich. Bok jej ciągnie się przez całą długość Zapiecka, aż do ulicy Piwnej. Wszystkie tu domy mają taki rozmiar. Czoła ich są wyniosłe lecz wązkie; na długość za to zdumiewają ogromem.

Więcej o tej kamienicy zamierzamy podać przy opisie Zapiecka.

№ 17 (41).

Ładny fryz poniżej okien pierwszego piętra wyróżnia ten dom od innych. Wyobrażona jest na nim w płaskorzeźbie scena mitologiczna. Nagie dzieci, może amorki, podskakując i przygrywając, biegną przed kozłem, na którym siedzi malec z przepaską na oczach. Scena to z Saturnalii lub Bachanalii.

„Markiewiczowską“ zwała się ongi ta

posesya. Później posiadał ją Falkiewicz, rajca i szafarz miejski — ten sam, który w roku 1642 wystawił kamienicę na rogu Rynku i Krzywego Koła, ozdobioną jego herbem i cyfrą.

Stawał tu ongi gospodą wojewoda wileński, gdyż w porze sejmów ta cała strona Rynku była dla „Litwy“ przeznaczona. Panowie koronni mieszkawali *ex officio* po trzech innych stronach.

W końcu zeszłego stulecia posiadał tę kamienicę Godswiller, którego nazwisko piszą także Gudźweller.

Dopóki Rynek liczył się do „pryncypalnych“ punktów miasta, mieściła się tu głośna swego czasu cukiernia pod firmą „Jenny“. W pierwszych latach naszego wieku niejaki Ferdynand Ulbrycht miał też w tym domu „fabrykę kadzideł“.

№ 19 (42).

Ten dom w dziejach Warszawy sławny, o charakterze napół urzędowym — na nie-szczęście, nie zachowany w kształcie pierwotnym — był przez długie wieki własnością miasta i nosił specjalne miano „Kamienicy Wójtowskiej“. Nazwa wskazywała jego przeznaczenie. Był urzędowym siedliskiem wójta i odprawianych przezeń sądów.

Wójt czyli *Advocatus* w urzędzeniu da-

wnych miast zajmował miejsce nie tylko ważne, ale najważniejsze. Wszędzie, gdzie rządzono się prawem magdebarskim — a tak właśnie działo się w Warszawie — wójt był głównym zarządcą i naczelnikiem miasta. Mianowany przez króla, wyobrażał poniekąd jego zastępcę. Sam wybierał urzędników, którzy mu w rządzeniu miastem pomagali. W ich liczbie znajdował się przede wszystkim: podwójci (*vice-advocatus*), następnie radcowie czyli rajcy (*consules*), ławnicy (*scabini*) i przysiężni (*jurati*).

Wójt cieszył się rozlicznymi przywilejami. Przede wszystkim kamienica, o której mowa, bywała zawsze jego dożywotnią własnością. Nie płacił z niej żadnych podatków i nie miał obowiązku ugaszczania panów sejmujących.

W stosunkach ówczesnych, wśród mieszczan przeważnie niemieckiego pochodzenia, którzy handel na pierwszy plan wysuwali, najwyższy urzędnik miasta i w tej dziedzinie zapewnił sobie szeroką swobodę. Sprowadzany przezeń towar był wolny od cła, co od razu zapewniało kupeczącemu przewagę nad współzawodnikami. Przypuszczamy, że musiały istnieć jakieś, jeśli nie prawa, to zwyczaje, które tę swobodę wójta brały w pewne karby. Inaczej mocen byłby cały handel zmonopolizować w swych rękach.

Od roku 1609, wójt warszawski, narówni

z innymi członkami zarządu miejskiego, począł być wybieralny. Ustąpił też pierwszego miejsca najstarszemu z rajców, zwanemu „prokonsulem“ (*proconsul*), a z niemiecka „burgrabią“, „burmistrzem“, wreszcie „prezydentem“.

Wójt, po złożeniu w ręce prokonsula zwierzchniej władzy nad miastem, zajmował się już tylko czynnościami sądowymi. W rocie przysięgi, którą składał na Ratuszu Starej Warszawy, prócz zwykłych formuł, znajdowały się słowa:

„Przysięgam, iż na tym urzędzie wójtowskim sprawiedliwie i wiernie sądy odprawiać będę. Sprawiedliwość tak ubogiemu, jak i bogatemu czynić i, cokolwiek do urzędu mego należeć będzie, życzliwie wykonywać. A od tego nie odstąpię dla darów, przyjacielstwa, bojaźni, gniewu, lub nienawiści“.

Kamienica Wójtowska była jakby oficyną Ratusza Staromiejskiego. Tu przez czas długi odbywały się sądy ławnicze; tu również, w okolicznościach wyjątkowo ważnych, zbierali się obywatele dla naradzenia się nad jakąś poważniejszą sprawą administracyjną lub sądową.

Zdjęła mię kiedyś ciekawość zwiedzić miejsce tyloma pamiątkami uświęcone. Chciałem zobaczyć zblizka choć mury, wśród których rozlegał się ongi wymowny głos Strabi-

czów, Baryczków, Burnbachów, Gizów, Dzia-
nottich i całego patrycyatu Starej War-
szawy. Po zburzenia Ratasza staromiejskie-
go, to miejsce tylko pozostało widomą pa-
miątką dawnej magistratury warszawskiej.

Powiedziano mi, że pierwsze piętro zaj-
maje starozakonny „kupiec“. Poszedłem tam
śmiało, a zaledwiem ciężkich drzwi uchylił,
olśnił mię widok wielkiej, sklepionej komnaty,
o potężnych murach i głębokiej wnęcie okien-
nej. Oświecała to wspaniałe miejsce maleń-
ka świeczka łojowa, krzywo osadzona w ol-
brzymim, srebrnym świeczniku, tak wygląda-
jącym, jakby go z ołtarza... pożyczono. Sta-
nąłem w zadumie i rozrzewnieniu—z których
wyrwał mnie głos bardzo dostojnie wygląda-
jącej gospodyni domu. „Męża niema — mó-
wiła — ale jeżeli pan ma dobry fant, to ja
mogę tego interesu załatwić“...

Sic transit gloria... Antiquae Varsoviae.

O tym tonie zgrzytliwym wspominam,
gdyż, niestety, aż nadto często, pod tą lub
gorszą jeszcze formą, drapie on nerwy tych,
co pamiątki warszawskie z kurzu stuleci do-
bywają.

W roku 1647, kamienica Wójtowska otrzy-
mała libertacyę „od gościa, tak w sejm jako
i bez sejmu, *perpetuo*“. Właściwie było to tyl-
ko potwierdzenie dawnych przywilejów. Już
w lastracyi z roku 1564 czytamy o wójcie

staromiejskim, że „ma przywilej stary od księcia mazowieckiego Janusza Starszego z wolnościami na dom albo kamienicę w mieście i na włókę roli“. Powiedziano też tam o nim: „Żadnej posługi nie winien, tylko wojnę służy, jako inszy szlachcie“.

Wspomniałem już, że Kamienica Wójtowska nie dochowała się w kształcie pierwotnym. Ta, którą dziś oglądamy, liczy dopiero półtrzecia wieku. Wzniósł ją na gruzach dawnej Balcer (Baltazar) Strabiec, burmistrz Starej Warszawy za Władysława IV. Tamta stała się pastwą ognia. Napoczął ją wielki pożar w roku 1607, gdy zaś została wyreperowana, przyszedł drugi ogień, gwałtowniejszy od tamtego, i w perzynę ją obrócił.

Strabieze należeli do patrycyata Starej Warszawy. Pochodzili z Inflant. Jarzębski o nich pisze:

Strubiczowie nie podlejsi,
W mądrość, w handle odważniejsi.

Jeden z tego rodu, mianowicie Maciej Strabiec, żyjący w XVI wieku, znany jest i w piśmiennictwie. Jako uczony geograf, wydał po łacinie opis Inflant i ułożył mapę, zamieszczoną przy jednym z wydań Kromera. Prócz tego, bawiąc przy księciu Albercie Pruskim, przełożył na język polski z rozkazu

księcia jego dzieło: „Księgi o rzeczach rycerskich“.

W taryfach warszawskich z końca zeszłego i początku bieżącego wieku ta posesya zapisywana jest jako „kamienica miasta Warszawy“. Dopiero w taryfie z roku 1817 występuje jako prywatny jej właściciel Jan Borowski. Około roku 1830 tytuł własności przechodzi na Annę Krenn.

W r. 1825 i później miał tu fabrykę fortepianów Albert Rawski.

№ 21 (43).

O datę wzniesienia tego domu sporu być nie może. Posiada ona swą metrykę marmurową, w jedną ze ścian wmurowaną. Tej erekeyjnej tablicy szukać dziś trzeba w sieni; pierwotnie zdobić musiała czoło domu.

Dowiadujemy się z pamiątkowego marmuru, że kamienica wzniesiona została przez Pawła Zembrzuskiego, burmistrza i „klucznika“ Starej Warszawy. Napis brzmi w całości jak następuje:

D. O. M.

*Suo, amicorum et posteritatis usui,
Patriae ornamento,*

PAULUS ZEMBRUSKI Klucznik, Proconsul Varsoviensis,

*in avito et dulci solo majorum suorum,
proprio labore partis sumptibus
lapideam hanc a fundamentis erexit.
Anno a Christo Jesu nato MDCVIII.*

Pod napisem jest wyobrażone godło, podobne do herbu Poraj. Stanowią je trzy róże.

Ten Zembrzuski cieszyć się musiał nie-małym szacunkiem współobywateli, obierano go bowiem kilkakrotnie burmistrzem. Był prócz tego zawiadowcą kasy miejskiej. Umarł w roku 1633, 4 listopada, mając lat 73.

Ostatniego szczegółu dowiadujemy się z jego nagrobka, znajdującego się w katedrze. Jest on tam wyobrażony w płaskorzeźbie z marmuru białego, umieszczonej na marmurze czarnym. Klęczy przed krzyżem, ze złożonemi do modlitwy rękami.

Zdaje się, że sędziwy „klucznik“ zeszedł do grobu bezpotomnie. Już w kilkanaście lat po jego śmierci, jako właściciel domu występuje Kumarski, pisarz skarbowy, a nieco później Bandynelego.

Zaznaczyć trzeba, że posesya, o której mowa, składała się ongi z dwóch domów, większego i mniejszego, które nawet w starych lustracyach zapisywano pod dwoma oddzielnymi numerami. O domu mniejszym pisano przy końcu XVII wieku, „*ante Delpinowski, ad praesens Szelerta*“; o większym: „*ante Klucznikowski, ad praesens Bandynelego*“.

Ślad tego rozdwojenia zachował się jeszcze w pierwszej drukowanej taryfie z roku 1784. Wymieniono tam dwukrotnie № 43, pisząc przy pierwszym: „Kamienica Urodzone-

go Rogalskiego“; przy drugim: „Kamienica tegoż“ *).

W liście, pisanym do mnie na krótko przed śmiercią przez ś. p. Teofila Fukiera, znanego kupea i obywatela, a zawierającym nieco notatek kronikarskich, czytam, że w roku 1810 Błęszyński, komisarz skarbowy, nabył ten dom od sukcesorów Szubalskiego i „połączył z sąsiednią kamienicą“. Wówczas to pozorny rozdział został ostatecznie usunięty i wówczas też, jak się zdaje, marmurowa tablica z nad głównego wejścia przeniosła się do sieni

Po Błęszyńskim kamienicę „Klucznikowską“ posiadał Wien. Od Wiena nabył ją Piotr Jenny, fabrykant czekolady — jeden z trzech, których w owym czasie posiadała Warszawa. Tu on miał fabrykę, cukiernię zaś w domu sąsiednim — może dla tego, że w jego posesyi na długoletnich kontraktach siedzieli: wdowa Bereżyńska, „fryzyerka i perukarka“, oraz Bułakowski, właściciel handlu win i korzeni.

*) Ta okoliczność wyjaśnia również fakt, który inaczej byłby dziwnym, że gdy dawniej na tej stronie Rynku zapisywano domów 10, obecnie jest ich mniej o jeden. I w ogólności liczba domów staromiejskich, z pozoru niewzruszona, uległa w ciągu wieków dość znacznemu zmniejszeniu. Za Zygmunta Augusta, Rynek liczył 39 posesyj, obecnie ma ich tylko 35. Ubyły: Ratusz, dwie kamienice włączone do sąsiednich posesyj oraz jedna (na rogu Jezuickiej), darowana przez Withoffa Jezuitom i wcielona do ich *Collegium*.

Ta kamienica ma jedno jeszcze wspomnienie.

Kiedy Hugo Kołłątaj, jeden z intelektualnych twórców Konstytucji 3 maja, po dniach świetności i tryumfów znosić musiał najsroższe urągania losu, tu, na pierwszym piętrze, u Błęszyńskiego, który był jego przyjacielem, ostatnie lata życia spędzał.

Wycierpiawszy podwójne więzienie, pozbawiony całego mienia, skołatany a jednak na duchu nie upadły, przybył do Warszawy, aby obmyć się z błota potwarzy i choć część majątku odzyskać. Walecząc o honor i byt, eks-podkancelerzy cierpiał wielki niedostatek, prawie nędzę... — gdy zaś zdawało się, że już uśmiecha się doń zwycięstwo, śmierć go za-skoczyła. Umarł 28 lutego 1812 r. „Nie wzbu-dził on szacunku dla siebie — pisze ks. Kurowski — do którego wielkie poświęcenia, nauka i talenty nadawały mu prawo od mieszkańców Warszawy; głosy zelżywe towarzyszyły mu do grobu i mała liczba znajomych...”

№ 23 (44).

O tej kamienicy niewiele mamy do powiedzenia. Nie uświęciło jej żadne wspomnienie historyczne; żaden też z posiadaczy jej nie wstawił się niezem znamieniem.

Była niegdyś własnością Urbana, „apte-

karza królewskiego“ i ztąd nazywano ją „Urbanowską“. Potem posiadał ją Korycki, o którego stanowisku i znaczeniu nie zgoła nie wiemy.

„Rewizya Gospód“ z r. 1669 znalazła w niej: izb sześć, „kownat“ trzy, sklepów trzy, piwnie dwie, kuchni trzy. Stawał tu gospodą marszałek nadworny W. Ks. Litewskiego.

W XVIII wieku nabył tę kamienicę „szlachetny“ Andrychewicz. Następnie, przez lat blisko sto, pozostawała w ręku rodziny Gudheitów.

Około roku 1840 mieściła się w niej gospoda krawiecka.

№ 25 (45).

Dla wielu nową i dziwną będzie wiadomość, że przodkowie prastarej rodziny Fukierów nie posiadali dawniej domu będącego obecnie ich własnością, lecz dzierżyli kamienicę sąsiednią, którą tu właśnie opisujemy. Dzisiejsza kamienica Fukierowska znajduje się w ręku tej rodziny dopiero od pierwszych lat wieku XIX-go.

Na liście posesyonatów Starej Warszawy powtarzają się często też same nazwiska. Obywatelstwo staromiejskie było jakby jedną wielką rodziną. Członków tej rodziny, prócz związków pokrewieństwa, łączyły silniejsze

nieraz od nich ogniwa wspólnych tradycyj, wspólnej doli i niedoli. *Homo novus* bywał tu zawsze rzadkiem zjawiskiem, a zanim go dopuszczono do bratniego koła, składać musiał bardzo szczegółowe i bardzo uciążliwe legitymacye.

Domy przechodziły często z rąk do rąk, ale tranzakcye odbywały się zawsze pomiędzy swoimi. Przypuszczać można, że najczęstszym ich powodem bywało wyposażanie córek — choć i pieniężne kombinacye grać tu mogły pewną rolę.

Do najruchliwszych pod tym względem należeli Strabieze. Już się z tem nazwiskiem spotykaliśmy; spotkamy się z niem jeszcze kilkakrotnie.

I ten dom, zanim przeszedł na własność Fukierów, był w posiadania Strabieza. O Fukierach obszerniej mówić będziemy przy opisie następnej posesyi; tu zaznaczamy, że Fukier, który około roku 1650 był nabywcą domu, zapisywany jest w lustracyach, jako „rajea warszawski“.

O całe stulecie weześniej posiadał ten dom Franciszek Rola. Wyjmujemy ten szczegół z kroniki domu sąsiedniego (№ 46), przy którego libertacyi w r. 1566 zapisano, że stoi „pomiędzy domami sławetnego Franciszka Roli“ (*inter domos famati Francisci Rolia*). Ten Rola był rajeą warszawskim. Wiemy też

skądinąd o innym Roli, również rajcy. Temu ostatniemu było na imię Marcin; urząd swój sprawował wcześniej, za burmistrzostwa Andrzeja Kazuba.

Kamienica, o której mówimy, podczas sejmku przeznaczana była „na Wielką pieczęć W. Ks. Litewskiego“. W połowie XVIII wieku znajdowało się w niej: izb dziewięć, sklepów dwa, piwnie dwie, kuchni dwie.

Dalsze losy tego domu nie przedstawiają nic ciekawego. W końcu zeszłego wieku posiada go „sławetna“ Rydlowa, potem jest własnością Magdaleny Baumowej.

№ 28 (46).

Dwie są tylko w Ryнку Staromiejskim kamienice, których kronikę wywodzić możemy *ab urbe condita*: „Wójtowska“ i „pod Świętym Markiem“. Rodowód wszystkich innych — o ile zechcemy oprzeć go nie na legendach, lecz na faktach — nie sięga po za epokę Zygmunta Starego.

I o tym domu, w dawnych aktach nie nazywanym inaczej jak „Korbowska *lapidea*“, wiemy, że wystawił go Grzegorz (*Gregorius*) Korb w początkach XVI wieku. Ten Korb, z zawodu winiarz, przybył do Polski z Wrocławia i przyjąwszy w Warszawie obywatelstwo miejskie, na zawsze tu pozostał. Jako

kupiec winny, razem z budową domu zajął się urządzeniem i napełnieniem piwnic, których istnienie można obliczać tym sposobem na cztery blisko wieki.

Kamienica Korba stanęła niezawodnie na miejscu jednego z domów drewnianych, którymi za książąt Mazowieckich Rynek przeważnie był zabudowany. Była od początku piękna i ozdobna. Sobieszczański w jednym ze swych szkiców ulotnych twierdzi, że dla tej właśnie ozdobności została libertowana. Tego twierdzenia nie można w żaden sposób uznać za słuszne. Piękność i wygodne urządzenie domu czyniły go właśnie tem pożądanym na czasową siedzibę dla jaśnie oświeconych i jaśnie wielmożnych dygnitarzów W. Księstwa Litewskiego.

Libertacya inny miała powód. Były nim zasługi właściciela, położone dla miasta i dla dworu królewskiego, który w owym czasie często gościł w Warszawie.

Korbowie zajęli wydatne miejsce wśród patrycyatu Starej Warszawy. Najtrwalej i najpiękniej zapisał się w kronice miasta Piotr Korb, żyjący w pierwszej połowie XVII wieku, ostatni, jak się zdaje, z rodu Korbów. Piastował on kolejno urzędy: rajcy, burmistrza i wójta Starej Warszawy. Na ostatniem stanowisku śmierć go zaskoczyła. Umarł w roku 1625 na zarazę morową.

Ten Korb, niezależnie od innych prac publicznych, zajmował się ze szczególną troskliwością wzmacnianiem murów i upiększaniem wież miejskich. Współczesne pisma urzędowe mówią o nim: „Zacnie szlachetny i chlebobawca wielki, który na szafarstwie swem ozdobił miasto wieżami cudnemi. Czujny w sprawach miejskich i pilny urzędnik, i o wójtostwo pilnie się miastu starał“.

Po Korbach, właścicielem domu był Piotr Kłos (według starej współczesnej pisowni *Klos* albo *Kłosz*). W jednej osobie obywatel i kupiec, konserwował i pomnażał skarby piwniczne odziedziczone po Korbach.

Z tym Kłosem żył w przyjaźni i zażyłości Stanisław Grochowski, poeta. Książki mu na kolędę posyłał; pisywał do niego listy rymowane; dla zmarłej jego żony ułożył nagrobek. W żartobliwym wierszu Grochowskiego p. t. „O przygodzie Piotrowej“, o tym właśnie Piotrze jest mowa. Kłos był protestantem i z tego powodu nazywany jest przez poetę: „*Herr Piotr*“.

W roku 1647 potwierdzono na sejmie libertacyę tego domu. Był wówczas własnością wspomnianego już kilkakrotnie Balcera Strabieza, burmistrza, który nabył go od Kłosa.

W roku 1669 występują jako właściciele

„Strabiezowsey sukcesorowie“. Dodajmy, że w rewizyi gospód, w tymże roku odbytej, zapisano pod tym numerem: izb trzy, sklepów cztery, piwnie dwie, kuchni dwie. Stawał tu starosta żmujdzki.

W tymże czasie wymieniani są jako właściciele: J. Richard i jego żona Maryanna, niewiadomo jednak, czy oni należeli do sukcesorów Strabieza, czy też byli bezpośrednimi ich następcami. Richard, z zawodu winiarz, gospodarował pilniej jeszcze w piwnicach, niż w samej posesyi; sławna też była w swoim czasie jego winiarnia. Po śmierci Richarda, kamienica przechodzi na własność Stanisława Razickiego, sekretarza Jana III-go. Razicki był, jak się zdaje, krewnym Richarda, może jego zięciem. Umarł w r. 1687, a wdowa po nim, Zofia Razička sprzedała dom Dawidowi Zapio i jego małżonce Maryannie, *primo voto* Richardowej. Od Zapiów dom przeszedł do Benedykta Wemmera, wnuka Zapiowej. Zmiana nastąpiła w r. 1705. W dziesięć lat później właścicielem stał się Aleksander Wemmer, który jednak zaraz w roku następnym odprzedał go komu innemu.

Nowym nabywcą był Jan Ernest Schindler, superintendent ceł J. K. Mości. Pamiątką po tym ostatnim jest znajdująca się dotąd na szczycie domu chorągiewka blaszana z literami J. E. S. i rokiem 1719. W tym roku ka-

mienica została wyrestaurowana i zapewne—ku nienagrodzonej szkodzie archeologii i historii—częściowo przekształcona. Takież sam napis znajduje się nad schodami pierwszego piętra.

W ręku Schindlera pozostawał dom do roku 1781, w którym nabył go Antoni Gąszyński, szambelan Stanisława Augusta. Ale już w roku następnym nowonabywca odprzedał go Jakóbowi Rabemu, ławnikowi Starej Warszawy. I dopiero z rąk tego ostatniego, który był wujem kapea Floryana Fakiera, opisywana kamienica przeszła (w r. 1810) do rodziny Fakierów, w których posiadaniu dotąd pozostaje.

Floryan Fakier (pradziad obecnego właściciela domu) zajmował miejsce najwydatniejsze wśród swych staromiejskich współobywateli. Nie wahał się też Alojzy Żółkowski (ojciec) nazywać go „panem Starego Miasta“. Spotykamy to wyrażenie w wierszyku autora „Momusa“, przypisanym Fakierowi, a wydrukowanym z rękopisu przez J. Heppena. Zakończenie wierszyka brzmi:

Miej familię zdrową, ładną,
 Niech ci długi nie przepadną,
 Bądź zawsze w dobrym humorze
 Choć cię zedrą na komorze—
 Zgoła bądź szczęśliw i basta,
 Ty—panie Starego Miasta!

Fukierowie warszawscy wywodzą swój ród od Fuggerów niemieckich—choć podobno wyvodu tego dokumentami poprzeć-by nie mogli. Rodzina Fuggerów, której członkowie i w korony dziewięcioperłowe i w mitry przystrajali się, dotąd istnieje, na dwie główne linie rozdzielona. Dziś arystokratyczna, niegdyś była typowo mieszczańska. Głową jej był prosty tkacz wiejski, mieszkający pod Augsburgiem. Zbogaceni potomkowie tkacza stali się finansowymi potentatami, którzy, na podobieństwo dzisiejszych Rotszyldów, trzymali w rękę, a raczej w kieszeni, baronów, książąt, nawet panujących. Zamek *Fuggerau* w Tyrolu oraz piękny pałac zwany *Fuggerei* w Augsburgu są prastaremi pamiątkami, nazwisko Fuggerów potomnym przekazującemi.

Według tradycyi, jedna linia Fuggerów, mniej zamożna i mniej w przedsięwzięciach swych szczęśliwa, przeniosła się w wieku XV do Polski. Jedni Fuggerowie osiąść mieli w Krakowie, gdzie nabyli posiadłości miejskie i wiejskie i gdzie przepolszczono ich na Fukierów; inni udali się do Warszawy. Niektórzy twierdzą, że te dwie gałęzie złączyły się następnie w jedną; według innych Fukierowie warszawscy powstałi bezpośrednio z przesiedlonych do nas krakowskich Fukarów.

Fukierowie, nazywani także Fokierami, trudnili się w Warszawie handlem oraz upra-

wiali gospodarstwo rolne na gruntach miejskich. Spotyka się niekiedy nazwiska ich w magistraturze, godności jednak burmistrza i wójta żaden nie osiągnął.

Oprócz kamienicy w Rynku, posiadali Fukierowie na przedmieściach kilka dworów i dworków. W miejscu, gdzie dziś znajduje się pałac, ogród i plac Krasińskich, istniała w początkach wieku XVII kolonia Fukierów, złożona z dworu, ogrodu i zabudowań gospodarskich, zwana „Fukierowskie“, albo „Na Fukierowskiem“.

W roku 1623 umarł na zarazę morową Michał Fukier, obywatel Starej Warszawy, właściciel kilku posesyj.

Wedle powszechnego mniemania piszących o Warszawie, Fukierowie już za Zygmunta Augusta prowadzili „bardzo znaczny handel winem węgierskiem i zamorskiem“.

W rejestrze kupeów, ułożonym przez magistrat warszawski w r. 1789, wymieniono jako pierwszosędne składy win: Karowskiego na Przedmieściu Krakowskiem (wcześniej nieco mieszkał winiarz tego nazwiska na Starem Mieście), Maruszewskiego na ulicy Freta i Fukiera w Rynku Staromiejskim.

W czasach, gdy pito u nas dużo wina, zwłaszcza węgierskiego, i gdy najważniejsze sprawy prywatne i publiczne załatwiała się *inter pocula*—pod łukowem sklepieniem Fukie-

rowskiej winiarni, przy żółtem, drgającym świetle lamp olejnych, rzucających na ściany cienie Rembrandtowskie, odbywały się wieczorami istne sejmiki. Ileżby dał malarz dzisiejszy, gdyby mógł być choć jedno takie zebranie obejrzeć w naturze!

W każdej epoce zmieniały się stroje i typy, ale nigdy nie przedstawiały takiej bezbarwnej, jałowej szarzyzny, jak za dni naszych...

Ksiądz Kurowski, bliski czasów Stanisława Augusta, pisze: „Tu dawniej licznie uczęszczała szlachta na posiłek, ztąd magnaci do swoich stołów brali kosztowne nektary, tu wypoczywali urzędnicy magistratu po dziennej pracy, zabijając sądowe i domowe kłopoty szacownym darem Bacha. Tu niekiedy wysokiego urodzenia i stopni, głośni w kraju mężowie w skromnem odzieniu zwiedzali skrycie zakład głośny w Polsce i w Warszawie“.

Dziś w winiarni Fakierowskiej niema ani dawnych tłumów, ani dawnego gwaru. Wstrzeźmięźliwsi jesteśmy i cichsi. Do starej kamienicy Korbowskiej ciągną dzisiejszych ludzi: albo coraz rzadsze obecnie smakoszostwo, albo dawna, zachwiana już przez naukę wiara w cudowne działanie „Bachowego soku“, albo nakoniec—ciekawość.

I dziś pomiędzy gośćmi Fakiera panuje wielka różnaitość — nie przedstawia się ona

jednak tak malowniczo, jak ongi. Przekupka staromiejska i gruby majster rzeźniczy wstępują tu nierzadko, w godzinach rannych, na „lampkę“. Piją prędko, zwykle nie siadając nawet, i, otarłszy usta wierzchem dłoni, śpieszą do zajęcia. Czasem zasiądzie dębowe ławy liczniejsze grono rzemieślnicze: jakaś kompania majstrów, powracająca z sesji cechowej, jacyś członkowie bractwa, radzący o sprawieniu nowej chorągwi, jakaś wreszcie rada familijna, biedząca się nad kwestyą „działów“. Kiedyindziej, obsiadają stoliki ludzie sędziwi, wierzący, że wino jest „mlekiem starców“. Światło lampy wiszącej nie wystarcza im; każą sobie jeszcze świece zapalać. Są między nimi starzy obywatele warszawscy, wysocy urzędnicy na emerytarze, kapitaliści, nigdy nie wiedzący co zrobić z pieniędzmi swymi i czasem. Ktoby rozmowy tego grona, nieraz bardzo żwawe i głośnie, zapisywał, zebrałby ciekawy materiał do kroniki naszego miasta.

Co pewien czas odwiedza winiarnię jaka znakomitość. Wypija butelkę drogiego wina (a są tam butelki kosztujące po 50 i 60 rubli), kilka butelek każe sobie zapakować i odebrać, wreszcie prosi, aby pokazano piwnice. Takim gościem znakomitym bywa raz szach perski, kiedyindziej Matejko; raz Don Carlos, król bez tronu, kiedyindziej wielki tragik Ro-

ssi, albo jakaś znakomitość literacka: Pol, Syrokomla, Kaczkowski.

Dzień, w którym wstąpił w te mury Matejko, był świętem dla zakładu i rodziny. Mistrza, który wczesnym rankiem wybrał się na zwiedzenie Starego Miasta, napotkał wypadkiem sędziwy Fakier, również ranny ptaszek. Poznawszy, pozdrowił, w objęcia chwycił i do siebie zaprosił. Niebawem Matejko znalazł się przy stole, w otoczeniu całej rodziny kupca. Na stole zjawiła się butla dziwnego kształtu, grzybami obrosła, z przywieszoną do szyjki metryką pergaminową, stwierdzającą, że z wieku XVI pochodzi. W butli było wino „hetmańskie“ największa składow Fukierowskich osobliwość. Potem artysta zaproszony został do obejrzenia piwnic, rzeczy, godnej naprawdę widzenia.

Piwnice Fukierowskie, dziś bardzo obszerne, dawniej nie były takimi. Właściciel zmuszony był przez czas długi trzymać nadmiar win poza domem. Dopiero w roku 1850, gdy dom sąsiedni został nabyty przez jego współnika, postanowiono piwnice obu posesyj połączyć. Przy przebijaniu dzielącego je muru, natrafiono na dwie niespodzianki: na ukryte w murze dukaty oraz na fatrynę, wskazującą, że dawniej już istniało przejście z jednej piwnicy do drugiej. Ślad takiego połą-

czenia znaleziono też w murze, dzielącym tę drugą posesyę od następnej.

Ostatnia okoliczność nasuwa domysł, że przed wiekami wszystkie piwnice domów staromiejskich łączyły się ze sobą. Byłoby to łatwe do zrozumienia w epoce, gdy Warszawa, opasana murem i na małej przestrzeni skupiona, stanowiła rodzaj twierdzy, narażonej na częste napady. W danej chwili każda kamienica stawać się tam mogła redatą, a jako redata, posiadać musiała tajemne wyjścia dla oblężonych. Posuwając domysł dalej, przypuszczać można istnienie większych, niezależnych od piwnic podziemi, w których zagrożona ludność kryła mienie swe i sama szukała ukrycia. Podziemia kończyć się mogły korytarzami podziemnymi, przez które w potrzebie mieszkańcy wyjść mogli z oblężonego miasta i szukać schronienia w gęstych borach, otaczających Warszawę.

Przy sposobności dodajmy, że w kilku punktach Starego Miasta natrafiono na niewątpliwy dowód istnienia piwnic o dwóch kondygnacjach: wyższej i niższej. To również dowodzi, że miasto ściśnione murem i nie mogące powiększać się wszerz, rozrastało się na wysokość i na głębokość.

W sieni kamienicy Fakierowskiej wisi u stropu mały, misternie wyrobiony z drzewa okręcik. Jest to wyrób gdański, służył zaś

ongi za godło kupieckie. Na giełdzie w Gdańsku dużo takich okręcików oglądać można.

Okręcek Fukierowski pamięta jeszcze niezawodnie czasy Jerzego Korba, który może własną zawiesił go tu ręką. Oprócz okręciku, zdobi się figura Dzieciątka Jezus, siedzącego na baranku, oraz łeb jeleni, w jedną ze ścian wmurowany. Dwóch ostatnich godeł historią domu wytłomaczyć nie można. Może przeniesione tu zostały skądinąd.

Godne są jeszcze uwagi stare żelazne ganki i balustrady schodowe oraz w samej winiarni dwa pyszne szkice *à deux crayons* Aleksandra Orłowskiego, z czasów poprzedzających jego wyjazd do Petersburga. Może młody artysta, lubiący hulać, a żyjący podówczas w wielkim niedostatku, zapłacił nimi kupcowi za wypite z towarzyszami wino.

№ 29 (47).

Mikołaj Giza, sekretarz królewski oraz starszy ławnik, *archiscabinus*, S. Warszawy, był posiadaczem tej kamienicy w początkach wieku XVII. On ją też może i wymurował, dom bowiem Franciszka Roli, który tu stał za Zygmunta Augusta, był prawdopodobnie drewniany. O tym ostatnim akty współczesne mówią wyraźnie *domus*, a nie *lapidea*.

Mikołaj Giza umarł dość młodo; potem,

przez lat blisko dwadzieścia, dom pozostawał w ręku wdowy po nim. Rewizya gospód w „kamienicy pani Giziney“ zapisuje: izdeb dziewięć z przegrodami, komorę, salę, sklepów dwa, piwnie dwie, kuchni trzy, „kromnie“ dwie. Stawał tu podkanclerzy litewski.

W XVIII wieku posiada tę kamienicę Nowicki; potem jest własnością jego sukcesorów; wreszcie przez długie lata pozostaje w ręku Filipeckich.

W roku 1793, po śmierci księdza Łaskiny, do tego domu została przeniesiona redakcyja „Gazety Warszawskiej“. Mieściła się jednak tu krótko, bo tylko od 1 października do 31 grudnia.

№ 31 (48).

Dość rzucić okiem na tę wielką, ciężką, osadziłą, potężnymi skarpami umocnioną budowlę, aby przekonać się, że co najmniej pięć stuleci na barkach dźwiga. W istocie, jest to najstarszy z warszawskich zabytków budownictwa. Zwyczajne u nas barbarzyństwo w rzeczach estetyki i starożytnictwa odarło częściowo prastary gmach ze wspaniałej szaty archaicznej, i w dzisiejszym jednak kształcie on wyróżnia się uderzająco od wszystkich, młodszych od siebie, lub niezdarnie odmłodzonych kamienie.

Nazwa „kamienicy pod Świętym Markiem“, jaką przez czas długi temu domowi dawano, jest znacznie młodsza od niego samego. Sięga zaledwie połowy XVII wieku, gdy Włoch rodem z Wenecyi, stawszy się właścicielem domu, herb swego miasta na jego czołe umieścił.

Za rzecz pewną można uważać, że ta kamienica stoi od początków wieku XIV. Wystawili ją książęta Mazowieccy na rezydencję dla siebie i na dwór gościnny dla przyjaciół.

Za rządów Janusza Starszego, ożenionego z Danutą, córką W. Ks. Litewskiego Kiejstata, ten ostatni, uchodząc z niewoli krzyżackiej, tu przez czas pewien przemieszkiwał. Było to w roku 1361. Syn Kiejstata, Witold, w tej kamienicy bawił około roku 1380. Nie doznawszy godnego siebie przyjęcia, odjechał do Płocka, do księcia Ziemowita, nad którego przełożył znów Krzyżaków, udawszy się pod ich opiekę do Malbarga.

Zdaje się, że wspomniany w dziejach „Ostatniej Księżnej Mazowieckiej“, tak zajmująco opowiedzianych przez A. Pawińskiego, „Dom czyli Zamek książęcy mniejszy, zwany Ogródkiem“ — jest tą właśnie kamienicą. Ów „Ogródek“, po przyłączeniu Mazowsza do Korony, oddany został przez Zygmunta Staroego księżnie Annie na „wolne używanie“. Po zamążpójściu Anny, król, stosownie do wa-

runku z góry postawionego, zamierzał odebrać udzielone jej „uczciwe opatrzenie panińskie“ i, między innymi, usunąć ją z domu książęcego. Doszło wówczas do sceny gwałtownej, w której występował nawet woźny z pachołkami. Scena zakończyła się tryumfem księżnej, za którą ujęli się mieszczanie warszawscy; ostatecznie jednak zwycięstwo pozostało, gdyż pozostać musiało, przy królu.

Za przypuszczeniem naszym przemawia i ta okoliczność, że ówczesny Zamek warszawski był drewniany, szczupły, i król, obejmując go wraz z księstwem w posiadanie, dzieliłby się nim nie mógł. Przytem przemieszkiwanie rodziny książęcej poza obrębem Zamku było we zwyczaj—co stwierdza fakt, że książę Janusz, rodzony brat Anny, zakończył życie w przyległej Zamkowi *Mansionarii*, to jest kamienicy księży Mansyonarzy od Św. Jana. Zaznaczmy mimochodem, że Pawiński mylnie nazywa tych ostatnich „Misyonarzami“.

Dawna kamienica książąt Mazowieckich (*Lapidea Ducum Masoviae*), stawszy się własnością królewską, przeznaczona została na pomieszczenie znaczniejszych urzędników, Odnowiono ją też w tym czasie i odpowiednio przerobiono. Upamiętniony jest ten fakt w położonej nad wejściem dacie: 1535 r.

Bok kamienicy, odsłoniony na całą dłu-

gość od strony Dunaju, a ciągnący się aż do Piwnej, okazuje jak wielka i krzepka jest to budowla. Wystające skarpy, głębokie wnęki przy drzwiach, wprost z ulicy do piwnic (sklepów) wiodących, nieregularnie rozmieszczone, różnej wielkości okna, wreszcie kryty marmurowany ganek, wygodny do ostrzeliwania napaśników — dają całemu domowi pozór niby twierdzy.

Wspomniany ganek, według twierdzenia niektórych dziejopisów Warszawy, był niegdyś niezbędnym dodatkiem wszystkich domów narożnych, stojących wprost bram miejskich. Masi być w tem twierdzenia pewna niedokładność, bo najpierw, na dwóch tylko ganki takie (zwane inaczej „łożami“), dochowały się, na innych zaś śladu ich niema; powtóre, drugi z istniejących ganków, na rogu Celnej, obrócony jest nie wprost, lecz bokiem do miejsca dawnej bramy.

Róg kamienicy, którą opisujemy, zdobiony jest kamienną wypukłorzeźbą, która przedstawia Świętą Annę, trzymającą Pana Jezusa i Najświętszą Panienkę. Styl tej rzeźby wskazuje średniowieczne jej pochodzenie. Zkąd jednak tu się wzięła? Przypuszczać można (a na przypuszczenia w pierwotnej historii Warszawy jest, niestety, aż nazbyt wiele miejsca), że umieszczono ją na pamiątkę i dla uczczenia którejś Anny, księżnej Mazowieckiej.

Księżen Mazowieckich tego imienia było pięć: Anna księżniczka Oleśnicka, żona Władysława I, Anna Hunowska, wojewodzianka bełzka, żona Bolesława IV, Anna Krakowianka i Anna Radziwiłłówna, obie małżonki Konrada III, wreszcie Anna, ostatnia księżna Mazowiecka, o której wyżej wspomniano. Wielka starożytność rzeźby czyni prawdopodobnem przypuszczenie tylko co do pierwszej z tych pięciu.

Lud warszawski na swój sposób tę rzeźbę pobożną tłómaczy. Widzi w niej poprostu: matkę z dwojgiem bliźniąt, i na tej zasadzie dom cały nazywa kamienicą „pod Bliźniętami“. Z właściwą też sobie naiwnością, nie licząc się z warunkami miejsca i czasu, przyczepia do tego domu i do tych rzekomych „bliźniąt“ legendę, a raczej bajkę, o Warze i Sawie.

War i Sawa mieli być dziećmi ubogiego leśnika, mieszkającego tu w czasach, gdy wielka puszcza rozciągała się na miejscu późniejszej Warszawy. Któryś z królów, zbłądziwszy na polowaniu, miał w domku leśnika znaleźć pożądane schronisko a przez wdzięczność zająć się jego dziećmi. Za otrzymane od króla pieniądze zbudowano piękny dwór, gdy zaś obstały go inne dwory i dworki, powstała ztąd osada, która następnie dała początek Warszawie. Jest to dość ładne jako

bajka; wątką jednak historycznego napróżno-
by kto w tem szukał.

Inna bajka, późniejszego pochodzenia, nazywała tę kamienicę dawnym kościołem Aryanów. Źródłem jej były niezawodnie umieszczone na domu wyobrażenia świętych. Zbił tę bajkę jeszcze ks. Kurowski. Przypomniał tym, co ją powtarzali: najpierw, że u Aryanów żadnych wyobrażeń religijnych, tak w rzeźbie jak i w obrazach, nie używano; powtóre, że wyraźne w tym względzie postanowienie książąt Mazowieckich zabraniało, tak w Warszawie jak w całym księstwie, wszelkich sekt religijnych.

I jedna jeszcze bajka wylęła się na tym podatnym do baśni gruncie. Jest ona zupełnie innego rodzaju; należy do kategorii bajek ciężko uczonych, które często do dzieł poważnych przechodzą, a niekiedy w nich i pozostają. Komaś wydało się, iż rzeźba przedstawia *Babę*, bóstwo słowiańskie uosabiające matkę całej przyrody. Doszli nawet, że jest to „Baba Złota“, czyli letnia—przeciwstawienie „Baby Żelaznej“ czyli zimowej, nazywanej u nas „Babą-Jędzą“. Twórcy tej bajki nie wzięli pod uwagę, że cały charakter rzeźby nie ma w sobie nic pogańskiego, i że kamienica czasów pogańskich sięgać nie może.

Nie bajką, ale błędem jest wiadomość, że w kamienicy tej, za Zygmunta III, mieściła

się *pierwsza* mennica warszawska. Zagórski w „Monetach Dawnej Polski“, opisując pod № 215 szeląg z 1622 r. z głoskami S. R., mówi: „Szelągi tego stempla pochodzą z mennicy warszawskiej, po raz pierwszy 1622 roku, dla wybijania w niej drobniejszej monety otworzonej, w której był mincarzem Jan Schmidt. Według podań, istnieć miała w Ryńku Starego Miasta, w kamienicy narożnej, dziś liczbą 48 oznaczonej“. Wiadomość powyższą prawie dosłownie powtarza F. M. Sobieszczański. Od niego ona przeszła do wszystkich niemal piszących o Warszawie. Tymczasem mennica szelągna, czyli do wybijania szelągów, otwarta została w Warszawie po raz pierwszy zupełnie gdzieindziej, mianowicie: na rogu Przedmieścia Krakowskiego i ulicy „Gnojowej“ (dziś Bednarskiej). Pomieścił ją tam Zygmunt III w domu a raczej pałacu, ofiarowanym sobie przez sukcesorów Andrzeja Boboli. Zasługa tego odkrycia należy się Weinertowi, który jeszcze przed wydaniem swych „Starożytności“ ogłosił o tem wiadomość w „Bibliotece Warszawskiej“.

Cokolwiekbądź, mennica w owem miejscu długo nie istniała. Już w 1632 roku, zaraz po śmierci Zygmunta III, królewicz Władysław, za zgodą rodzeństwa, z tego dworu czy pałacu uczynił darowiznę Adamowi Kazanowskiemu. W akcie darowizny powiedzia-

no, że ten gmach „przez pewien przeciąg czasu do użytku bicia monety był urządzony“. Forma zdania wskazuje, że już w owym czasie fakt należał do przeszłości. Być może, iż następnie mennica na Stare Miasto została przeniesiona—ale nie było to już pierwsze jej pomieszczenie. Wspomniałem wyżej o weneccyaninie, który dawną kamienicę książąt Mazowieckich herbem swego miasta przyozdobił. Tym weneccyaninem był Tytus Liwiusz Boratini, zarządca i dzierżawca mennicy za Jana Kazimierza. On to i Andrzej Tympf, dzierżawca mennicy poznańskiej, zadali najcięższy cios finansom Rzeczypospolitej. Obu ich nazwiska utrwaliły się w numizmatyce naszej. „Boratynkami“ nazywano szelągi miedziane, bite od 1659 do 1666 roku, które nie miały ani połowy wartości nominalnej; „tymfami“ — złotówki, czyli trzydziestogroszówki, które w rzeczywistości nie były warte więcej, niż groszy 13. Gdy nadużycie stało się zbyt rażącym, przezorni gdańszczanie osadzili Tympfa w więzieniu. Zkąd uwolniony, wyniósł się z całą rodziną zagranicę. Boratini, z prawdziwie włoską przebiegłością, potrafił nie tylko wykręcić się od kary, ale jeszcze dojść do znaczenia i dostojęstw. Na sejmie 1652 roku zaprzysięgał swą niewinność — a jednak Lengnich w „Historji Prus“ twierdzi z dowodami w rękę, że

oszukał skarb Rzeczypospolitej na 3 miliony złotych.

Wracając do naszego przedmiotu, z zupełną pewnością utrzymywać możemy, że „boratynki“ nie były wybijane w kamienicy Boratinięgo. Za Jana Kazimierza mennica warszawska mieściła się na przeciwnym krańcu miasta: w części Zamku Ujazdowskiego.

Możliwe jest jednak, że w swej kamienicy staromiejskiej wybijał Boratini monetę srebrną, ale dopiero od r. 1667. W tym roku milionowy już naówczas „arendarz“ finansów Rzeczypospolitej, „wygodziwszy“ tej ostatniej „znaczną sumą *in vim* arendy“, otrzymał pozwolenie na otwarcie mennicy szóstakowej, która była przez czas pewien zamknięta. Podskarbi w. koronny został zobowiązany, aby o ilości wybitych szóstaków „dostatecznie Rzeczpospolitą informował“; wyznaczono też komisarzów, którzy mieli wskazywać wzór monety i realną jej wartość ustanawiać. Po abdykacyi króla, mennica warszawska, po spółu ze wszystkimi mennicami krajowemi, została zamknięta. Skarbowi koronnemu i litewskiemu zlecono, aby obmyśliły sposoby poprawienia monety i lepszego urządzenia mennic na przyszłość „*sine praeiudicio* urodzonego Boratinięgo“. Za Michała Korybuta, mennica warszawska weale czynna nie była.

Niewielką ilość monet bito jedynie w Bydgoszczy, Gdańsku, Toruniu i Elblągu.

Boratini był wierzycielem Rzeczypospolitej na znaczną sumę. Aby rachunki z nim wyrównać, oddano mu administrację mennicy krakowskiej, z której dochód szedł wyłącznie na pokrycie należności, przyznanych mu na sejmie 1667 r. Ztąd to aż do zamknięcia wszystkich mennic krajowych, to jest do 1683 roku, na monetach koronnych Jana III zjawiają się nieustannie fatalne głoski T. L. B.

Wynika z powyższego, że w kamienicy, którą opisujemy, mennica istniała przez czas bardzo krótki.

Aby skończyć z Boratinim, dodajmy, że rodzina jego jeszcze w początku XVI wieku, prawdopodobnie razem z Boną, przybyła do Polski. Tytus Liwiasz Boratini otrzymał indygenat na sejmie 1658 r. Mianowano go starostą osieckim.

„Arendarz“ mennicy był nie tylko znakiem—po dzisiejszemu wyrażając się—finansistą, ale też i znacznej miary uczonym. Jako uczone, wyrobił sobie i stanowisko, które następnie, jako finansista, wyzyskał. Oprócz rozprawy: „Informacya o mennicy szlągowej“ (*in folio*, k. 16, b. m., 1663), którą przedrukował Wiszniewski w „Historyi Literatary“, Boratini wydrukował w Wilnie (1675 r.) po włosku, traktat z zakresu fizyki: „*Misura universale*“,

wspomniany w dziele Campi'ego, traktującym o polakach, wstawionych we Włoszech, i włoskach w Polsce. Ostatnią książkę Boratniego, znaną dotąd w jednym tylko egzemplarzu, opisał szczegółowo T. Żebrowski w warszawskim „Przeglądzie bibliograficzno-archeologicznym“ (tom I, str. 402)¹⁾.

Wreszcie wspomnieć trzeba i o wiadomości, podanej przez Sobieszczańskiego, który pisze, że Boratini „wypracował projekt założenia akademii(?) na jednej z kęp wiślanych pod Warszawą“. Może to była akademia... rybołówstwa?

Aż do 1832 r., jako pamiątka po Boratnim, ozdabiało dom godło Wenecyi: święty Marek klęczący, z chorągwią w ręku, przed nim lew z otwartą księgą, noszącą napis: *Pax tibi Marce, Evangelista meus*.

Innym jeszcze, starożytniejszym od poprzedniego znakiem pyszniła się ta kamienica do owego czasu. Było nim wyobrażenie „Pogoni“.

Wszystkie te szacowne pamiątki przeszłości, istne relikwie Warszawy, we wspomnianym roku usunął, zniszczył i zatarł niejaki imćpan

¹⁾ W r. 1897 Krakowska Akademia Umiejętności ogłosiła tę pracę w przekładzie polskim, pod tyt. „T. L. Buratini'ego Miara Powszechna“. 8-o, str. VI+32 z 4-ma tablicami rysunków.

Franciszek Tietz, nowonabywca domu. Jako człek dbały o to, aby jego „nieruchomość“ pięknie się przedstawiała, nie poprzestał on na tem, ale jeszcze całą attykę domu kazał swoim smakiem przerobić. Ten pan Tietz nie jest u nas wyjątkiem; jest może raczej — typem.

Rzecz dziwna: dlaczego ani w Lustracyi z roku 1655, ani w późniejszej o lat czternaście Rewizyi, przy tej kamienicy nie wymieniono nazwiska Boratiniego? W pierwszej wskazana jest jako właścicielka: Mincerowa, w drugiej napisano: „kamienica narożna *ante* Szalapskiego, *ad praesens* Mincerowska“. Można by na tej podstawie zbudować przypuszczenie, że Boratini albo wcale tego domu nie posiadał, albo posiadał go już po roku 1669. Oba fakty do wiary niepodobne. Można by jeszcze przypuszczać jedno, że dom należał do Boratiniego pomiędzy datą Lustracyi i Rewizyi—czemaz jednak w takim razie nie napisano w tej ostatniej: *ante* Boratiniego? Odkładając na później dochodzenie tej zagadki, zajmijmy się tymczasem osobą wymienionej w obu dokumentach Mincerowej. W dziejach kamienicy to nazwisko ważne, gdyż nazywano ją przez czas długi „Mincerowską“.

Mincerowa, właściwie Mintzerowa, była wdową po Dawidzie Mintzerze, sekretarza królewskim, który umarł w r. 1652, mając lat 40.

Żona, Maryanna, z domu Horlemes, znacznie męża przeżyła. W katedrze znajduje się tablica marmurowa, szeroko wystawiająca zasługi publiczne Dawida Mintzera. Umieściła ją tam wdowa wraz z synem Felicyanem.

Sobieszczański twierdzi, że „dom, przez wiele lat nazywany kamienicą pod świętym Markiem, za Sasów mianowany został od nowego właściciela Mincerowskim“. Jeżeli zasłużony historyk Warszawy nie myli się co do czasu, znaczyłoby to, że jeszcze w połowie zaprzeszłego wieku dom pozostawał w ręku potomków Dawida Mintzera, lub też, że do jednego z nich z cudzych rąk powrócił.

Za Stanisława Augusta, właścicielem kamienicy był Lobert, prezydent Starej Warszawy. W tym czasie mieściła się tu głośna „traktyernia“ francuska Quellasa, w której na obiadach i kolacyach bywało „wielu panów orderowych z zaproszoną kompanią, z chwałą i estymacją dla tegoż kuchmistrza, że w wybornych sosach i smakach osobliwszych potrawy daje, i do tego w takiej okazałości i paradzie stoły trzyma, jak i panowie zwykli mieć stoły swoje“. Ostatnich szczegółów dowiadujemy się z ogłoszeń o tej jadalni, umieszczanych w *Gazecie Warszawskiej*. Dodano też tam, że panowie mogą z zupełnem zaufaniem udawać się do traktyerni „naprzeciwko Rata-

sza“, gdyż „pan Quellus nie przyjmuje, chyba tylko dystyngowane osoby“.

Po Lobercie, właścicielami kamienicy byli: Morytz, następnie Wnorowski.

Niemalą osobliwością tego domu są piwnice podwójne, to jest umieszczone jedne nad drugimi. Kształt ich i ślady dawnego urzędzenia wskazują wyraźnie, że służyły ongi za więzienie. Ta okoliczność czyni tem prawdopodobniejszym mój pogląd, że kamienica była „Ogródkiem“ książąt Mazowieckich. „Ogródek“ nie znaczy w tym razie nic innego jak *gródek*, czyli mały *gród*; grody zaś jednoznaczne były z zamkami, a każdy z pierwotnych zamków posiadał podziemia, w których jeńców trzymano.

Około roku 1820 mieścił się tu sklep bławatny, p. f. Lewi Beer Bernstein. Było to może pierwsze wtargnięcie żywoła żydowskiego do tej dzielnicy. W r. 1912 prastarą „kamienicę Mazowiecką“ nabyło Towarzystwo miłośników historii, przy pomocy ks. Czartoryskiego. Zapowiada to nowy, o wiele od ostatnich świeżniejszy, okres jej istnienia.

C. BOK PÓŁNOCNY.

(Pomiędzy Nowomiejską a Krzywem Kołem).

Z czterech boków warszawskiego Rynku Staromiejskiego, względnie najlepiej dochował się *bok północny*, pomiędzy ulicami: Nowomiejską a Krzywem Kołem.

Ta zębata linia dachów najfantastyczniej się łamie; tu najwięcej fart starych, żelazem okutych i marmurem obramionych; tu z wnęki ponad drzwiami, wychyla się wielka głowa marzyńska, niby gość z innego świata; tu, na szczytach kamienie, stoją figury świętych, jakby wizje dawnej religijności, w procesyonalnym pochodzie skamieniałe...

Piękny to łańcuch pamiątek—i oby nigdy ręka profana lub spekulanta najmniejszego z jego ogniw nie uszkodziła!

Postępując w niniejszym opisie od kamienicy do kamienicy, odwrócić musimy w tym miejscu porządek numerów policyjnych, przechodząc od wyższych do niższych.

№ 42 (49).

Ta narożna kamienica przed niedawnym jeszcze czasem odznaczała się wielką typowością i malarskim „charakterem“.

Prócz starych, czcigodną sędziwością omroczonych i plamami pleśni malowniczo umozajkowanych murów, składały się na to: silnie wystające skarpy, typowa kramnica od strony ulicy Gołębiej i duża latarnia olejna, zawieszona wysoko na wielkim, żelaznem, pałkowato wygiętem i na samym rogu przybitem, ramieniu.

W tej postaci wczorajszej, dziś już zartartej, oglądać można tę kamienicę w „Wido-

kach Warszawy, rysowanych z natury przez Gersona i Lerue w r. 1852", (Warszawa, nakład J. Schmidta).

Najdawniejsze źródła nazywają ten dom „Philipowskim“. Potem on był własnością Montelupiego. O Montelupim będziemy mówili przy opisie następnej kamienicy, która również do niego należała.

W roku 1669 znajdowała się tu gospoda księdza referendarza koronnego.

Ostatnimi właścicielami byli: Lignau i Piotrowski. W pierwszej połowie zeszłego stulecia miał tu handel korzenny Tomasz Brzeziński.

№ 40 (50).

Jest to posesya jedna z okazalszych i bogatszych we wspomnienia.

„Clemensowską“ nazywa ją stara Rewizya gospód. Jak się zdaje, pochodzi ta nazwa od imienia Jana Klemensa z Radziwia, doktora medycyny, który w pierwszych latach XVII w., był burmistrzem Starej Warszawy, a prawdopodobnie i ten dom posiadał.

Po Klemensie, wymieniony jest jako właściciel Montelupi. Ten Montelupi był za Jana Kazimierza sekretarzem królewskim oraz „magistrem“ pierwszej w Warszawie stałej poczty. Sobieszczański, z materyałów po po Adrjanie Krzyżanowskim pozostałych, przy-

tacza wiadomość, że król w r. 1649 naznaczył Karolowi Montelapiemu, jako pocztmistrzowi, płacę roczną 100 dukatów węgierskich. Umarł Montelapi w r. 1662, ożeniony zaś był z Barbarą Strabieczówną, córką barmistrza.

Zasłużony historyk Warszawy, wymieniając Karola Montelapiego jako pierwszego zarządcę i organizatora poczty warszawskiej, nie wspomniał o ważnym fakcie: że zarząd poczt krajowych już od Stefana Batorego znajdował się w ręku rodziny Montelapiach.

W wydanych przez Edwarda Raczyńskiego, „Pamiętnikach do historii króla Stefana“, przytoczono akt nadania poczty Sebastyanowi Montelapiemu. Akt podpisany w Niepołomicach 29 stycznia 1583 r.

Dowiadujemy się z nadania, że pierwszą pocztę krajową zaprowadził Zygmunt August, i że już za jego rządów Montelapiowie nią kierowali. Akt oddający pocztę „pod zarząd Sebastyana Montelapi, szlachcica florenckiego, i Walerego, jego siostrzeńca“, wspomina o ich „zdatności i wierności, na tym urzędzie dawniej okazanych“.

Montelapiowie obsługiwali trakt z Krakowa do Wenecyi. Bieg poczt tak był urządzony, że gońcy przebywali tę drogę w piętnaście dni, czyli dwadzieścia cztery razy na rok. O Warszawie powiedziano w nadaniu tylko tyle: „Gdybyśmy z dworem naszym z Kra-

kowa do innego przenieść się mieli miasta, obowiązują się Montelapiowie listy i wszystkie pocztą przychodzące przedmioty swoim kosztem do Warszawy jak najspieszniej przesyłać".

Rodzina Montelapich otrzymała u nas indygenat za Henryka Walezjusza. Niesiecki przypuszcza, że od Montelapich pochodzą Wilezogórscy.

Dlaczego nazywano tę kamienicę „Majnowską“, jak utrzymuje ksiądz Karowski, nie doszedłem.

W „Rewizyi Gospód“, czytamy co następuje:

„Kamienica *ante* Clemensowska,* *ad praesens* Montolapiego. Izb 3, sklepów 2, kuchni 1. *Ante* IMC. Marszałek Nadworny, a teraz IMP. Kasztelan Sandomirski. Iako bywała przedtym Marszałkowska, tak y teraz ma bydź“.

Ustanowienie w tej kamienicy gospody marszałkowskiej wskazuje, że poczytywano ją za jedną z najokazalszych i najwygodniejszych w Starej Warszawie.

W połowie XVIII wieku właścicielem jest Sahim (Klaudjusz Antoni), kapiec warszawski, zapewne ormianin.

Od Sahima nabywa tę piękną posiadłość książę Antoni Barnaba Jabłonowski, podówczas wojewoda poznański. Ten mąż, od innych Jabłonowskich odrodny, znany był z przekonań demokratycznych i manifestacyjnie bra-

tał się z mieszczanami. Ten to Jabłonowski podpisał manifest przeciw konwokacyi Czar-toryskich, gwałtom na sejmikach i t. p. Jako delegat konfederatów barskich, posłował do Francyi, a od roku 1782 był kasztelanem kra-kowskim—ostatnim.

W roku 1779 kamienica powróciła do rąk mieszczzańskich. W tym roku nabyli ją (za 4,300 dukatów, jak opowiada ksiądz Kurowski), dwaj kupcy warszawscy: Marcjalis Ryszard i Klemens Bernaux. W rękę ich pozostawała niedługo, gdyż już w trzy lata później posiada ją głośny w swoim czasie lekarz warszawski, Wincenty Gagatkiewicz, którego pamięć dotąd się przechowała.

Wielką wziętość i popularność zawdzięczał Gagatkiewicz w równym stopniu wiedzy i filantropii. Nietylko leczył chorych, lecz i wspierał biedaków.

Niemalą zasługą Gagatkiewicza było założenie pierwszej u nas Szkoły chirurgów. Mieściła się przy ulicy Mostowej, w gmachu szpitala św. Łazarza.

Ksiądz Kurowski opowiada, że popularny lekarz filantrop pozostawił dość znaczną fortunę (17,000 dukatów, prócz kamienicy i cennych kosztowności) i że tę fortunę jedyny jego syn w krótkim czasie przemarnował, i w szpitalu życia dokonał.

Naukowe zasługi Gagatkiewicza wyłożył

dr. Lafontaine w obszernej mowie, wygłoszonej na posiedzeniu Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wydanej następnie w oddzielnej broszurze. Broszurę zdobi piękny portret Gagatkiewicza, rytowany przez Ligbera podług malowidła Bacciarellego.

W kamienicy, o której mowa, mieściła się przez czas pewien drukarnia Rakoczego albo Ragoczego, gdyż dwojako to nazwisko bywa pisane. Drukarnia, założona w roku 1778, znajdowała się początkowo w Marywili „pod znakiem Poetów“ i nosiła firmę Michała Groella. Rakoczy, ożeniony z córką Groella, zarządzał drukarnią a następnie nabył ją na licytacyi na własność. Przeniesiona z Marywili do „pałacu przedtem Saskiego“, znalazła wreszcie ostatnią przystań w Rynku Staromiejskim. Drukarnia Rakoczego istniała od r. 1800 do 1845. Nabył ją następnie Józef Tomaszewski.

Po Gatkiewiczu właścicielem domu był Dornfeld później Temporowski. Obecnie, już od lat kilkadziesiąt, pozostaje w rodzinie Białowasów.

№ 38 (51).

To również dom piękny i okazały. Pierwsza taryfa nazywa go „Rongiaszewskim“. O Rongiaszu wiadomości bliższych nie mamy.

W połowie XVII wieku występuje jako właściciel, Krzysztof Passamonik, również dokładniej nam nie znany. Może zamiast nazwiska, wskazano przy imieniu rzemiosło — co jednak sprzeciwiałoby się ówczesnym zwyczajom, wśród posesyonatów zachowywanym.

O następnych właścicielach: braciach Brancarini, wiemy, że byli kupcami warszawskimi. Zżyli się oni tak bardzo ze swą przybraną ojezyczną, że, spolszczywszy nazwisko, przewalili się Brankarynowskimi.

Od tych włochoń spolszczonych nabył kamienicę ziomek ich Piotr Talenti, sekretarz królewski. Dotąd, wśród godeł, znajdujących się nad fartą, dostrzedz można ledwie czytelne litery *P. T.*, będące inicjałami Talentiego, a przy nich rok 1663, który jest datą nabycia oraz gruntownego przebudowania kamienicy.

Z córką Talentiego, Elżbietą, ożenił się Stanisław Narzymski, starosta ciechanowski, i kamienicę otrzymał w posaga. W rodzinie Narzymskich ona pozostawała do roku 1720, w którym syn Stanisława, Jakób Narzymski, starosta bobrownicki, sprzedał ją Dominikowi Winklerowi, pisarzowi skarbu koronnego.

Ten ostatni umarł wkrótce, a kamienica przeszła na własność Macieja Kurowskiego, który za drugiego z Sasów, utrzymywał w tem miejscu słynną winiarnię.

Kurowski był rzadkim i prawie niesły-

chanym w owej epoce przykładem szlacheica polskiego, który jawnie jął się handlu (w skrytości szlachta oddawna to czyniła). Bracia karmazyni wyparli się odstępcy, okryli go wzgardą i śmiesznością. Ale Kurowski wytrwał na stanowisku, zyskał u współmieszczan poważanie i dorobił się znacznego majątku. Potomstwo dostało bogatą paucizną materyalną, nie odziedziczyło wszakże po dzielnym człowieku niezależnego ducha i wyprzedzających epokę przekonań. Synowie wyprzedali wielkie zapasy win, a wnuk z prostej linii Józef Kurowski, poręcznik w wojska saskiem, sprzedał w r. 1782 i kamienicę.

Ozdób symbolicznych i artystycznych domowi temu nie braknie. Nad wejściem malowniczo zatacza się łuk przejrzystych ornamentów z katęgo żelaza. Piękne są drzwi same, okuciem artystycznym pokryte. Wewnątrz zwraca uwagę prześliczna poręcz schodów o stopniach kamiennych, również z katęgo żelaza.

Zatarte godło na murze, o którym wyżej wspomniałem, wyobraża cztery na krzyż ułożone kółka czy też krążki, na których wiadać bardzo już niewyraźne rysunki, przypominające cokolwiek orzełki heraldyczne.

To godło oraz wiele wewnętrznych ozdób, jak niemniej przystrojenie wązkiego dziedzińca licznymi w smaku włoskim gankami,

zawdzięcza dom Talentemu. Potwierdza to ów rok na czole domu, który jest rokiem nabycia i przebudowy całej posesyi przez wspomnianego włocho.

Natomiast cała ślusarszczyzna artystyczna, która tak obficie i bogato wewnątrz domu przyozdabia, wybiegając na zewnątrz misternem okuciem farty i wzorzystymi nad nią ornamentami, jest dziełem Kurowskiego. Niepowszedni ten człowiek, w jednej osobie szlachcic i mieszczanin, kupiec i artysta, z wyjątkowem zamiłowaniem stroił swą posiadłość w klejnoty z żelaza. Kraty w oknach, nad drzwiami, poręcze schodów, balustrady ganków i t. d. wykute zostały przez niepospolitego w swoim rodzaju artystę jedynie przy pomocy różnej wielkości młotków. Takie roboty, nie wzmacniane nitami, wymagają w równym stopniu uzdolnienia artystycznego, jak siły, zręczności i cierpliwości—zwłaszcza, gdy wykonawcą jest sam twórca pomysłu.

Ślusarszczyzna w domu niegdyś Kurowskiego należy do najpiękniejszych w Warszawie; nie traci też na porównaniu z zabytkami podobnego rodzaju, w jakie obfitują stare miasta niemieckie. Postawić ją można w jednym rzędzie z pracami Mikołaja Tretera, braciszka zakonnego, którego kazalnica w warszawskim kościele Ś. Krzyża, jest skończonem arcydziełem.

Ale najpiękniejszej ozdoby domu już-
byśmy napróżno na dawnym miejscu szukali.
Były nią podwoje żelazne, zamykające wej-
ście na schody. Te podwoje, wielkiej warto-
ści pamiątkowej i artystycznej, nabył w roku
1832 hr. Aleksander Przeździecki i umieścił
w bibliotece swej przy ulicy Senatorskiej.

Oto jak opisuje te drzwi jeden z da-
wniejszych historyków i estetyków naszych:

„Są one złożone z czterech części: sa-
mych drzwi, otoczenia, nadgłowia i kraty do
latarni—w stylu Augustów Sasów. Na nad-
głowiu, wśród arabesków z wążkich szyn, dzi-
wnie pięknym rysunkiem połączonych, wygi-
nanych i wykawanych w liście a wiązanych
z fantazyą niepospolitą, stoją inicjały pobo-
żnego ojców naszych powitania. L. J. Ch.
(*Laudetur Jesus Christus*). Pod spodem rok
1737. Drzwi same ciekawsze jeszcze. Każda
połowa na trzy podzielona części: górną, środ-
kową i dolną, a każda część w inne ozdobi-
ona wzory. Stanowią one kratę gęstą, silną,
której rysunek artysty dał jakąś dziwną lek-
kość. Prawdziwa to koronka z żelaza, nie
delikatną modelisty i formierza odrobiona dło-
nią, ale silną ślusarską wykutą ręką. Na je-
dnej z tych części stoi nie nazwisko artysty,
(bo tego tytułu ów rzemieślnik dobił się swym
młotem) lecz właściciela: Mathias Karowski.
Nie widać tam najmniejszych śladów pilnika:

młot tylko nadawał twardemu kruszcowi te kształty fantastyczne i łączył biegle w ogniu rozmaite części całości“.

Przy końcu wieku XVIII, posiada tę kamienicę „urodzony“ Gniewczyński; potem ona jest własnością Wydorowskiej, a wreszcie przechodzi do rodziny Holeców, w których ręką dotąd pozostaje.

W dawniejszych latach, podczas uroczystości Bożego Ciała, jeden z ołtarzy urządzany bywał stale przy kamienicy Holeca. W czasie procesyi, umieszczona na zewnętrznym ganka kapela wygrywała pieśni nabożne.

№ 36 (52).

Od wielkiej głowy murzyńskiej, nad wejściem umieszczonej, ten dom nazywa się: „pod Murzynkiem“. Dotąd jeszcze ludność staromiejska tem prastarem oznacza go mianem.

Zkąd się owo godło egzotyczne wzięło? Który z dwóch najdawniejszych właścicieli: Gianotti czy też Ginter kamienicę niem przystroił?

Mogło ono być symbolem kapiectwa, które z odległymi narodami utrzymuje stosunki, mogło też stanowić przypomnienie Wenecyi, w której najazdy Maurów dotąd trwały ślad pozostawiły. W pierwszym razie przypiszemy je Jaljaszowi Ginterowi, który współcześnie

z Fakierami handel win prowadził; w drugim uczynimy twórcą jego któregoś z Gianottich. Ci ostatni, jak niemal wszyscy osiedli w Warszawie włosi, byli bezwątpienia weneccyanami.

Juliusz Ginter, wymieniony w najdawniejszej taryfie jako właściciel domu, cieszyć się musiał uznaniem współobywateli, skoro obrany został przez nich burmistrzem. W epoce wojny szwedzkiej pełnił obowiązki rajcy a jednocześnie kupeżył winem. W rachunkach z owego czasu (r. 1656) zapisano między innymi: „Pana Ginterowi, za dwie beczki wina po kolidzie dla pp. oberszterów florenów 300; temaż dla pp. oficerów wina garney 8¹/₂—fl. 25 gr. 14; temaż za 4 garnee dla p. generała fl. 12. P. Ginterowi na wydatek króla szwedzkiego fl. 100; temaż za beczkę wina dla p. Wittenberga fl. 200“.

Ginter posiadał nadto tytuł—dość szczerze zresztą szafowany — sekretarza królewskiego. Przyznał mu ten tytuł Jan Kazimierz, potwierdził jego następcą.

Juliusz Ginter umarł w r. 1673. U Ś. Jana ma kamień nagrobny z następującym napisem.

D. O. M.

Nobilis ac consultissimus Dominus

Julius Ginther,

Serenissimorum Cazimiri et Michaelis Poloniae Regum

Secretarius, Civitatis

Varsaviensis Proconsul.

*Vixit Deo et proximo
summis mediis carus, de infimis optime meritis, vivere
desiit omnium desiderio
maerore luctu.*

*In eternitate victuro Deus reddat gloriam
quam promissit ipsi solliciti meruit
precantur omnes.*

*Obiit anno MDCLXXIII. die XIX Septem.
aetatis suae LV.*

*Maesta cum Sobole Conjunx hoc
monumentum posuere.*

Jarzębski, który w swym „Gościńcu“ hojnie obdziela pochwałami mieszczkańskie rody warszawskie, nie o Ginterach nie wspomniał. Jest to szczegóół dość zastanawiający. U Jarzębskiego wymienieni są: Gizowie, Baryczkowie, Basserowie, Strabiczowie, Drewnowie, Czersey, Dziańotowie, Kiedrowsey, Wolsey i Kociszewsey, a więc obok patrycyatu i rody pomniejszych. Zkąd niełaska na współczesnego sobie kapeca, obywatela, sekretarza królewskiego i członka magistratury?

W „Rewizyi Gospód“ zapisano ten dom na „Posłów cudzoziemskich“. Był to wypadek wyjątkowy, posłowie bowiem stawali zwykle w kamienicy „pod Fortaną“ (№ 22/59). Zaznaczono to w samej Rewizyi, dopisując: „ekstra ordynaryjnie“.

Późniejsze dzieje kamienicy mało już przedstawiają szczegóółów ciekawych.

Przy końcu wieku XVIII posiada ją sła-

wetny Jędrzejewicz, następnie jakiś francuz Jean Martin; później przechodzi kolejno do Löbiusa, Latostańskiego, Skarzyńskiego i t. d.

W początkach tego wieku mieściła się tu drukarnia Latostańskiego, który ją nabył po Jabłońskim. W roku 1830, drukarnia przeszła na własność J. A. Ryllego. Z tej ostatniej wyszedł pomiędzy innymi poemat p. t. „Legjonista powracający w roku 1815“.

№ 34 (53).

Nie obfituje ten dom we wspomnienia ani historyczne, ani anegdotyczne.

W wieku XVII-tym posiadają go kolejno: Szlichtyng, Erhardt i wdowa po ostatnim. Później przechodzi na własność Kleinpoldta.

Ta długa posesya składała się jakby z dwóch oddzielnych domów, z których jeden miał czoło od Rynku, drugi od Krzywego Koła. Najdawniejsza taryfa rozróżniała te dwa domy, nazywając pierwszy „Erhardowskim“, a o drugim mówiąc: „Szlichtyngowski, pani Erhardowej“.

Szlichtyng Jakób był w roku 1609 ławnikiem Starej Warszawy; w roku 1623 występuje jako rajca i podskarbi.

Erhardów nazwiska w magistratarze warszawskiej nie zapisano.

W drugiej połowie XVII wieku, właścicielem jest Kleinpoldt—zapewne ten sam, którego w roku 1637 spotykamy na liście rajeów.

Stawał w tej kamienicy gospodą areybi-skup lwowski, oddawano zaś na jego użytek: „izby 3, izdebek 2, z komnatami dwiema, sklepów 2, piwnie 2, kuchni 2 i (co zawsze było w Rynku Staromiejskim osobliwością) — stajenkę“.

Nazwiska późniejszych właścicieli: Lignau, Goździejska, Maszkowski i t. d. niczem już do nas nie przemawiają.

Zewnętrzność tej kamienicy, w dzisiejszym przynajmniej stanie, mało posiada typowości. Zwraca tu jednak uwagę na wysokości czwartego piętra wielka, całą szerokość domu zajmująca wnęka, w której zagłębieniu znajduje się duże weneckie okno.

Jak we wszystkich prawie kamienicach staromiejskich, tak i w tej, częściowo oszkłony dach oświeca z góry wązką i mroczną klatkę schodową.

№ 32 (54).

Znany nam już z dawniejszych opisów a nad fartą widoczny herb „Baryczka“ mówi odrazu: czyja ręka tę piękną kamienicę wzniosła. Posiada ona zresztą rodowód swój i pierwszych posiadaczy swych wypisany zło-

tem na marmurze i na czole domu umiesz-
czony.

Dowiadujemy się z tego źródła, że dom został zbudowany przez Wojciecha Baryczkę i jego małżonkę Bonę Marianównę, w r. 1635. Jest to zatem kamienica jedna z młodszych w Starem Mieście, i stanąć musiała na gruzach innej, którą wzniesiono po wielkim pożarze w r. 1431. Wówczas Rynek zabudowany był przeważnie domami drewnianymi, które co do jednego spłonęły, co wywołało rozkaz, zabraniający wznoszenia *intra muros* wszelkich budowli z drzewa.

Ponieważ prócz daty erekcyjnej, wspomniana tablica podaje sporo faktów, odnozących się do genealogii patrycyatu warszawskiego, przeto przepisujemy ją tu w całości.

*Aeternae Dei Opt. Max. gloriae.
Parenni patriae ornamento, suo, amicorum,
posteritatisque usui, Albertus Baryczka
cum Bona Marianowna, conjuge,
magnorum et potentissimorum divae
memoriale Sigismundi III et Vladislai IV
Poloniae et Sueciae Regum.*

*Primum a culinae, post a Stabulis fidissimus
Questor expensis, consul Varsoviensis in vetustissimo
hac Stanislai Baryczka Consulis et Hedwigis Kulska,
parentem Bartholomei Archiscabini et Christinae
Fukierówna avorum, Georgii proconsulis et Hedwigis
Baltolorówna proavorum, Petri et Annae Sereniss.
Ducum Masoviae aulae familiarum abavorum*

*atque avorum suorum praedulci solo molem
hanc quam cernis a fundamentis erexit.*

Anno a Christo nato MDCXXXIII.

Custodiat Dominus Intulareque Sancti.

W starych aktach ta kamienica nazywana jest „Przechodnią“. W istocie, podobnie jak poprzednia, rozciąga się od Rynku aż do Krzywego Koła i posiada kilka dziedzińców, które ongi dawać musiały wolne przejście z jednej strony na drugą.

I w taryfie z czasu najazdu szwedów i w „Rewizyi“ z r. 1669, zapisany jest Stanisław Baryczka „Owiesny Jego Królewskiej Mości“. Ten Stanisław był synem Wojciecha. Owiesnym nazywał się urzędnik do wydawania obroków na dworze królewskim. Za Zygmunta III był nim Massalski.

Z pomnika w Katedrze, w kaplicy Pana Jezusa, dowiadujemy się, że Wojciech Baryczka zmarł w r. 1645, w 66 roku życia.

Do rodowodu Baryczków jeszcze jeden dorzucamy szczegół. Przed kilkunastu laty, na wązkim, trawą zarosłym placu, leżącym pomiędzy Katedrą a kościołem po-Pijarskim, znajdowały się potłuczone tablice nagrobne, wyjęte zapewne ze ścian wewnętrznych kościoła przy jego przebudowie około 1840 r. Na jednym z tych kamieni odczytaliśmy nazwisko „Albertus Bariczka“ oraz rok 1678. Reszta napisu była zatarta.

W budowie tej kamienicy znać już styl Odrodzenia, który dziwnie późno w te strony zawitał. Wszystkie komnaty obszerne i jasne; sień prześliczna, przestronna, połyskiem marmurów niegdyś rozwidniona.

Za Augusta II kamienica Baryczkowska przechodzi na własność Minasowicza, bogatego kupca z rodziny ormiańskiej, protoplasty dwóch zdolnych poetów. Około roku 1730 był on rajcą magistrata Starej Warszawy.

W roku 1731 przemieszkiwał tu Bällau, poseł księcia karlandzkiego.

Za Stanisława Augusta mieściła się w tym domu „fabryka uprzywilejowana“ Cadra, w której wyrabiano (może wykończano tylko?) skóry. Współczesne świadectwa stwierdzają, że ta fabryka wysyłała wyroby swe zagranicę, słynęła zaś z wyrabiania najprzedniejszych skór zwanych „bukaty“, których używano na buty „woskowane“. Należał do niej młyn wodny do mielenia kory dębowej, wystawiony na Wiśle, wprost klasztoru Panien Wizytek, „za pozwoleniem Komisji Skarbowej“.

W roku 1912 kamienica niegdyś Baryczkowska przeszła na własność Towarzystwa opieki nad zabytkami.

№ 30 (55).

Ten dom i kamienica „pod Murzynkiem“ są najwyższymi w opisywanym szeregu; nale-

żą też do najwyższych w całym Starem Mieście. Proste i nieugięte, podnoszą wyniosłe czoła ku niebu, podobne do legendowych olbrzymów, którzy mieli zaludniać ziemię przed wiekami. Każdy z tych domów ma na dachu przystawkę, która wygląda zdala, niby domek oddzielny.

I ta kamienica należała do Baryczków. W początkach XVII wieku posiadał ją Mateusz Baryczka; później była w rękę jego sukcesorów; w roku 1669 występuje jako jej właściciel, Korycki, szafarz królewski.

Błądnie twierdzi ksiądz Kurowski, że ta kamienica wystawiona dopiero w roku 1680, o czem ma świadczyć umieszczony na niej napis. Napisu nie znam, bo już go dziś odczytać trudno, istnieją wszakże dowody, stwierdzające jej istnienie na kilkadziesiąt lat przedtem. Przy napisie erekcyjnym znajdować się miały, podług księdza Kurowskiego, słowa:

Per signum Crucis, salva nos Deus.

Mateusz Baryczka należał do mniej wydatnych i wcale nie głośnych członków zasłużonej rodziny. Głośniejszy był imiennik jego, o stulecie całe wcześniej żyjący. O tym drugim Mateuszu Baryczce zapisano w erekcyi księży Mansyonarzy (r. 1490), że był szczególniejszym dobrodziejem kaplicy „Trzech Króli“ w kościele Ś. Jana. Na utrzymanie

tych duchownych poczynił znaczne zapisy na swych folwarkach podmiejskich.

Dodajmy przy sposobności, że wspomniana kaplica, w której znajdowały się rodzinne groby Baryczków, już nie istnieje.

Stawał w tej kamienicy gospodą biskup krakowski. Znajdowała się tam wówczas, „stajenka na cztery konie“.

Z licznych ozdób, które przystrajały przed wiekami domy staromiejskie, a które ręka wyrodných i ciemnych potomków zdarła lub zniszczyła, ocalały na tej kamienicy cenne medalionowe płytki z holenderskiej majoliki. Temi płytkami wyłożony jest gzems pierwszego piętra, oraz przyozdobiona cała przystawka na dachu. Zdaleka wyglądają owe ozdoby, jak sznary pereł.

W liczbie ostatnich właścicieli, spotykamy nazwiska Serocińskiego, Gazowskiego, Szymańskiej i t. d. Obecnie posiadają tę kamienicę sukcesorowie kupca Wilezana.

№ 28 (56).

Ostatni z domów w opisywanym szeregu pięknie go zamyka i jest malowniczym odpowiednikiem do rozpoczynającej go kamienicy. Dwa te narożniki, jeden od ulicy Gołębiej, drugi od Krzywego Koła, ajmają ten bok Rynku jakby w artystyczną, stylową ramę. Naj-

piękniejszą ozdobą tej kamienicy, która ją na pierwszy rzut oka z pomiędzy innych wyróżnia, są umieszczone na szczycie figury Świętych. To idealne znamię religijności w dawnych jedynie wiekach siedzibom ludzkim nadawano. Dziś je przystrajają w nimfy i bachantki, w symbole handlu i przemysłu, w pokradzione wszystkim wiekom i wszystkim stylom a najfatalniej z dachem epoki kłójące się, ornamenty.

W domach, których strzegli kamienni Święci, częściej z pewnością słyszało się hymn nabożny, niż pieśni światowe. I życie płynęło tam zbożnie, uroczyście, mając w sobie coś z pochodu procesyjnego, ze świecą w ręce i krzyżem na piersiach.

Trzy figury wieńczą tę narożną kamienicę: Najświętsza Panna, a obok niej po prawej ręce Ś. Stanisław z Piotrowinem, po lewej Ś. Elżbieta.

Gruby błąd popełniają dawniejsi historycy Warszawy, przypisując wystawienie tego domu a więc i figur szczyt jego zdobiących, potomkowi szkockich emigrantów: Czamerowi. Ów Czamer przyszedł na świat w połowie XVII wieku, mógł być przeto budować domy dopiero w końcowych jego latach. Następnie, niema żadnej łączności pomiędzy wyborem Świętych a osobą Czamera (Aleksandra) i jego najbliższych. Wreszcie, co najważniejsze, na

samej kamienicy znajduje się wyraźna wskazówka, dotycząca i daty erekcyjnej i osoby obywatela, który tym pięknym domem Rynek przyozdobił.

Na wysokości 3-go piętra, tuż pod figurą Matki Boskiej, znajduje się tam herb z cyfrą S. F. i rokiem 1642. Otóż ten herb i ta cyfra należały do Stanisława Falkiewicza *vel* Falkowicza, rajcy i szafarza Starej Warszawy. Oddając domostwo swe pod opiekę Najświętszej Panny, pobożny mieszczanin umieścił po jednej stronie swego patrona a po drugiej, jak domyślać się można, żony swej patronkę.

Do Aleksandra Czamera należał dom już później, przy końcu XVII stulecia. Ten Czamer był synem emigranta szkockiego, który wraz z innymi współziomkami i współwyznawcami opuścił kraj rodzinny, uchodząc przed prześladowaniem religijnem.

Ci szkoci, co w drugiej połowie XVI-go wieku do nas przybyli, nie byli w ojezyźnie swej prześladowani „za swoje wyznanie reformowane“, jak utrzymuje Sobieszezański (to twierdzenie jest w niezgodzie z przypisywanem Czamerowi wystawieniem figury Matki Boskiej), lecz przeciwnie, jako katolicy trzymający z Maryą Stuart i Gwizyuszami, cierpieli prześladowanie ze strony protestantki Elżbiety. Zresztą, katolicyzm Czamera stwier-

dza dostatecznie okoliczność, że pochowany został u Ś. Jana.

Garść emigrantów szkockich, która, po opaszczeniu ojezyny, szukała gościnności w naszym kraju, zwróciła się przedewszystkiem do Prus Polskich. Prusacy nieufnym okiem patrzyli na przybyszów, a gdy dostrzegli, że ich umiejętność kupiecka i zabiegliwość wytwarzają niebezpieczne dla ludności miejscowej współzawodnictwo, wyprosilili ich od siebie. Szkoci udali się wówczas na Litwę i na Mazowsze.

Rozproszeni po całej Rzeczypospolitej, z trudnością wywaleczali sobie prawo obywatelstwa, które równało się dla nich prawu istnienia. Pracowali wyłącznie w dziedzinie przemysłu i handlu, a gdy, podjąwszy się za Stefana Batorego dostaw dla wojska, dobrze to zadanie spełnili, król począł spoglądać na nich okiem łaskawem. Odtąd znikła stopniowo nieufność do przybyszów, tak odmiennych pod każdym względem od ludności krajowej, i niebawem zespolili się oni całkowicie z organizmem Rzeczypospolitej, otrzymawszy wolność prowadzenia handlu na całym jej obszarze.

Najprzyjaźniejszą wszakże okazała się dla szkotów Warszawa. Znaczna ich liczba osiadła tu po przeniesieniu stolicy z Krakowa, ożywiając handel miejscowy i zaprowa-

dzając nowe gałęzie przemysłu. Ściśle zespoleni pomiędzy sobą, posiadając kierowników inteligentnych i energicznych, dość długo tworzyli odrębną kolonię, której głową był właśnie Czamer.

Za Zygmunta III-go, kupcy szkoccy posiadali w samym Rataszu osiem sklepów z towarami szkockimi"; w piwnicach zaś pod Ratuszem utrzymywali winiarnie i piwiarnie. Wyrabiane i sprzedawane przez nich sakna należały do najpiękniejszych i najbardziej poszukiwanych.

Oprócz tego, szkoci trudnili się handlem drobnym, bądź to zasiadając przy straganach w Rynku („na trecech“, jak wówczas mówiono i pisano), lub też roznosząc pomniejszą towar w koszach pa całym mieście.

W „Peregryncyi“ Krzysztofa Radziwiłła, pisanej około 1584 r. (przekład Wargoekiego, Kraków 1607) czytamy taką o tem wzmiankę: „Siła ich (Druzyanów) do Damaszku y Tyrolu przychodzi, a jako naszymi szkotowie na opałce drobne rzeczy rozmaite dla sprzedania noszą po ulicach, tak oni na szyi skrzynkę jakąś skórzaną miewają, w niej kilka cynowych kubków, flaszek kilka skórzanych, zimnej wody pełnych, dwa albo trzy grzebienie, szczotkę szatną y zwierciadło chowają“.

Ale i tu współzawodnictwo żywoła miejscowego nie pozostawiło ich w spokoju. Za-

wistni kupcy prześladowali ich na różne sposoby; kilkakrotnie przemyślano nawet o wymówieniu im gościnności. Na szczęście, można opieką Aleksandra Czamera, który uzyskał nobilitację i doszedł do najwyższych w magistraturze warszawskiej godności, usuwała za każdym razem grożące im niebezpieczeństwo.

Szkoci mieli u nas wrogów pomiędzy współzawodnikami, ale mieli też i sędziów surowych, którzy im gorzkich słów prawdy nie żalowali. Jak każdy żywioł napływowy, posiadać musieli i oni pewne właściwości, interesom krajowców sprzeciwiające się a więc przez nich potępiane.

Wojciech Gostkowski, mało znany ekonomista a zarazem złośliwy malarz obyczajów za Zygmunta III, w rzadkiej broszurze p. t. „Detectio accessy skarbu Króla I. Mości y Rzeczypospolitey“ (bez miejsca i roku) tak pisze o szkotach:

„*Szotowie i ich fortele.* — U tego narodu jest prawo takie, że *primo genitus* zostaje się przy dobrach oyczystych i macierzyńskich, a ilekolwiek się po nim urodzi braci, ci gdy przydą do lat, mają być od niego *exdotati* i na woli ich jest: albo w państwie swym zostać, albo też na peregrynacją iść i nabywać bogactw. Ci to ludzie nie mają sposobniejszego państwa, iak nasze Królestwo Polskie.

A gdy się w którymkolwiek mieście wzbogaci y do pieniędzy przydzie, drugiemu szkotowi onę majątność przeda, sam iedzie do Szkocyi. Rozumie tedy wiele ludzi, żeby przychodniowie, którzy obyczaie insze mają, a polskiemu ich odmienić nie chcą, sami się z sobą żenią, wiary różnej są, sekreta Korony Polskiej do Turek i do innych państw wynoszą, procenta celne i Rzeczpospolitą oszukiwają, ludzkie narodu polskiego niszczą, handle im y kupiectwa z ręką i pożywienia wydzierają — bando na nie wydać, z Polski wygnać, bona ich konfiskować, bo to wszystko zbiór z Polaków i w Polsce. Żaden nie przyniósł do Polski, ani na koniu przyjechał, ani się wozem przywiózł; słuszna też, aby tam, gdzie gardło nabrał, tam ie zostawił“.

Zwykły to objaw samolubstwa plemiennego, czy też plemiennej samozachowawczości, które zawsze umieją upozorować swą polityczno-społeczną drapieżność.

Mówiąc o szkotach w Polsce, zapisać trzeba szczegóły, mało dotąd znany, że w liczbie ich znajdował się niejaki Jerzy Leirmont *vel* Lermount, człowiek rzemiosła wojennego. Przybył on do Warszawy w początkach XVII wieku; następnie udał się do Moskwy, dokąd powołał go car Michał Teodorowicz do formowania pułków jazdy. Ten Lermount był

protoplastą wielkiego poety rosyjskiego, Lermontowa.

Aleksander Czamer, przechodząc kolejno wszystkie stopnie magistrackie, był w r. 1691 burmistrzem Starej Warszawy. Po skończonej kadencyi, nie przestawał pracować dla dobra miasta na skromniejszym stanowisku ławnika, na którym spotykamy go w ostatnim roku jego życia. Weześniej zaś nieco, mianowicie w r. 1697, był rajcą magistrata oraz prowizorem szpitala Ś-go Ducha (*consul et provisor hospitalis ad ecclesiam Sancti Spiritus*).

Umarł Czamer w roku 1703, licząc lat 58. Ma u Ś. Jana tablicę, prywatną i publiczną jego cnoty wychwalającą i przechwalającą. Ten nagrobny panegiryk, tętnący od początku do końca fałszywym patosem i przepełniony stylową akrobatyką XVIII wieku, przytaczamy tu w całości, jako ciekawy w swoim rodzaju dokument:

D. O. M.

Exiguus hic cinis magnus est

Alexander Czamer

*Roseo Anglorum Sanguine nobilissimus,
extra Patriam, Ecclesiam, Matrem professus,*

*quam inter Patrias Rosas erubuerat,
in corde Poloniae, cum ad cor rediisset
semper civis cordium*

*bis cordialis Themidi legum Advocatus
quater Proconsul cordatissimus*

*id est caput et cor civium Varsaviensium
extitit.*

In consiliis non tam Angelus quam Angelus.

*Magni Consilii in executione decreto-
rum Fabius, sed non cunctator.*

*In solvendis Judiciorum nodis Gordiis
item, et alter Alexander.*

*Privilegiorum Civilium, Altare privilegiatum
legum anima, et lex animata.*

Libertatum Urbis a servitute Liberator.

Fundorum antiquorum novus Fundator.

Ad coronaria Serenissimi Augusti II Comitibus

Legatus non jam a latere, sed a corde Regni,

Secretarii titulum novum accepit,

pridem sub Rosa Patria natus ad Arcara,

tandem post gloriosissima Acta

egit animam.

Die 9. Martii A. Chr. 1703 aetatis 58.

Sed illatam sibi non illi a morte injuriam

actis aeternaturis inscripturi

cum

Proconsuli filio Wilhelmo

Posteris scribunt in marmore laesi.

Po śmierci Czamera, kolonia szkocka straciła swą łączność i odrębność. Jedni ze szkotów, z bogaciwszy się, powrócili do kraju ojców swych, czemu dziwić się trudno; inni wsiąkli nieznaecznie w grunt miejscowy i nawet pamięć o swem pochodzeniu zatracili.

W najdawniejszych taryfach pisano o tej kamienicy: „Falkiewicza, rajcy, z domem Mińskich“. Łączone były tym sposobem w jedno dwie posesye, stykające się ze sobą tyłami:

jedna od strony Rynku, druga od Krzywego Koła. Na tej samej zasadzie, druga z tych posesyj nazywana była „Falkiewiczowską“. Co się tyczy Mińskiego, to znaleźliśmy ślad, że on był za Zygmunta Augusta (r. 1566) gminnym Starej Warszawy.

W końcu zeszłego i na początku bieżącego wieku opisywana kamienica należała do Withoffów. Później była własnością Mieszkowskiej, Romanowskiego, Myśluborskiego.

Okolo roku 1840 mieściła się tu gospoda kuśnierska.

D. BOK WSCHODNI.

(Pomiędzy Celną a Kamiennymi Schodkami).

Ten bok nie odznacza się wielką archaicznością; nie posiada ani jednego domu, którego metryka byłaby starsza nad początek wieku XVII. Tu najbardziej srożył się wielki pożar w roku 1607. Prawie cała strona padła wówczas pastwą ognia.

Dziś jest to najruchliwszy z boków Rynku, co przypisać trzeba głównie licznym sklepom; za lat dawnych musiało być inaczej. Ongi, największe ożywienie panowało na stronie przeciwległej, tam bowiem znajdował się główny wehód do Ratusza oraz przybytek ważniejszych posiedzeń magistrackich, zwany

„Kamienią Wójtowską“. Tam wreszcie mieściły się najliczniej uczęszczane winiarnie.

Jeśli coś w owej epoce mogło bok wschodni bardziej ożywiać, to chyba tylko bliskość tak zwanej „kuny“, która znajdowała się wprost kamienicy „pod Fortuną“. Przypominamy, że kana była klatką żelazną, przejrzystą, do jednego z boków Ratusza przylegającą, w której zamykano oddzielnego rodzaju przestępców i przestępczynie.

Tłumniejsze fale ludzi płynęły podówczas po obu stronach boku wschodniego, tam mianowicie, gdzie on stykał się z dzisiejszą Celną i Kamiennymi Schodkami. Były to w dawnych wiekach bezimienne zaułki, albo raczej przesmyki, prowadzące do bram miejskich: pierwszy do bramy czyli baszty Białej, drugi do bramy Wiślanej.

Tyły tego boku zakrywał wysoki mur miejski. Z czasem, gdy *Antiqua Varsovia* po szwedzkich, fatalnych dla niej najazdach, przestała być warownią, w tym murze, prócz wróbli i jaskółek, poczęli budować sobie gniazda i ludzie. Z przybudówek, powiększanych następnie do rozmiaru zwykłych kamienic, powstała z czasem jedna połać dzisiejszej ulicy Brzozowej.

Wschodni bok Rynku był nazywany w starych taryfach „stroną prawą“.

№ 26 (57).

Rozpoczynająca ten bok kamienica narożna, dziś wszelkiego prawie charakteru pozbawiona, stanowi właściwie połączenie dwóch posesyj, które w wieku XVII wyraźnie rozdzielano, nazywając jedną z nich „Walterowską“, drugą „Orłowską“. Z czasem obie kamienice przeszły na własność Waltera i w taryfach z końca XVII wieku pod jego wyłącznie nazwiskiem są zapisywane.

Wspomnieć jeszcze trzeba, że jedna z kamienic była pierwotnie własnością „pani Katerliney“, jak z nazwiska wnosić można, włoŝski, albo wdowy po włoŝchu.

W magistratarze Starej Warszawy znaleźliśmy Jerzego Orłowskiego, ławnika, oraz Kacpra Waltera, rajcę.

W domu narożnym stawał gospodą biskup łucki, mając do swego rozporządzenia: dwie izby, dwa sklepy, dwie piwnice i jedną kuchnię. W przyległej kamienicy bywała gospoda biskupa chełmskiego, któremu oddano pięć izb, jeden sklep, dwie piwnice i dwie kuchnie.

W roku 1784, w którym wyszła pierwsza drukowana taryfa Warszawy, oba domy zapisane są pod jednym numerem, jako własność „sławetnego“ Preysa. Później posia-

dają te posesyje: Collen, Mściwojewski, Zaszczyński.

№ 24 (58).

Basser a potem Ziebowicz, czy też Zienkowiez, (gdyż dwojako źródła ówczesne to nazwisko piszą), posiadają tę kamienicę w początkach XVII wieku. I o mężach tych i o posesyi wiadomości nasze są nader szczupłe.

Niczem szczegółnem nie odznacza się ta kamienica zewnątrz i wewnątrz; znać też na niej i w niej późniejsze przeróbki.

W porze sejmu miewał tu gospodę biskup przemyski. W „Rewizyi“ zapisano: „izb cztery, sklep jeden, piwnie trzy, stajenka oraz kramnica na przodku“.

Za Stanisława Augusta rozśławia się ta kamienica po świecie, dzięki mieszczącej się tu drukarni Dufoura. Dufour tytułował siebie: „konsyliarzem nadwornym, drukarzem JKMości, Rzeczypospolitej i Rady Nieustającej, dyrektorem Korpusu Kadetów“. W Rynku, oprócz drukarni, miał księgarnię, będącą zapewne składem jego wydawnictw, był bowiem i nakładcą. O losach tej drukarni pisze Magier w swej, częściowo dotąd drukowanej, „Estetyce miasta Warszawy“: „Piotr Dufour, konsyliarz nadworny, dyrektor drukarni Korpusu Kadetów, miał własną drukarnię w Rynku Sta-

rego Miasta pod nr. 58. Po nim Tomasz Lebrun w niej drukował. Później dostała się przez związek małżeński z wdową Lebrun Lesznowskiemu, redaktorowi Gazety Warszawskiej, dotychczas (to jest do czasów Magiera) utrzymywanej przy ulicy Świętojerskiej“.

Do notatki Magiera dodajmy kilka dopełnień i sprostowań.

Dafour miał tu drukarnię (zarazem i księgarnię) tylko do roku 1784. Ze zmianą właściciela, zmieniło się i pomieszczenie; tegoż samego zaś roku, w tymże domu, a może i w temże mieszkaniu, otworzył drukarnię kto inny.

Nowym założycielem drukarni nie był drukarz zawodowy, lecz przedsiębiorca, nie z drukarstwem właściwym i z literaturą nie mający wspólnego. Był to włoch, Baccigalupi, założyciel „loteryi liczbowej“ w Warszawie, który początkowo wybijał u siebie tylko bilety i tabele loteryjne. Z tego względu drukarnia jego nosiła miano „Loteryjnej“.

Ze starannie opracowanej broszurki p. Żegoty Wywiałkowskiego pod tytułem: „Czeionkarnie, istniejące w dzielnicach ziem polskich“ (Kraków—Warszawa, 1884), dowiadujemy się, że część drukarni Baccigalupiego została sprzedana w roku 1792 księdzu Malinowskiemu, który z niej oddzielny zakład drukarski utworzył. Ta nowa drukarnia w roku 1799 prze-

szła na własność Wyżewskiego, którego potomek, przedzierzgnąwszy się w literata francuskiego i francuza, podpisuje się: „de Wyżewa“. Od Wyżewskiego nabył drukarnię Józef Unger, który ją świetnie rozwinął, drukując prócz wielu dzieł ważnych „Tygodnik Ilustrowany“, „Wędrowca“ oraz swoje popularne ilustrowane kalendarze. Po śmierci ojca, utrzymywał ją w dawnej świetności Gracyan Unger.

Wracając do drukarni Loteryjnej, zapiszmy, że z czasem odbijać zaczęła coś więcej, niż plany i bilety. Tem „czemś więcej“ nie były zresztą rzeczy bardzo wielkie, bo tylko „Kalendarze astronomiczno-gospodarskie polskie y ruskie“. Wychodziły one około roku 1820 nakładem Józefa Pakszty przy ulicy Świętojańskiej, „przeciw Fary“, z „Drukarni Baccigallupiego w Rynku S. M. № 38“.

Signor Baccigalupi-Menagetto, bo tak w całości brzmiało jego nazwisko, pozostawił syna, z którego córką ożenił się Jan Wróblewski. Drukarnia przeszła na własność tego ostatniego w r. 1834, i pozostawała w jego rękę do roku 1844, w którym nabył ją Jan Jaworski.

Aby skończyć z osobistością Baccigallupiego, zapiszmy szczegół, który w roku 1892 podały wychodzące w Krakowie „Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne“. Na zamie-

szej w tem piśmie reprodukeji kredkowego rysunku Aleksandra Orłowskiego, przedstawiającego artystę w gronie przyjaciół warszawskich, występuje w liczbie tych ostatnich i Baccigalapi. Wygląda tam na podżytego jegomościa z cudzoziemskim profilem, który w sposób trochę rażący odbija od młodocianych przeważnie twarzy towarzyszków. Pod każdym z portretów, które są szkicowo rysowanemi w profila popiersiami, umieścił Orłowski emblemata, wyrażające rodzaj zajęcia każdego z portretowanych. Pod wizerunkiem Baccigalapiego widzimy: ćwiartkę papieru z niewyraźnym napisem, przedstawiającą zapewne bilet loteryjny.

Rysunek pochodzi z samego końca zeszłego wieku, gdy Orłowski liczył niewiele więcej, nad lat dwadzieścia. Wiadomo jak wesoło, mimo żywo odczuwanych klęsk publicznych, upłynęła młodość znakomitego artysty; nie trudno też zgadnąć, że najbliższe jego otoczenie było halaszcą, przeważnie z żywiołów artystycznych złożoną, kompanią, do której drogą pośrednią tylko mógł dostać się przedsiębiorca loteryjny. Innymi uczestnikami wesołego grona byli: Krystyan Karoli, zegarmistrz-artysta; Karol Gröll, syn głośnego „bibliopoli“ Stanisława Augusta, rysownik, rytmownik, miniaturzysta, mechanik i wynalazca; Manerelli, Włoch, nauczyciel śpiewu i gry na

gitarze; Bartłomiej Folino, kapitan artylerji, nauczyciel szkoły wojskowej, przytem rysownik i rytownik; Kazimierz Wojniakowski, utalentowany malarz; wreszcie Itar, wloch z urodzenia, budowniczy.

Kamienicę, którą opisujemy, posiadał w zeszłym stuleciu „sławetny“ Derussi; potem znajdowała się w rękach Bielewicza, Braana i t. d.

№ 22 (59).

Oglądając archaiczną sień tego domu oraz niewielki a nadzwyczaj oryginalny dziedzińczyk, przypuszczać trzeba jedno z dwojga: albo płomienie strasznego pożaru w roku 1607 ocaliły tę kamienicę, opaliwszy tylko zewnętrzne jej mury, albo też po pożarze odbudowano ją w kształcie pierwotnym.

Cokolwiekbydź, ona nosi w środku wyraźne znamiona wieku XV i przypomina wnętrza najstarszych domów krakowskich. Pismo obrazkowe „Wieniec“, wychodzące w roku 1872, zamieściło jej widok wewnętrzny, rysowany przez Henryka Pillatiego, wraz z notatką Weinerta, który wzniesienia domu nie waha się odnieść do pierwszej połowy wieku XV.

Niegdyś czoło tej kamienicy zdobił rzeźbiony, czy też malowany wizerunek Fortany, z tego też powodu nazywano ją przez czas długi domem „pod Fortuną“. Prawdopodo-

bnie, podczas pożaru owo godło spłonęło, gdyż po roku 1607, żadnego po niem śladu, prócz nazwy, już się nie spotyka.

W „Rewizyi Gospód“ z połowy XVII w. zapisano: „Kamienica Dziańotowska nowa“. Nie wiemy, jak sobie tłómaczyć to ostatnie słowo, zdaje się jednak, że ono nie znaczy nic więcej, jak: „odnowiona“.

Włoska rodzina Gianottich, osiadła w Warszawie za Jagiellonów, przyjęła tutejsze obywatelstwo i pisała się z polską: Dziańoty, albo Dziańot. W kronice Starej Warszawy zasłynęli głośniej: Jan, Jakób i Piotr Dziańotowie.

Jakób Dziańoty, albo raczej, jak na kamieniu nagrobnym czytamy: *Jacobus de Castellatis Gianotti*, pozyskał szlachectwo od cesarza niemieckiego Ferdynanda III. Był dworzaniem królów polskich: Zygmunta III i jego syna Władysława. Od ostatniego otrzymał indygenat.

Ten Dziańoty piastował przez czas długi godność burmistrza Starej Warszawy, a za położone dla miasta i dworu zasługi otrzymał w r. 1633 libertacyę swęj kamienicy. Libertacya, potwierdzona później przez Jana Kazimierza, nie była jednak zupełną, gdyż kamienicę Dziańotowską przeznaczono na czasowe mieszkanie dla posłów zagranicznych.

Posłowie stawali tu aż do czasów Augusta III. Dodać wszakże trzeba, że mieli inną

jeszcze gospodę przy ulicy Długiej, w kamienicy, zwanej „Giełdą“.

Mówi o tem Jarzębski:

...Stój co żywo!
Przeciwno, „Giełdą“ nazwany,
Jest budynek murowany,
Kędy posłowie stawali,
Cudzoziemscy przebywali.

„Giełda“, nazywana zwykle „kupiecką“ i będąca zarazem miejscem zbornem kupców miejscowych i przyjezdnych, znajdowała się obok kościoła Ś. Ducha, gdzie dziś dom pod numerem hipotecznym 540. Prócz wielkich izb gościnnych, mieściły się tam obszerne składy towarów, z zagranicy przywożonych. Podczas najazdu szwedzkiego „Giełda kupiecka“ spłonęła. Dom odbudowano później, zachowując dawne, grube mury; gospody jednak: poselska i kupiecka już w niej mieścić się przestały. Nawiasowo dodajemy, że dopiero w połowie wieku XVIII kupiectwo warszawskie wznowiło swe zebrania, które odbywały się w jednej z izb ratuszowych. Potem (w roku 1817) otwarto giełdę w pałacu saskim, skąd przeniosła się najpierw do Marywila, następnie do Banku polskiego, aż wreszcie znalazła pomieszczenie w byłej „Ujeżdżalni“ (niegdyś teatrze dworskim Augusta III) przy ulicy Królewskiej.

Wracając do Jakóba Dziańotego, zapiszmy, że został pochowany wraz z żoną, Weroniką, w grobach katedralnych i że posiada piękny pomnik w kaplicy Najświętszego Sakramentu. Umieszczony na płycie marmurowej napis, przytacza Starowolski w „Monumentach“. Na pomniku znajdują się portrety obojga małżonków.

Wzmiankowany w aktach Starej Warszawy, pomiędzy rokiem 1644 a 1650, Jan Dziańoth (tak), ławnik magistratu, jest niezawodnie tąż samą osobą, co i Jakób Dziańoty, późniejszy burmistrz. Mała odmiana w imieniu mogła być omyłką; mógł też ten zaenry obywatel nosić dwa imiona.

Utwierdza nas w tem przekonaniu okoliczność, że w ciekawych rachunkach Krzysztofa Arciszewskiego, królowi, czy też magistratowi warszawskiemu składanych, spotykamy kilkakrotnie wymienianego Jana Dziańota, jako właściciela kamienicy w Rynku. Z tych rachunków dowiadujemy się dwóch rzeczy: że w domu Dziańota znajdowało się zamezyste, warowne schowanie, i że sam Dziańot cieszył się wielkiem a współobywateli zachowaniem, skoro powierzano mu do przechowania pieniądze publiczne.

Z zapisek „starszego nad armatą koronną“, przytaczamy miejsca odnośne, jako

ważne do charakterystyki stosunków ówczesnych.

...„*R. 1648, 11 Junii.* Panu Ianowi Dzia-
notowi, od sklepu iego w Rynku, w którym
się pieniądze Rzpltej dla warunku lepszego
chowaią, od św. Iana *anni* 1546 do drugiego
św. Iana *anni* 1648, dało się naymu rocznego
złotych 150“.

...„*R. 1648, 1 Julii.* Panu Ianowi Dzia-
notowi, od sklepu warownego w Rynku, w któ-
rym się pieniądze nowe *quarty* chowały, od
św. Iana Chrzciciela 1647 do drugiego św.
Iana Chrzciciela 1647 zapłaciem naiem ro-
czny złotych półtorasta. Hausknechtowi P.
Dzianotowemu, żeby oko miał na drzwi u skle-
pu, na boty złotych trzy“.

We wspomnianej wyżej „Rewizyi Go-
spód“ zapisano w kamienicy Dzia-
notowskiej: izb 8, oprócz „kownat“ i alkierzów; sklepów 3,
piwnie 3, kuchni 4. Dodano też: „Ta kamie-
nica na postów cudzoziemskich *ex antiquo*“.

Gdy po raz pierwszy numerowano domy
warszawskie, dokonywając zarazem „lustracyi“
każdej posesyi, ta kamienica, opatrzona wów-
czas numerem hipotecznym 59, posiadała: od
strony Rynku Staromiejskiego sklep jeden,
okien czołowych 9, po trzy na każdym z trzech
pięter, szerokość zaś jej wynosiła łokci ko-
ronnych 11. Taż possessya od strony ulicy
Brzozowej miała tylko jedno piętro o dwóch

oknach, szeroka zaś była na łokci 13. Te szczegóły podaje rękopiśmienna taryfa z roku 1784 (nie trzeba jej łączyć z taryfą drukowaną z tegoż roku, „do składki na koszary — jak tytuł opiewa — ułożoną i pereçoptę, z kwiatami zgodną, okazującą“.

Część posesyi od ulicy Brzozowej została wybudowana znacznie później, niż kamienica rynkowa. Nastąpiło to w początkach wieku XVIII, gdy miasto, uważając dalszą konserwację starego muru obronnego za rzecz niepotrzebną, pozwalało przerabiać go na domy mieszkalne. Z tego muru właśnie powstała owa kamieniczka — jak cała zresztą tamta połąć ulicy Brzozowej.

Każdego, kto ogląda dziś tyły dawnej kamienicy Dzianotowskiej, zadziwia niezwykła jej postać. Można by sądzić, że to szczątki twierdzy, dziwnym zbiegiem okoliczności na siedzibę ludzką przetworzone. Pozory mylą. W przeszłości owych przybudówek niema nie wojowniczego; one noszą na sobie po prostu ślady niefortunnych pokuszeń spekulacyjnych.

W r. 1766 kamienica „pod Fortuną“ została własnością słynnego lekarza warszawskiego Jana Chrzciciela Czempińskiego.

Czempińskim wystawia pochlebne świadectwo J. Bartoszewicz w „Kościołach warszawskich“. Píše, że ta rodzina za Stani-

sława Augusta i wcześniej należała do najzasłuższych w stolicy, zwłaszcza w obrębie Starego Miasta. Wzmiankuje zarazem o szczególnem nabożeństwie, jakie mieli do kościoła księży Augustyanów. Wreszcie o jednym Czempińskim mówi, co następuje:

„Ambroży Tomasz Czempiński, metrykant skarbu koronnego, uczynił u Augustyanów zapis na mszę, mającą się odbywać o 12 w południe i otrzymał na nią dyspensę z Rzymu. Przeznaczył ją dla osób (głównie urzędników), zatrudnionych urzędowaniem w godzinach przedpołudniowych i ztąd narażonych na opuszczenie mszy świętej. W kaplicy Augustyanów, gdzie ta msza dotąd się odprawia i odprawiać będzie po wszystkie czasy, znajduje się popiersie dobroczyńcy z marmuru. Umarł Czempiński w 1768 roku“.

Ten fundator mszy wieczystej był właśnie ojcem Jana Chrzciciela, lekarza, a dziadem Pawła, doktora medycyny, wykształconego w Wiedniu.

Czempiński Paweł, urodzony w Warszawie i w Warszawie do śmierci przemieszkający, pod niejednym względem dobrze się miało i społeczeństwu zasłużył. Biegły w teorii i praktyce lekarskiej, uprawiał również z zamiłowaniem nauki przyrodnicze. Napisał oryginalnie podręcznik szkolny pod tytułem: „Zoologia, czyli zwierzętopismo dla szkół narodo-

wych“, pomagał też Klukowi w pracy nad „Botaniką“, dla tychże szkół przeznaczoną.

Zebrawszy znaczny majątek, Czempiński nabył dwie pobliskie posesye przy ulicach: Brzozowej i Gnojnej (ówczesnej), numery hipoteczne 215 i 216. Posiadając obszerne place i znaczny kapitał, postanowił zabawić się w przemysłowca, i w tyłach swej posesyi zaczął budować gorzelnię, dystylarnię, młyn zbożowy i t. p. Z winy budowniczych, czy też powodu złej natury gruntu, fundamenty dużych gmachów obsuwały się, mury krzywiły, i po wielu niepomysłnych próbach i wyczerpaniu się kapitału, całego przedsięwzięcia zaniechać musiano.

Doktór Czempiński, ożeniony z Prowidencją Lafontaine'ówną, córką znakomitego również lekarza z czasów Stanisława Augusta, był rodzonym dziadkiem znakomitej autorki, Klementyny Hoffmanowej. Córka Czempińskiego została poślubiona Ignacemu Tańskiemu, miernemu poecie a sumiennemu urzędnikowi, i owocem tego właśnie małżeństwa była przyszła autorka „Krystyny“. Kamienica „pod Fortaną“ szczyci się nawet tem, że głośna pisarka w jej murach, w roku 1798, światło dzienne ujrzała.

Nie było-by też rzeczą zbyteczną upamiętnić ten fakt umieszczeniem na czole domu odpowiedniej tablicy pamiątkowej.

Życie domowe Czempińskich odznaczało się nastrojem serdecznym i artystycznym. Wieczorami zabawiano się tam muzyką, którą wszystkie dzieci doktora z powodzeniem uprawiały, oraz literacko-naukowemi pogadankami, na które, obok młodych aspirantów do wieńca wawrzynowego, uczeszczały najpoważniejsze znakomitości ówczesne.

Do najstalszych i najzażyłszych bywalców gościnnego domu Czempińskich należał ksiądz Franciszek Bohomolec. Pod miłym wrażeniem stale doświadczanej gościnności, napisał ksiądz-poeta dochowany w rękopisie wierszyk. Przytaczamy go, jako utwór dzielnego pisarza oraz ciekawy przyczynek do kroniki Starego Miasta.

Wieczory na Satrem Mieście u konsyliarzystwa Czempińskich.

Wdzięczne wieczory, rozkoszne me chwile,
Które w Czempińskich domu trawię mile,
Jak słodkie dla mnie tam powaby macie!
W tem złe, że nazbyt prędko upływacie.
Przyjemna ludzkość, spokojność łagodna,
Przezorna grzeczność, wesolość swobodna,
Przystojne względy dla każdej osoby,
Są tego domu szacowne ozdoby.
Pan jego, skoro ze snu się obudzi,
Bieży ratować nieszczęśliwych ludzi,
A sama pani, przykład dobrych matek,
Ma bacność na dom i na grono dziątek.
Po dziennych trudach, gdy powraca zmrokiem,
Dziateczki, miłym wzruszone widokiem,

Niewinne rączki ku niemu ściągają,
I sercem raczej, niż usty, witają.
Chcąc potem ojca dobrego ucieszyć
Poczynają się do muzyki spieszyć;
Ta klawicymbał, ta arfę porywa,
Ów głosu z skrzypiec miłego dobywa.
Ozwią się zaraz zabawne piosneczki,
Wdzięczne aryjki, wesole taneczki.
W tem wszystkim matka pierwsze trzyma czoło,
Dźwiękiem i pieniem dowodząc wesoło.
A skoro głosy ucichną muzyki,
Wnet bawić zaczną rozropne żarciki,
Lub inne jakie rozrywki uczciwe,
Wnosząc do serca wesele prawdziwe.
Wpośród miłego tego zgromadzenia
Nikną me troski, nikną utrapienia,
A serce, dziennym kłopotem znudzone,
Znajduje sobie chwile ulubione.
O miły domie, którego ponęta
Ośladza życia mojego momenta,
Twojej ludzkości jest to dar prawdziwy,
Że chociaż krótko, bywam w nim szczęśliwy!

Aż do roku 1822 zapisywany jest w taryfach, jako właściciel kamienicy pod numerem 59, Czempiński. Potem ona przechodzi do Jana Zawiszy. Dokładną listę późniejszych posiadaczy wypisujemy z Weinerta. Po roku 1722, byli nimi kolejno: Julia z Zawiszów Słomińska, Jan i Felicyanna ze Styczyńskich Lindnerowie, Józefat Cybalski, Aleksander Brujewicz, Kiwa i Cceylia Lebenthalowie, Jan i Paulina Baumgartowie, Franciszek i Karo-

lina Dzwonkowscy, Gustaw Meizner, August Gebauer.

O tej kamienicy dwa jeszcze mamy do zanotowania szczegóły.

Około roku 1750 mieszkali tu słynni malarze: Czechowicz Szymon i z siostrzenicą jego ożeniony Smuglewicz Łukasz.

W końcu XVIII stulecia ksiądz Bohomolec zahipotekował na tym domu samę, na cel dobroczynny przeznaczoną, od której procenty wypłacane są dotąd „wstydzącemu się zebrać“.

№ 20 (60).

Po bogatym we wspomnienia domu poprzednim, ten wygląda dziwnie jałowo i beztreściwie. Przy rozpatrywania jego przeszłości, nie udało mi się zebrać żadnego prawie materiału historycznego i kronikarskiego; zmuszony jestem nawet postawić komu innemu rozwiązanie zagadki, jaką przedstawia znajdujący się nad furtą a mocno już zatarty herb, przedstawiający, jak się zdaje, rogi jelenie z zębata nad nimi koroną (Rogala?, Działosza?—a może własny herb Gianottich?).

Lustracya z czasu wojen szwedzkich nazywa ten dom „Balcerowskim“. Ta nazwa nasuwa ponownie wątpliwość, jaką poruszałem już, opisując jedną z kamienic przy ulicy

Nowomiejskiej (nr. 3/178), mianowicie: czy „Balcer“ (Baltazar) jest tu nazwiskiem, czy też użytem zamiast nazwiska—imieniem? Patryarchalność, panująca wśród ówczesnego mieszczaństwa warszawskiego, które tworzyło jakby jedną rodzinę, czyni możliwem ostatnie przypuszczenie.

Tema przypuszczenia większe jeszcze prawdopodobieństwo nadaje „Rewizya Gospód“, gdzie o tym domu napisano: „Kamienica *ante* Balcerowey Giziney“. To już wyraźna wskazówka, że dom należał poprzednio nie do jakiegoś Balcera o niewiadomem imieniu, lecz do Balcera, czyli Baltazara, Gizy.

„Rewizya“ wymienia w tym domu: izb 11, piwnie 3, sklepów 2, kuchen 3.

Przy końcu XVIII i w początkach XIX wieku posiada opisywaną kamienicę jakiś „sławetny“ Karke. Późniejszymi właścicielami są: Ptaszyński Kazimierz, Dorantowicz Paweł i Wilezan.

№ 18 (61).

Kronika tego domu zaznajamia nas z nową rodziną obywateli staromiejskich: z Orlemusami, właściwie Horlemesami.

Jakby dla dopełnienia różnorodności plebiennej patrycyatu warszawskiego, pochodze-

nie tej rodziny było holenderskie. Horlemesowie prawdopodobnie przybyli do Warszawy razem z osadnikami, którzy zajęli i uprawili dziką naówczas kępę „Kawczą“ na Wiśle. (Kępa, nazywana z tego powodu przez czas długi „Olendrami“, za Augusta II otrzymała dzisiejszą nazwę „Saskiej“).

W aktach Starej Warszawy z nazwiskiem Horlemesów spotykamy się po raz pierwszy w r. 1624. Horlemes, szafarz miejski, podczas panującej wówczas zarazy morowej, z polecenia Magistratu wystawia na „Kępie Polkowskiej“ (wprost Zamku, dziś już nieistniejącej) siedem budynków drewnianych dla dotkniętych zarazą.

Ten Horlemes umarł w roku 1641 jako rajca magistratu. Ma w kościele katedralnym Ś. Jana pomnik, z portretem na blasze, wystawiony przez żonę, Barbarę Gizankę.

Napis na pomniku następujący:

D. O. M.

*Joannem Horlemes Varsaviensem Civem
artis hic opificio expressum vides,
qualem virtus expresserat
videre non potest.
Bono Patriae ratus
ad extremum vitae diem continuatis
Magistratibus
eidem laudatissime praefuit,
et eximia morum probitate praefulsit,*

*Post consulatus plures summa cum omnium
ordinum approbatione gesto
singularium Suffragio meritorum aeternis
Coeli*

Consulibus adnumerandus.

Obiit

Anno Domini MDCXLI die XII Augusti.

Barbara Gizanka Uxor marito suavissimo,

N. N. N. N. Filii Parenti optimo

p. p.

W roku '1672 Augustyn „Orlemas“ jest wójtem (*advocatus*) Starej Warszawy. Gdy w tym roku powstaje pierwsza w Warszawie komisya do kontroli nad mieszkaniami i mel-dankami mieszkańców, należy on do tak zwa-nych kwatermistrzów, czuwających nad tą czynnością.

Horlemesowie posiadają ten dom przez cały wiek XVII.

Znajdująca się na czole domu tablica jest świadectwem libertacyi. Libertacya nastą-piła późno, gdyż dopiero w roku 1736.

Napis całkowity brzmi:

Constitutione anni 1736,

fol. 100 tit. gratitud;

ab ex-officio

liberata

et

ab oneribus civilibus

in perpetuum vindicata.

W drugiej połowie XVII wieku dom „Orlemesowski“ był własnością i mieszkaniem Piasa Kicińskiego, dobrego i zasłużonego obywatela. Nowy posiadacz z granta posesyę swą odświeżył i uczynił jedną z najporządniejszych w Rynku.

Zasługi Kicińskiego dla miasta i dla kraju są zbyt wielkie, abyśmy mogli ominąć sposobność przypomnienia ich ziomkom. Dziś prąd życia społecznego, choć ani nazbyt głęboki, ani obfity, jest tak szumny i prędko, że nie daje czasu oglądać się nawet za ludźmi doby wczorajszej.

O Piasie Kicińskim, oprócz luźnych, encyklopedycznych notatek, posiadamy obszerniejsze artykuły w „Przyjaciela Lada“ (r. 1840, nr. 19), z podpisem S., w „Cmentarzu Powązkowskim“ K. Wł. Wójcieckiego (tom II, str. 188), oraz na czele „Poezyi“ Brunona Kicińskiego, jego syna.

Najwięcej światła na postać dzielnego patrioty, a zarazem i na całą współczesną mu epokę, rzuciłyby pozostawione przezeń pamiątki, dotąd wszakże nikt nie zajął się ich wydaniem. Nie wiemy nawet, gdzie się w obecnej chwili rękopis ich znajduje.

Bruno Kiciński, założyciel „Kuryera Warszawskiego“, utalentowany poeta i dziennikarz, jeden z pierwszych u nas, po dzisiejszemu się wyrażając, publicystów, uczcił pamięć ojca

ciepłym wspomnieniem pozgonnem, do którego dołączył jego portret oraz wybór dyletanckich, lecz nieraz szczęśliwych, prób poetyckich.

Portret przedstawia dorodnego, w średnich latach, mężczyznę w kontaszu, z wielką wstęgą orderu świętego Stanisława na piersiach. Ten portret w zupełności usprawiedliwia, co o ojcu napisał syn:

Świetna powaga czoło zdołała,
Wzrok męski w czarnej źrenicy dał;
Ale na ustach słodycz tak miła,
Uśmiech tak lubie siedlisko miał,
Iż mnie się zawsze myśl ta marzyła,
Że uśmiech matki Bóg dobry dał
Ojcu, dla tego, aby w tęsknocie
Po matki stracie ulżyć sierocie.

Pius Kiciński (syn Michała i Franciszki z Rylskich) w historii kraju zapisał się tem głównie, że energicznie i skutecznie zwalczał *liberum veto*.

Urodzony na wsi, stał się później prawie zupełnym mieszczaninem, gdy, oddany na dwór Stanisława Augusta, otrzymał tytuł sekretarza królewskiego, a z czasem został „szefem“ królewskiej kancelaryi. Te zajęcia zmuszały go do przemieszkowania w stolicy; one też pewnie sprawiły, że zapisał się do szeregów mieszczaństwa warszawskiego.

Dwukrotnie posłował na sejm, jako przed-

stawiciel ziemi Czerskiej i Liwskiej; podczas sejmu czteroletniego otrzymał od króla kasztelanię połaniecką.

Niedługo cieszył się tytułem kasztelana; okoliczności jednak sprawiły, że go zamienił na tytuł hrabiego. Tym ostatnim obdarzył go cesarz austryacki, Franciszek, pod którego berło i protektorat schronił się po roku 1794. Władca Austrii w ten sposób wytępił w Galicyi nienawistne sobie tytuły kasztelanów i wojewodów, że pozwalał kupować za nie dziewięcioperłowe korony.

Powróciwszy, ze zmianą stosunków politycznych, do kraju, Pius Kiciński nie pysznił się swem młodem hrabiostwem, które ogół dość ironicznie traktował; syn już wszakże nie zaniedbał tytułu tego na zawsze z nazwiskiem swem połączyć.

W r. 1817, po wskrzeszeniu Królestwa, były sekretarz Stanisława-Augusta powołany został, na przedstawienie senatu, na senatora kanclerza; pełnił też obowiązki sędziego najwyższego.

Umarł w Warszawie, w r. 1828, mając lat 77, i pochowany został na cmentarzu Powązkowskim.

Autor życiorysu jego w „Przyjaciela Luda“ tak o nim pisze:

„Zasługi Piusa Kicińskiego w krótkich zawrzemy słowach. Będąc posłem, stał się

jednym z pierwszych powodów do zniszczenia *liberum veto*, a gdyby cała jego działalność ześrodkowała się jedynie w naprawieniu tego, co Siciński (poseł Upicki), zepsuł, już byłoby dlań dość prawa do zostania w dziejach naszych. Jednak nie tu się kończą jego zasługi. Ulepszył on wiele form w obradach i ustawach; będąc przy boku Stanisława Augusta, odprowadzał go nieraz od słabych czynów, którymi się ten król plamił...“

W „Małej Encyklopedyi polskiej“ (Leszno i Gniezno, 1841) zapisano następujący fakt z działalności politycznej Piasa Kicińskiego, dokładnie wyrażający jego przekonania i dążenia:

...„Godne jest uwagi, że w ciągu swej mowy (na sesyi sejmowej 28 stycznia 1792 r.), Kiciński, jakby przyszłości widokiem natchniony, nalega na sejm, aby z winowajczymi magnatami, jakkolwiek wziętość posiadają w narodzie, tak postąpiono, jak z mniej ważnymi obywatelami, naprzykład z generałem Kościuszką (!), gdyby (czego nie dopuszcza) ten czeigodny mąż miał być kiedykolwiek przestępny prawom i ojezyźnie. Wskatka owych przemówień, ukarani zostali Potocki i Rzewuski utratą urzędów; władzę zaś hetmańską na zawsze zniesiono“.

Wspomnieliśmy o poetyckich próbach Piasa Kicińskiego. Pragnąc w tym szkicu dotknąć

choć pobieżnie wszystkich stron jego różnorodnej działalności, powtarzamy przytoczony przez Wójcieckiego wierszyk p. t. „Myśl na cmentarzu“.

Pod tym głazem pan śpi razem
I poddany;
Bo już w grobie równe sobie
Wszystkie stany.
Więc, przechodniu, pomyśl o dniu
Zgonu twego;
Wynijdź z błędu i bez względu
Czcij bliźniego.
Nędznych wspieraj, lzy ocieraj
Wszystkich braci.
Gdy cię z niemi złożą w ziemi...
Bóg zapłaci!

Prosty to wierszyk, ale poczciwy, zaeny, duszę szlachetną ujawniający.

Poza osobą Piusa Kicińskiego, nie już kamienicy, o której mówimy, nie uświetnia.

W roku 1784 posiada ją „szlachetna“ Andrychowiezowa; potem przechodzi kolejno do rąk Biało-brzeskich, Solnickich. Około 1845 r. jest własnością Jana Gautiera, na pola dobroczynności publicznej znanego, który odstępuje ją Waleryanowi Grabowskiemu. Dziś należy do J. Maya.

№ 16 (62).

W taryfie z roku 1832, wydanej przez J. Glücksberga, znajdują się dwa numery 52,

odróżnione literami *a* i *b*. Pierwszy numer posiada czoło od strony Rynku, drugi od ulicy Brzozowej. Nr. 62*a* jest własnością Łucyi Dalewskiej, nr. 62*b* — Antoniego Kobyłeckiego.

Ten rozdział, jak się zdaje, nastąpił w bliższej już nam epoce. Dawniejsze ilustracje i rewizye nie o nim nie wspominają.

Najdawniejszym ze znanych nam posiadaczów tej kamienicy jest Tomasz Kociszewski. Pod rokiem 1609 spotykamy tego Kociszewskiego na liście „Koła Ławniczego“ Starej Warszawy; w lat kilkanaście później, jest rajeą. Na wyższe urzędy nigdy Kociszewskich nie wynoszono, i wogóle w kronice staromiejskiej nieznaczną oni odegrali rolę. Mimo to wymienia ich Jarzębski pomiędzy przedniejszymi rodami mieszczzańskimi.

W drugiej połowie XVII wieku posiada kamienicę Morykoni. Znajduje się w niej wówczas, według „Rewizyi Gospód“—izb 8, sklepów 3, piwnic 3, kuchen 5. Stawał tu gospodą referendarz koronny świecki.

Taryfy drukowane, poczynając od r. 1784, z wyjątkiem wspomnianej taryfy Glücksberga, nie rozróżniają dwóch posesyj, jednym numerem oznaczonych, zaznaczają wszakże dwójstość tę w inny sposób, mianowicie: wymieniając dwóch oddzielnych posiadaczy. I tak: w r. 1784 wymienieni są: Dalewski i Greber;

w 1797—ciż sami (zamiast Greber—Greiber); w 1807 — Dalewicz (tak) i Chruszczewicz, w r. 1817 r.—ciż sami; — w r. 1821—Dalewsey i Chruszczewicz; w r. 1844 występuje tylko jeden właściciel Franciszek Poliński, później, przy jednym właściciela i jednym numerze, dopisywane są zwykle litery A B.

Ze wspomnień potocznych, do tego domu przywiązanych, to chyba jedno zanotować można, że około r. 1830 mieszkał w nim Gagenmus Antoni, słynny zegarmistrz, z którego pracowni wyszły najlepsze zegary wieżowe, jakie dotąd Warszawa posiada.

Był on synem Franciszka Gagenmusa, również słynnego zegarmistrza, o którym zajmujące szczegóły opowiada Wójcicki w dziele: „Warszawa, jej życie umysłowe i t. d. w ciągu lat 30 (1800—1830)“. Ten Gagenmus wyrabiał głównie małe zegarki kieszonkowe, a że był dostawcą dworu Stanisława Augusta, umieszczał zwykle na tarczy zegarkowej napis: „François Gagenmus Horloger du Roi“. Zegarki cieszyły się wielkiem powodzeniem; dziś poszukiwane są przez zbieraczy starożytności.

„Była to osobistość oryginalna i wydatna—opowiada o Gagenmasie Wójcicki. Chodził dzień cały po ulicach Warszawy, zawsze jednakowo ubrany, w sardacie granatowym, krojem staroświeckim, w spodniach czarnych lub

ciemnych, krótkich po kolana, w pończochach białych jedwabnych i trzewikach z dużymi srebrnymi sprzążkami. Na głowie, której nigdy nie nakrywał, peraka upudrowana, wypo-
madowana, afryzowana w duże loki, z harbaj-
tlem z tyłu. Kapelusik mały, składany (*cha-
peau bas*) pod pachą lub w ręce, kończył ubiór,
którego nigdy nie zmieniał, latem czy zimą,
w dzień pogodny lub deszcz i największe
błoto“.

Ten Gugenmus był „chodzącą gazetą“,
i otrzymując w licznych listach, odbieranych
z zagranicy, najświeższe wiadomości polity-
czne, roznosił je po całej Warszawie.

Pisze Wójcicki, że mieszkał Gugenmus na
ulicy Świętojańskiej „we własnym domu pod
nr. 27“, i w tem myli się, ten dom bowiem był
zawsze własnością księży Seminarzystów.

W każdym razie Gugenmusowie, jako
wierne choć przybrane dzieci Starej Warsza-
wy, nigdy się za obręb jej murów nie wypro-
wadzali.

№ 14 (63).

Wyjątkowo ubogą w fakty jest kronika
tej, niezem nie odznaczającej się, kamienicy.

Prócz nazwiska, nie wiemy o jej
pierwszym, z początków XVII wieku, właściciela. Był nim jakiś Kupcewicz, człek i na-

zywający się dziwnie i dziwną tajemniczością przed potomnymi okryty.

Domyślać się tylko możemy, że był spokrewniony z rodziną Strubicza, burmistrza i obywatela Starej Warszawy, i że po jego śmierci, kamienica do rodziny tej przeszła, czy też tylko powróciła. Ten domysł opieramy na wspomnianej tu wielokrotnie „Rewizyi Gospód“, w której o tym domu napisano: „Kamienica Kupewiczowa, *ad praesens* sukcesorów Strubicza“.

Stawał w tej kamienicy wojewoda Łęczycki; była też w porze sejmowej „na dwór JKMości“, to znaczy na pomieszczenie zwiększonej liczby dworzan królewskich, zabierana.

Liczono w niej: izdeb 7, sklepów 2, piwnie 3, kuchen 2, kramnicę jedną.

„Szlachetny“ Łyszkiewicz, Fontana, Kraszewski czy też Kruszewski—oto kolejni posiadacze tej mało ciekawej posesyi w wieku XVIII i XIX.

№ 12 (54).

Co za jedni byli Czersey, którzy w początkach wieku XVII tą kamienicą władali, a może ją nawet w dzisiejszym jej kształcie wnieśli?

Na to pytanie nie możemy, niestety, dać wyczerpującej odpowiedzi. Cała nasza zna-

jomość rodziny Czerskich ogranicza się na fackie, że w roku 1621 Jan Czerski pełnił obowiązki ławnika Starej Warszawy, oraz na ogólnikowej wzmiance Jarzębskiego, który, wymieniwszy zaślugi Gizów, Strabiczów, Drewnów, mówi:

Czersey dobrzy między niemi,
Godni równo siadać z niemi,

W drugiej połowie tegoż wieku znikają Czersey nawet z liczby posesyonatów staromiejskich, a kamienica, o której mówimy, przechodzi na własność Kociszowskiego, zapewne tegoż samego, co posiadał i pobliską (pod nr. 62) posesyę.

Okolo r. 1670 jako właścicielka domu występuje „pani Kociszowska“.

Stawał tu gospodą biskup płocki. W kamienicy liczono podówczas izb 8, sklepów 3, piwnie 3, kuchen 2.

Przez przeciąg stu lat blisko, to jest od połowy XVIII do połowy XIX wieku dom pod nr. 64 był własnością Archikonfraterni literackiej.

Braetwo, nie z literaturą nie mające wspólnego, nabywało tę posesyę częściowo przez cały szereg lat, mianowicie od r. 1736 do 1796. Możliwość kupowania nieruchomości zawdzięczało hojnym ofiarom swych członków, w ostatnich latach stulecia poprzedniego czynionym. Odznaczali się pod tym względem

„bracia“: Sroczyński, Soczawski, Bogdanowicz i Wysoczyński.

Dochody majątku stałego archikonfraterni były przeznaczone na wspieranie członków niezamożnych lub chorych, nabożeństwa za zmarłych i utrzymanie w świetności kaplic bractwa.

Archikonfraternia posiadała kilka posesyj, wszystkie jednak w roku 1856 sprzedała, „aby połączywszy kapitały z funduszami powstałymi ze składek, obmyśleć stały środek, który-by pozwolił wypełniać nowe obowiązki i cele, jakie sobie bractwo w umowie przepisało“.

Jakoż już w taryfie z r. 1859 dom pod nr. 64 zapisany jest jako własność prywatna.

Przy sposobności kilka słów o samem bractwie.

Archikonfraternie czyli arcybractwa „literackie“, były rozpowszechnione nie tylko na Mazowszu, lecz również w Wielkopolsce i innych prowincjach Rzeczypospolitej. Odróżniały się od innych bractw tem, że koniecznym warunkiem przyjęcia do nich była umiejętność czytania po polsku, a podobno i po łacinie. Miano swe jednak wzięły nie od literatury, lecz od mistycznego „listu“ (*lettera*) Matki Boskiej, który był relikwią pierwszego z nich.

Warszawska Archikonfraternia literacka została założona w 1540 r. Nie mieściła się

wówczas tam, gdzie obecnie, to jest przy kościele Ś. Jana, lecz przy kościele i klasztorze Ś. Jerzego, niegdyś przy ulicy Świętojerskiej istniejących.

W tym ostatnim kościele areybractwo miało swą własną kaplicę, nazywaną kaplicą Ś. Trójcy; samo też istniało w początkach pod wezwaniem Ś. Trójcy, Narodzenia N. M. Panny i Ś. Jakóba Apostoła.

Przeznaczeniem jednak było Archikonfraterni literackiej przenosić się często z miejsca na miejsce. Już w 1579 r., a więc w niecałe lat 40, widzimy ją przy kościele Ś. Ducha, „za Bramą Nowomiejską“.

Tam, za czasów Władysława IV, odwiedza ją Jarzębski i zastawszy braci, niewiedomo czy na modlitwie, czy też na jakiejś żwawej brackiej dyspacie — mówi o nich ironicznie:

Wszedłem, aż tam literacy
Krzyczą—rozumiałem: żacy...

I u Ś. Ducha Archikonfraternia długo nie gości. W połowie XVII w. przenoszą się „literaci“ najpierw do Ś. Jana, następnie do Jezuitów, wreszcie, na poprzednie miejsce wróciwszy, już na niem pozostają.

U Ś. Jana czyli u Fary kapituła oddała areybractwu oddzielną kaplicę. Kaplica ta, należąca kolejno do rodziny Wolskich i Ka-

zanowskich i nosząca tytuł Ś. Krzyża, była podówczas bardzo zrujnowana. Nowe bractwo doprowadziło ją swym kosztem do porządku, poczem odnowiona kaplica otrzymała tytuł Niepokalanego Poczęcia N. P. Maryi. Ten tytuł dotąd jej przysługuje, choć nazywana jest zwykle kaplicą Archikonfraterni literackiej. Znajduje się po prawej stronie prezbiterium, a wejście do niej zamyka wielka, misterna krata żelazna.

Właściwie od tej daty dopiero bractwo literackie zaczęło się nazywać „Archikonfraternią“; w tej też dacie wziął początek jego pamiątkowy Album, którego pierwszą kartę wypełniają podpisy własnoręczne Michała Korybata i jego małżonki Eleonory. Na dalszych kartach podpisywali się kolejno *manu propria*: Jan III (z żoną i synami), August II, August III (z żoną), Stanisław-August, Fryderyk-August, książę warszawski i t. d. Obok nich grupują się najpierwsi dostojnicy Rzeczypospolitej, od końca XVII w. począwszy.

Na ciekawym „liście brackim“ czyli dyplomie Archikonfraterni, rysowanym w 1842 r. przez Józefa Głowackiego, znajduje się u góry wizerunek N. P. Maryi, a po bokach wizerunku postacie klęczące; z lewej strony: Sobieski, Poniatowski, Korybat i August II; z prawej strony, dwie królowe (zdaje się Eleonora i Marya Kazimiera), oraz jakaś kobieta w ha-

bicie mniszki. U dołu czterej Ewangeliści, czytający i piszący.

Dawna kamienica Archikonfraterni literackiej była później własnością Olszewskich.

№ 10 (65).

Dochowała się jeszcze na czole tego domu tablica pamiątkowa, ale już z epoki późniejszej. Napis jej, wbrew zwyczajowi, polski. Tem dziwniejszy to wyjątek, że właśnie w owym czasie jak najbardziej łaciną się sztukowano.

Obywatel, który w początkach XVIII w. tę kamienicę nabył i po swojemu przerobił, ten fakt ważny dla siebie w tych słowach przekazuje potomności:

Bogu na cześć,
najmilszym dzieciętkom
i sobie ku wygodzie,
a miastu ku większej ozdobie.

Dnia 9 kwietnia 1709.

A. B.

Litery *A. B.* znaczą: Andrzej Byczkowski.

O tym Byczkowskim zapisał Sobieszczański wiadomość, że, zamieszkawszy w swej posiadłości w trzydziestym roku życia, umarł po siedemdziesięciu latach przemieszkiwania w niej, a zatem jako starzec stułetni.

Zasłużony historyk Warszawy przytacza ten fakt na dowód, że warunki higieniczne

Starego Miasta nie są tak złe, jak o tem sądzą powszechnie. Owszem, utrzymuje Sobieszczański, „że mimo nieprzyjaznych dla zdrowia warunków, mieszkańcy Rynku dochodzą lat sędziwych i nigdzie może nie spotyka się tylu starców, co w tej dzielnicy“.

To twierdzenie zadziwi z pewnością każdego higienistę, którego ciekawość, przypadek lub obowiązek zawiadły kiedykolwiek do wnętrza staromiejskich domów, w ich stanie obecnym. Jak tu było przed wiekami, nie wiemy, przypuszczać jednak można, że było lepiej, choćby z przyczyny mniejszego zaludnienia miasta. Dziś, zatęchłe w wązkich sieniach powietrze; małe, do studzien głębokich podobne, podwórka; zaduch z odbywającego się na Rynku targu; wreszcie bliskie sąsiedztwo brudnego, pokładami odpadków miejskich podwyższonego Powiśla, czynią dzielnicę Staromiejską jedną z najniezdrowszych, a może najniezdrowszą w Warszawie.

Przed dwoma wiekami, dom opisywany był własnością Baryczków.

Posiadał go najpierw ksiądz Hyacynt (Jacek) Baryczka, o którym wspominaliśmy w obszernym rodowodzie tej rodziny; następnie Stanisław Baryczka, „Owiesny“ królewski, o którym również była wzmianka. O księdzu Jacku dodajemy jeszcze kilka słów, zamieszczonych w opisie Warszawy z XVIII wieku:

„Znajduje się w Warszawie duchowne seminarium czyli *Studium theologicum generale*, którego przełożonych i nauczycieli biorą z różnych klasztorów, bez względu, lub mało zważając na zakon. Znajduje się w nim bardzo znaczna publiczna klasztorna biblioteka. Założył ją już przed połową przeszłego wieku O. Hyacynt Baryczka, znakomity, we wszystkich sztukach i naukach biegły, dominikanin. Brat jego, Stanisław Baryczka, generalny komisarz wojenny za Jana Kazimierza, dopełnił ją i zaokrąglił“.

Jak widać z tej wzmianki, brat był tu spadkobiercą brata.

W drugiej połowie XVII w. liczone w tym domku: izb 3, sklepów 3, piwnie 5, kuchni 2, oraz jedną—stajenkę.

Po Byczkowskim był właścicielem Mateusz Szatkowski. Następnie posiadał ten dom: „szlachetny“ Ebert, a po nim Fryderyk Ulbrycht, fabrykant kadzideł. Obecnie, od wielu już lat, znajduje się w posiadaniu rodziny Holców.

№ 8 (66).

Kronika tego domu miałaby karty zupełnie puste, gdyby nie wyjątkowe stanowisko społeczne pierwszego ze znanych nam jej właścicieli.

Tego właściciela najdawniejsze źródła

nazywają krótko: Jerzy, z dodaniem „Muzyk“. W innych źródłach jest wskazana bliżej jego specjalność „kornecista“.

Fakt, że na liście obywateli staromiejskich, wypełnionej prawie wyłącznie nazwiskami kapeców, a niekiedy mężów, nauką odznaczających się (*viri literati*), znaleźć się mógł... grajek (wyraz „artysta“ nie miał jeszcze u nas wówczas prawa obywatelstwa), już sam przez się wyjątek od zasady okazuje.

Ów Jerzy był niezawodnie członkiem kapeli królewskiej i cudzoziemcem. Kapela Zygmunta III, liczna i dobrana, liczyła się do najlepszych w Europie, składali ją zaś sami cudzoziemcy, przeważnie włosi. Jakiś więc Giorgio, człowiek „nizkiej kondycyi“, bo się nawet z nazwiskiem jego nie liczone, protegowany pewnie przez marszałka, a może i przez samego króla, skolidację się z mieszczanstwem warszawskiem, i wraz z ręką jakiejś nadobnej dziewoi otrzymał nadobniejszą jeszcze kilkopiętrową posiadłość.

Aby z własnego majątku mógł ją nabyć, rzecz wielce wątpliwa. Wzrądzie muzycy królewscy pobierali po 200, 300 i 400 florenów rocznej gaży, prócz „barwy“, to jest dworskiego przystojnego przyodziewku, wszystko to jednak trwonili na wino i hulankę.

Książd Siarczyński, pisząc o narzędziach muzycznych używanych w epoce Zygmunta III

wymienia: regały, pazony, szorty, cytry, skrzy-
pice, cymbały, organy, trąby, latnie, sarmy,
fletnie, teorbany, bandary. O kornetach za-
mleża. Dzięki sławetnemu Jerzemu, wiemy,
że ten ostatni instrument na pokojach kró-
lewskich oraz pod sklepieniem kościoła Świę-
tojańskiego rozbrzmiewał.

Rewizya gospód z roku 1669 nie wska-
zuje kto w tym domu stawał; zapisano tam
tylko, że jest oddany do dyspozycyi marszał-
kowskiej. Rewizya wymienia: izb 6, sklepów
3, piwnic 3, kuchnię jedną, komórek 2, izdeb-
kę, oraz „salę na górze“.

Następcą fortunnego kornecisty był Ko-
towicz, pisarz W. Ks. Litewskiego.

W przedostatniem i ostatniem stuleciu
posiadali tę kamienicę: Przezborski, Tokar-
ski, sukcesorowie ostatniego, wreszcie Zyl-
bertrest.

№ 6 (67).

Najpierw Gizowie, potem Martensowie,
wreszcie Wachnicowie byli kolejno posiada-
czami tej kamienicy.

Przez pewien czas, przy końcu wieku
XVI należała do Jezuitów litewskich, którzy
posiadali równocześnie dwa domy w kierunku
ulicy Celnej.

Ta kamienica, podobnie, jak wszystkie

bok ten tworzące, została obrócona w przynę przez wielki pożar w r. 1607. Po dźwignięciu z ruin, wmurowano w jej ścianę czółową tablicę z napisem, ten fakt upamiętniającym. Oto ten napis:

*Mille et sexcentos septem numeravimus annos,
cum sub rorosa flamma domos rapuit
hoc fatum crudele; diu memorabil Regno
et nobis miseris civibus ignis erit.
Sed quia dulce solum Patriae dulcis locus,
in quo fata favent; dulcis pro Patria labor est.
Vivat Sigismundus Rex Tertius, auspicio ejus
omne quod accepit restituit Dominus a fundamentis.
(Reformatum).
A. D. M. D. C. X.*

Zakończa ten napis zdanie osobliwe, w którym niewiadomo co upatrywać: brutalną manifestację ideałów kupieckich, czy też ironię. Zakończenie to brzmi:

*Multa vi et ingenio, sed citius pecunia
comparantur omnia.*

Ktoś tę myśl spolszczając, zamknął ją w dwuwierszu:

Dzielność i rozum ludzki wiele zdziałać mogą,
Ale pieniądz najkrótszą zawsze będzie drogą.

Ten napis, ironiczny czy też beczelny, przez analogię sprzeczności przypomina nie-

wiele wcześniejszą pieśń Kochanowskiego p. t. „Złoto wszystko zwycięża, jednak umiarkowanie bardziej, niż bogactwo, czyni człowieka szczęśliwym“.

Poeta ma inny na tę sprawę pogład:

Wielkich pieniędzy wielka troska naśladuje,
A im człowiek w pokładzie swoim więcej czuje,
Tem jeszcze więcej pragnie. Słusznie moje oko
I nigdy przedtem i dziś nie zmierza wysoko.

Czasu sejmów gospoda w tym domu była przeznaczona na Wielką Pieczęć.

Rewizya wymienia tu izb 8, sklepów 3, piwnic 2, stajnię 1 na 4 konie, kuchen 3 i komorę na drwa.

Ze wspomnień potocznych zapiszmy, że tu mieszkał i tu w r. 1822 umarł Gracyan Korwin, zapomniany redaktor zapomnianego pisma: „Izys Polska“.

W ciągu ostatnich stu lat posiadali ten dom kolejno: Łukaszewicz, Skiwski i Kulewski.

№ 4 (68).

Po oba stronach furty znajdują się tu jeszcze dawne „sklepy“, to jest piwnice z wejściem od ulicy, w których ongi sprzedawano wyłącznie: wino, miód i piwo.

Nad wejściem do każdej z piwniczek znajdowały się ryte w murze napisy. Jeden

z nich zatarł się całkowicie; drugi z trudnością daje się odczytać, brzmi zaś, jak następuje:

Vinum laetificat cor et acuit ingenium.

W piwniczce, opatrzonej tym napisem, odbywa się dziś, jakby przez ironię, sprzedaż... śledzi.

Strabiec, barmistrz i obywatel Starej Warszawy, o którego namiętności do skupowania domów wyżej pisałem, był posiadaczem i tej kamienicy. Później posiadali ją: Tacholeczyńska (wdowa) i Wegnerowie.

W połowie wieku XVIII, doktor Czempieński, właściciel domu „pod Fortuną“, w rozwinięciu swych szerokich planów spekulacyjnych, nabył i tę nieruchomość. Pozostawała w jego rękach dość długo; sprzedana zaś została w chwili upadku jego wielkich a niepraktycznych przedsiębiorstw przemysłowych.

Nabywcą był Kaliński.

Nie posiadając libertacyi, podlegała ta kamienica ciężarowi gospód sejmowych. W r. 1669 przeznaczona była Pieczętarzowi wielkiemu koronnemu. Znajdowało się w niej: izb 7, sklepów 3, piwnic 2, stajnia na 4 konie, kuchen 3 i komora na drwa.

W drugiej połowie wieku XVIII mieściła się tu słynna w swoim czasie „pensya“, czyli szkoła męska Roberta, do której uczęszczał

Antoni Magier, autor wielu dziełek z zakresu meteorologii, oraz ciekawych pamiętników p. t. „Estetyka miasta Warszawy“.

№ 2 (69).

Wyniosła, okazała kamienica, zamykająca wschodni bok Rynku, należy do najpiękniejszych i najlepiej dochowanych w Starem Mieście. Gotowiśmy przypuszczać, że płomienie z wyjątkową powściągliwością zachowywały się względem pierwszej w Koronie rezydeneyi jezaickiej, albo, co pewniejsza, że troskliwiej od innych była przed klęską broniona.

Cokolwiekby, w tej kamienicy można jeszcze odnaleźć zabytki, z których gdzieindziej i śladu nie zostało, jak naprzykład okna z szybami w ołów oprawnymi.

Twierdzą niektórzy, że ta kamienica była niegdyś własnością książąt Mazowieckich. Dowodów na to niema i, co do mnie, przypuszczam, że historycy łączą dom na rogu Celnnej z domem na rogu Dunaja. Zachodzi zaś pomiędzy temi domami to podobieństwo, że obydwa posiadają wystające na ulicę, sklepione i oszklone ganki, zwane „łożami“.

Fantazyja niektórych pisarzy zachodzi tak daleko, że w owej „łoży“ widzą modlącego się o rannej godzinie—Skargę...

Ta fantazyja posiada wszakże podkład

realny. Czy słynny kaznodzieja w oszklonym ganku odmawiał modlitwy, niewiadomo; to jednak jest faktem, że w tej kamienicy mieszkał.

Jezuici mieli już liczne klasztory i kolegia w różnych stronach Rzeczypospolitej, Warszawa zaś widywała ich tylko przelotem. Sam nawet Skarga występował tu z kazaniami w charakterze gościa.

Ale autor „Zawstydzienia Aryanów“ zbyt bystre miał oko, aby nie dojrzeć, że ta ważna placówka domaga się obsadzenia. Szermierzowi słowa nie brakło energii i w czynach. W roku 1397 zebrawszy potrzebny fundusz z ofiar dobroczynnych, kupił dom narożny, który opisujemy.

Zaraz w roku następnym sprowadzili się do tego domu Jezuici litewscy. W mieście zaczęto nazywać tę rezydencję „Klasztorkiem“, i ta nazwa pozostała domowi przez czas długi po ustąpieniu Jezuitów.

W tymże samym czasie, na miejscu pobliskim położył Skarga fundamenty pod kolegium, opanowawszy cały ten punkt, który stać się miał z czasem ulicą Jezuicką.

Niebawem, bo już w r. 1609, przystąpili Jezuici do budowy swego kościoła.

Budowa kolegium trwała z konieczności dość długo, Skarga zatem, któremu pilno było „zawojowywać dusze“ (złąd zwany *psychoły-*

rannos), urządził w klasztorku tymczasowy konwikt dla młodzieży szlacheckiej.

Dalsze dzieje zakonu już do nas nie należą; co się zaś tyczy dalszych dziejów Klasztorka, to one kończą się w zupełności w roku 1626, to jest w dacie ostatecznego ukończenia wszystkich gmachów jezuickich.

Opuszczoną przez Jezuitów kamienicę nabył Barbach *vel* Borumbach. Rodzina Barbachów była znaczna i w magistratarze, i w handlu Starej Warszawy. Jeden z nich był burmistrzem, inny na własnych okrętach towar zamorski sprowadzał.

Po Barbachach posiadają dom Jobscy, o których brak nam bliższych wiadomości.

Rewizya gospód wylicza w tej kamienicy: izb 8, sklepów 8, piwnic 4 z przegrodami, kuchen 3 i stajenkę na 4 konie. Gospoda w niej była przeznaczona na „Pieczęć Wielką“.

Z pomiędzy późniejszych właścicieli dawnego Klasztorka, godny zapisania Franciszek Barszcz. Był to wielki bogacz a większy jeszcze skąpiec. Syn jego, jedynak, w rygorze chowany, gdy po śmierci ojca dorwał się do olbrzymiej fortuny, w krótkim czasie roztrwonił ją co do grosza i w nędzy zupełnej życia dokonał.

Później piękny ten dom posiadali: Kuśmierski, Świerczyński, Kurezyński.

We wspomnieniach o Starem Mieście,

spisanych niegdyś na moją prośbę przez jednego z najstarszych jego mieszkańców, znajdując fakt, świadczący o patryarchalnych stosunkach, panujących w tamtej dzielnicy. Autor wspomnień, nie żyjący już dziś, a wówczas 80-cio letni, czerstwy i żwawy starszek, August Miaskowski, b. wojskowy wojsk polskich, weteran o jednej ręce (drugą stracił pod Ostrołęką), w opisanym domu przemieszkał jednym ciągiem lat 55.

W 50-tym roku właściciel wyprawił wiernemu lokatorowi ucztę jubileuszową, na której zapewnił go ustnie i piśmiennie, że już do końca życia nie podwyższy mu komornego. Z tego przywileju korzystał nasz weteran jeszcze przez lat 5.

Z notatek ś. p. Miaskowskiego to jeszcze wypisując, że w r. 1836, zajmując z ojcem swym pierwsze i drugie piętro, czyli ogółem 6 dużych pokoi, dwie kuchnie, z obszernymi piwnicami, drwalniami i t. d., płacił za nie rocznie 810 złp. W końcu zeszłego wieku, mieszkania te, rozdzielone, przynosiły dochodu przeszło 600 rb. W tym samym stosunku powiększyła się i wartość domu. Około 1840 r., sprzedano go za 47,000 złp.; dziś wart jest więcej, niż tyle rubli.

Ksiądz Kurowski przytacza z „Gazety Warszawskiej“ (nr. 17 z 1777 r.) wiadomość, że przybyły z zagranicy b. major wojsk au-

stryackich, Franciszek Bertiolati, zajmwszy w tym domu odpowiednie mieszkanie, wykładał architekturę cywilną i wojskową.

Dodajmy wreszcie, że bok tej wielkiej posiadłości od ulicy Celnej nosi na sobie ślad dotykającej niegdyś do niego bramy miejskiej, zwanej „Wiślaną“. Ta brama wznosiła się w połowie ulicy Celnej, opierając się o dwie przeciwległe kamienice. Rozrzucano ją w roku 1838.

III.

Z PRZESZŁOŚCI ULIC I ULICZEK WARSZAWSKICH.

Niezależnie od dziejów całego miasta, posiada odrębną historję każda z jego ulic.

Nie jest ta historia w treść uboga, bo jeśli monografia pojedynczego domu, liczącego choćby tylko sto lat istnienia, wypełnić może spory tom, cóż mówić o kronice całej ulicy, która takich domów posiada kilkadziesiąt i więcej!

Ramy niniejszego szkicu nie są zakresłone tak szeroko, aby choć jedna z podobnych kronik pomieścić się w nich mogła w całości. Autor, mówiąc o wielu naraz ulicach, nie jest w stanie podawać wyczerpujących monografii. Zresztą postawił sobie zadanie wyłączne: mówić o dawnych nazwach, które zniknęły, choć noszące je ulice dotąd istnieją, oraz o ulicach, które wraz ze swemi nazwami istnieć przestały.

Wskrzesi to w duszach czytelników wspomnienia i wzbudzi myśli, z którymi rozstawać się nie wolno. Człowiek nie jest zwierzęciem, żyjącem wyłącznie dobą dzisiejszą oraz instynktową troską o najbliższe jutro. Jeśli chce być człowiekiem zupełnym i posiadać prawo do wzniesłego tytułu *homo sapiens*, musi wybiegać myślą przed siebie i po za siebie.

...Warszawa nie należy do miast prastarych. W porównaniu z wielu innymi, naprawdę sędziwymi, bo częstokroć jeszcze dobę przed-Chrystusową pamiętającymi, gradami Europy—nazwać się może prawie młodą. Ale i ten, stosunkowo krótki, bo siedmiu stuleci nie przekraczający żywot, wystarczył jej do odbycia kilkakrotnych, wewnętrznych i zewnętrznych, przekształceń.

Pozostawiając na boku historię i politykę, wspomnieć można, że w ciągu lat zmienił się naprzykład kilkakrotnie środek ciężkości miasta i kierunek jego wzrostu. Powodowało to kolejne upadanie pewnych dzielnic i podnoszenie się innych.

Aż do końca w. XVIII ogniskiem życia warszawskiego był Rynek Staromiejski; to zaś życie, przelewając się poza pierścień murów wewnętrznych, dążyło ku Nowej Warszawie (dzisiejszemu Nowemu Miastu z ulicami przy-

ległemi), rozszerzając jego granice, aż ku rzece Drnie, wpadającej obok Pólkowa do Wisły.

Od drugiej połowy w. XVI, do godności pierwszorzędnej, naczelnej ulicy wzrosło jedno z przedmieść (Krakowskie), stąd głównie ważne, że było szlakiem, łączącym rezydencję monarsze: dawny Zamek Królewski najpierw z Zamkiem Ujazdowskim, następnie z letnią siedzibą królewską w Łazienkach. W tej też stronie magnaci, labiący królom drogę zabiegając, wzniesli swe najbogatsze domostwa.

Wiek XIX dzielnicę staromiejską i nowomiejską (nie rozróżniane już obecnie) zepchnął na plan ostatni, podniósł zaś do znaczenia plac, powstały po zrzuceniu gmachów Marywilskich. Teatr, Ratusz, bliskość ogrodu Saskiego, instytucji rządowych i t. p., przez długie lata czyniły Plac Teatralny z przyległymi ulicami—„sercem“ Warszawy.

Nareszcie, już za dni naszych, odbyło się przekształcenie ostatnie, w którego następstwie Warszawa poczęła ciężać całą swą wagą ku dworcowi kolei Wiedeńskiej, czyli—co na jedno wyjdzie—ku Europie.

Przy każdej głębszej przemianie ustroju wewnętrznego i zewnętrznego, powstają formy nowe, zanika zaś część starych. I Warszawie zatem przybywały z postępem czasu nowe gmachy, nowe place i nowe ulice—jednocze-

śnie wczorajsza jej postać z dniem każdym zacierała się coraz bardziej, przechodząc z rzeczywistości we wspomnienia.

Część tych wspomnień znajdzie czytelnik poniżej.

* * *

O NIEISTNIEJĄCYCH DZIŚ NAZWACH ULIC.

Gospodarstwo wewnętrzne Warszawy po wszystkie czasy pozostawiało wiele do życzenia.

Miasto posiadało wprawdzie magistrat, nawet dwa magistraty (oddzielny dla Starej i Nowej Warszawy—nie mówiąc o jurydykach), w których skład wchodziłi burmistrz, wójei, rajcy i ławnicy—ale dobre chęci tej instytucji niweczyły najczęściej niezależne od niej okoliczności.

Władza miejska walczyć musiała z dwoma wrogami: zewnętrznym, którego zbrojne napady pustoszyły miasto i wywracały porządek jego na nice, oraz z wewnętrznym, wyobrażanym przez osiadającą w mieście magnaterę, która wyłamywała się z pod wszelkich rozporządzeń magistratu, tworzyła odrębne jurydyki, szerzyła naokół bezrząd i zamieszanie.

Nie dziwnego, że na gruncie, ruchomym

jak piasek pustyni, nie mogła utrwalić się żadna forma administracyjna — całe też wewnętrzne urządzenie miasta nosiło znamię tymczasowości.

To znamię odcisnęło się i na nazwach ulic.

Nazwy, pozbawione urzędowego uświęcenia, powstawały przygodnie, wypadkowo — od wypadku również zależała najczęściej ich przemiana.

Twórcą nazw bywał zwykle lud — niewiele zresztą kłopotący się o nie. Przy szczupłym obszarze miasta i bez szczegółowych określeń, dawano sobie radę ze sprawami prywatnymi i publicznymi.

W starych aktach miejskich, pisywanych przeważnie po łacinie, zastępowano nierzadko nazwę ulicy przez szczegółowe określenie miejscowości.

O kościele Ś. Ducha, znajdującym się przy ulicy Nowomiejskiej, pisano: „Kościół za bramą miejską, prawie naprzeciw kościoła Wielebnych OO. Dominikanów, przy Szpitalu ubogich...”

Oznaczając położenie pewnego domu i placu przy Marjensztadzie, używano omówienia: „graniczy z ulicą, prowadzącą przy klasztorze Wielebnych Panien regały Ś. Klary aż do Wisły” — lub też drobnostkowiej jeszcze wskazywano miejscowość, mówiąc:

„Dom z placem, graniczący z jednej stro-

ny z klasztorem Panien Bernardynek, z drugiej z ogrodem królewskim, z trzeciej z klasztorem Wdów, z czwartej z łaźnią i domem Ciołkówny...“

Rzeczą główną i punktem wytycznym bywał zawsze kościół, dom, ogród — drogami, łączącemi te punkty, zajmowano się tylko ubocznie.

Na planie Warszawy z r. 1667, którego część przerysował Weinert w swych „Starożytnościach“, znajdujemy kilka ciekawych, znamiennych określeń, dotyczących ulic ówczesnej „Nowej Warszawy“.

Oto niektóre z nich:

„Ulica z Frety, mimo kościół Ś. Jerzego, między ogrodami, aż w pole, do wału poprzecznej drogi“.

Ma to być: Świętojerska.

„Droga poprzeczna, mimo Cekaucz y kościół Ś. Troycy podle wału y przez wał aż ku Folwarkom Kapitałnym“.

To znów — Nalewki.

„Ulica na drugim rogu Rynku Nowego Miasta, która idzie przez Nalewki prosto w pole, y bywała *antiquitus* przez Wygon aż do samey Woli, wsi Króla Jegomości. Tę nowomieszczanie za drogą poprzeczną zagubili teraz“.

To długie określenie oznacza ulicę Franciszkańską.

Jest w tem jakby amyślne unikanie nazw, widocznie zmiennych i niecałkowitych.

Brak porządku administracyjnego bywa przyczyną, że niekiedy, wiedząc o istnieniu w przeszłości jakiejś ulicy, nie jesteśmy w stanie oznaczyć dokładnie miejsca, w którym się znajdowała.

Tak na przykład badaczom przeszłości miasta zapodziała się kędyś na czas długi ulica *Żydowska*, której istnienie było im wiadome z najstarszych lustracyi Warszawy. Wiedzano o niej tyle tylko, że leżała *intra muros*, a zatem w pobliżu Rynku Staromiejskiego — ale byłaż częścią jednej z ulic dotąd istniejących? czy też istniała odrębnie i została później zamurowana?

Niepewność otwierała pole do przypuszczeń... i wówczas Sobieszczański (którego wielkich zasług ta drobna pomyłka nie umniejsza) wystąpił z hipotezą *à la* ksiądz Dembowski, twierdząc, że ulica *Żydowska* była jednoznaczna z ulicą *Dunajem*, nazwa bowiem tej ostatniej powstała z przekręconego słowa „*Adonaj*“ (po hebrajsku: Istota Najwyższa). Tę hipotezę zbijają dostatecznie stare lustracye (na przykład z roku 1546), rozróżniające wyraźnie ulice: *Dunaj* i *Żydowską*.

Dopiero Weinert, po usilnych dociekanjach, ulicę *Żydowską* odnalazł i położenie jej

ściśle oznaczył. Będzie o niej mowa w drugiej części niniejszej pracy.

Nazwy ulic zmieniały się—czasem ustępując zupełnie nowym, niekiedy utrzymując się długo wraz z niemi. W aktach wypisywano obok siebie kilka nazw jednej ulicy, łącząc je spójnikiem *seu* (albo)—lub też po nazwie nowej kładziono dawną z dodatkiem: *ante*, *antiquitus* (przedtem, w czasach dawnych). Wreszcie, przytaczając nazwę ulicy, opatrywano ją ostrożnym dodatkiem *dicta* (tak nazywana), jakby odmawiając jej potwierdzenia urzędowego.

Niektóre dłuższe ulice nazywały się w jednej połowie inaczej, niż w drugiej; niekiedy nawet niewielki ułamek takiej ulicy posiadał miano odrębne.

Początek Przedmieścia Krakowskiego, w pobliżu kościoła Bernardynów, nazywano przez czas długi ulicą *Bernardyńską* lub *Przedmieściem Bernardyńskim*. Jeszcze w akcie z r. 1582 czytamy: „*suburbium Bernardinorum seu Cracoviense*“.

Ta długa ulica, w aktach, lustracjach i taryfach bywała zwykle rozcłonkowywana. W lustracyi z r. 1655 zamieszczono jako oddzielną pozycyę: *Krakowskie Przedmieście aż do Bożej Męki murowanej*. Owa „Boża męka“, czyli krzyż na podmarowaniu, wznosiła się wprost dzisiejszej ulicy Królewskiej. „Rewi-

zya Gospód“ z r. 1669 nazywa Przedmieście Krakowskie wprost *ulicą Krakowską*. Wreszcie istniały dwie częściowe nazwy tej ulicy: *Bykowiec* i *Świętokrzyska*.

Wszystkie domy, położone między kościołem Karmelitów a Wizytkami (później sprowadzonymi), były objęte ogólną nazwą „Bykowiec“. Te domy należały przeważnie do księży, wznosiły się zaś nie tylko przy samej ulicy, lecz i na pochyłości wzgórza, spadającego ku Wiśle. Rewizya skarbowa z roku 1564 wylicza tych domów 24, oprócz folwarka miejskiego.

To, co leżało dalej, aż do dzisiejszej Aleksandryi, dla bliskości kościoła Ś. Krzyża, nazywało się ulicą *Świętokrzyską*. Nie należy jej brać za jedno z tą, która dziś nosi tę nazwę. Koniec dawnej Świętokrzyskiej był zarazem końcem przedmieścia. Wszystko, co znajdowało się poza tą granicą, stanowiło już wieś. Dopiero w czasach późniejszych, reszta Przedmieścia Krakowskiego oraz Nowy-Świat otrzymały miano ulicy *Przedmiejskiej*.

Ulice: Mazowiecka i Królewska, zanim dostały swe dzisiejsze nazwy, były oznaczane wspólnem mianem: *Bieliny*. Było to nazwisko jurydyki, założonej około roku 1750 przez Franciszka Bielińskiego, marszałka wielkiego koronnego, hrabiego na Bielinie, Radzyminie, Otwocku, Karczewie i Parysowie.

Z tegoż samego powodu okolice Nowego-Świata i Solea nazywano w wieku XVIII *Bożydar* od nazwiska jurydyki, którą utworzył w r. 1702 Szwarenberg-Czerny z Witowic, kasztelan sądecki. Ratusz tej jurydyki znajdował się na Nowym Świecie pod nr. 1284.

Nazwy: *Błońska* i *Szeroka* służyły przed laty dzisiejszej ulicy Długiej, którą w połowie w. XVII określano słowami:

„Ulica, idąca od Kościoła Ś. Ducha, mimo Ś. Troycy, wzdłuż pola, aż do miejsca na wygonie Staromieskim“.

Ulicę Marjensztad chrzezono przez czas długi niepoehlebnem mianem: *Błotnista*. Ta nazwa, przez lud prosty stworzona i powtarzana, przedostała się nawet do jednego z aktów urzędowych w w. XVIII.

Bykową zwała się pierwotnie ulica Senatorska. Miała też ona inne jeszcze nazwy. Za Zygmunta III nazywano ją *Reformacka*, z przyczyny, że OO. Reformaci mieli przy niej kościół i klasztor oraz obszerne ogrody i place. Weześniej jeszcze, ta właśnie część jej, którą zajęli wymienieni zakonnicy, nosiła miano *Na Piasku*; zwano ją także *Obóz Królewski*. Wreszcie na tej długiej litanii nazwisk znajdujemy jeszcze jedno: *Kozia*. Dokument z r. 1615 mówi o ulicy Senatorskiej: „*platea Senatorska antiquitus Kozia*“.

Chwaliszewo albo *Waliszewo* była to dzi-

siejsza Mostowa w epoce poprzedzającej wystawienie mostu, a więc przed drugą połową wieku XVI. Nawet kiedy most już stał (co prawda, niezbyt moeno) pisano o niej w aktach: *platea Waliszewo versus pontem*. To określenie spotykamy jeszcze w dokumencie z r. 1591; lecz już w roku następnym znajduje się inne: *platea versus pontem dicta Waliszewo sive Mostowa*.

Uliczka *Ciasna* dziś jest załkiem, przylegającym do ulicy Świętojerskiej; ongi w wieku XVII, a zapewne i wcześniej, istniały w Warszawie dwie uliczki *Ciasne*, żadnej łączności z tamtą nie mające. Pierwszą była dzisiejsza Koźła (na Nowem Mieście); druga, obecnie już nieistniejąca, leżała w pobliżu klasztoru OO. Bernardynów.

Nazwę: *Cuchthauzowa* nosiła w w. XVIII dzisiejsza ulica Smutna. Pochodziło to stąd, że wznosił się wówczas przy niej „Dom Poprawy“, zwany z niemiecka „Cuchthaus“. Ten ostatni budynek, zmieniony następnie na koszary, został ostatecznie rozrzucony w r. 1855 przy rozszerzaniu cytadeli.

Leszno, jakkolwiek w całości z jednej wsi utworzone, nie miało również nazwy jednolitej. Część tej ulicy nazywała się długo, od drugiej połowy w. XVIII prawie aż do dni naszych: *Działyńskie*.

Oznaczano tą nazwą № 661 i dalsze.

Niegdyś stał w tem miejscu dwór, następnie wspaniała pałac Leszczyńskich, założycieli Leszna, „pełen osobliwości sztuki i natury, pięknie i bardzo bogato urządzone“. Później to miejsce wraz z całym Leszmem przeszło na własność Potockich (z linii Łańcuckiej) na zaspokojenie długu, który król Stanisław Leszczyński zaciągnął był u Józefa Potockiego. Odnośny akt datował król w Benderze.

W ręku Potockich Leszno pozostawało tylko do końca w. XVIII. Nabył je od nich bogaty bankier warszawski, Piotr Blank, i prawie z ręki do ręki odprzedał Działyńskiemu, szefowi regimentu pieszego ówczesnych wojsk polskich. Działyński nie tylko doprowadził do porządku zaniedbany cokolwiek pałac, lecz jeszcze wystawił murowane oficyny i pomieścił w nich „swą sławną bibliotekę oraz osobliwości natury“. Zapewne jednak jedno i drugie niedługo tam gościło, gdyż w ostatnich latach w. XVIII i początkowych XIX, miał tu koszary „pułk Działyńskich“ i stąd głównie nazwa tego miejsca poszła.

Spotykając w dawnych aktach wymieniającą dość często ulicę *Dziekańską*, sądzimy w pierwszej chwili, że jest jednoznaczna z Dziekanią (przy Kanoniam) lub z Dzieką (na Przedmieściu Krakowskim). Tymczasem ona nie ma nic wspólnego z niemi i ozna-

cza dzisiejszą Trębacką. Ta dawna nazwa pochodziła stąd, że niegdyś prawie wszystkie domy przy tej ulicy były własnością księży i należały do jurydyki „Dziekanka“. Większość tych domów nosiła wówczas godła religijne, i jeszcze przed kilkunastu laty wznosiła się tam kamienica „pod Opatrznością“.

W dwóch, niezbyt estetycznych nazwach: *Gnojna* i *Gnojowa* upamiętniło się dawne, znamienne, przez cudzoziemskich podróżników stale wspominane niechlajstwo Warszawy...

„Gnojną“ nazywała się dzisiejsza uliczka Celna, prowadząca z Rynku Staromiejskiego, dawniej do samego Bugaja, obecnie, po zamknięciu ostatniego połączenia, do Brzozowej. Miano swe wzięła od znajdującej się tu „Góry Gnojowej“, która „gnojową“ była nie tylko *de nomine*, gdyż powstała z wyrzucanego w to miejsce, sprzątanego z ulic, nawozu końskiego. Za Stanisława Augusta, idąc za radą jakiegoś cudzoziemskiego chemika i przemysłowca, wydobywano z tej góry w obfitości saletrę.

Mówiąc o Celnej, wspomnieć jeszcze trzeba, że niegdyś, dopóki miasto było jeszcze otoczone murem obronnym i posiadało bramy („brony“), na noc zamykane, ta uliczka, do jednej z bram wiodąca, nazywała się tak samo jak ona: *Wiślana*. Olbrzymie kamienie, tkwiące dotąd w murze narożnego domu od

Brzozowej, są pozostałością po owej bramie, którą rozebrano w roku 1835.

Warszawa posiada dotąd ulicę Gnojową, ale nie jest ona tą, z którą się w przeszłości spotykamy. Dzisiejsza Gnojowa, (o której przemianowanie starają się właściciele domów przy niej położonych) jest współczesna b. Koszarom Mirowskim i zawdzięcza swe istnienie wywożonym z niej gnojom; dawna „Gnojowa“ oznacza dzisiejszą Bednarską I zaprawdę, nie bez powodu otrzymała ta ostatnia brzydkie nazwisko, skoro pod rokiem 1699 zapisano w kronikach miejskich, na wieczną rzecz pamiątkę, że „ulica Gnojowa na uroczystość Bożego Ciała *po raz pierwszy* została uprzątnięta...”

Nazwa *Kaleczyn*, jako miano jurydyki (zwanej inaczej „Bożydar“) służyła niekiedy Nowemu Światu i ulicom przyległym.

Dzisiejsze Kanonie nazywały się początkowo: ulica *Kanoniczna*, wyglądały też wówczas, bardziej, niż dziś, na ulicę. Obecnie, jak wiadomo, są raczej placikiem. Początek tej ulicy sięga pierwszych lat w. XV, to jest czasu, gdy kościół Ś. Jana został podniesiony do godności kolegiaty. Przy kolegiacie powstała kapitała, utworzona z prałatów i kanoników, którzy w najbliższem sąsiedztwie świątyni powznosili dla siebie domy mieszkalne. Te domy nazywały się „kurye“.

Według Sobieszczańskiego, jeszcze za Zygmunta III większość kuryj była drewniana. Te drewniane dworki leżały tuż przy ementarzu kościelnym (grzebalnym, jak wszystkie ówczesne ementarze przykościelne). Później dopiero kanonicy wzięli się do wznoszenia siedzib murowanych, których część padła ofiarą wielkiego pożaru w r. 1607. Wszystkich „kuryj“ było 13.

Ulica „Kanonieczna“ była piękna i osobliwa z tego względu, że za każdą kuryą znajdował się ogród, ciągnący się amfiteatralnie aż do samej Wisły. Później te ogrody zostały przepołowione przez zajęcie większej części każdego na drogę publiczną.

Kapucyńską nazywała się przez czas pewien dzisiejsza Miodowa. Jest to jedna ze starszych ulic naszego miasta, wszakże bardzo długo, bo jeszcze za Władysława IV, już po osadzeniu przy niej Pijarów, miała pozór raczej wiejski, niż stołeczny. Wszędzie tylko domy drewniane, ogrody przy nich, za ogrodami łąny, zbożem okryte...

Gdy Sobieski zaczął budować kościół i klasztor dla sprowadzonych przez siebie Kapucynów, dworki wznoszono coraz gęściej, drzewa wycinano (przy ulicy tylko, pozostawiając ogrody, których wiele dotąd przetrwało) i powoli utworzyła się ulica, którą nazwano: „Kapucyńska“.

Przedtem nazywała się ta ulica *Przeczna*. Pod tem mianem jest zapisana w aktach wójtowskich w r. 1427. Z tych aktów widać, że już wówczas była dobrze zabudowana, że prócz dworów z ogrodami wznosiły się przy niej liczne browary i słodownie.

Później upodobali sobie to miejsce pier-nikarze, czyli, jak ongi mówiono: „miodownicy”—stąd już w wieku XVI zwać zaczęto tę ulicę: *Miodownicza* lub *Miodownikowska*, i ta nazwa z małą zmianą dotąd się utrzymała.

W akcie z r. 1557, wzmiankowanym przez Sobieszczańskiego, jest wymieniony jako nabywea domu i granta niejaki Augustyn Weise, nazwany po polsku „Augustyn miodownik“, przyczem w tekście łacińskim zamieszczono tłumaczenie ostatniego wyrazu: *dulciarius alias Kichler*.

W aktach późniejszych nazywają tę ulicę: „Przecznia abo Miodownikowska ulicza, która idzie z Długiey ulicze“.

W pierwszej połowie w. XVII występuje nazwa „Miodownicza“, w drugiej już Miodowa.

Przez lat pięć, od 1808 do 1813, na mocy dekretu z d. 11 grudnia 1808 r., ulica Miodowa, na cześć Napoleona I, twórcy Księstwa Warszawskiego, otrzymała nazwę *Napoleońska*. Była to zresztą nazwa wyłącznie urzędowa, którą w mowie potocznej prawie wcale się nie

posługiwano. Pamiątka tego faktu pozostała na planie Warszawy, rysowanym przez Bacha, który ulicę Miodową opatrzył napisem „ulica Napoleona“.

Nawiasowo dodajmy, że w „Pamiętnikach“ M. Matuszewicza (t. IV, str. 304) znajduje się ślad, że ta ulica w w. XVIII jeszcze jedną posiadała nazwę, mianowicie: *Pijarska*.

Krzywopoboczną, którą uchwała Magistratu z r. 1770 określa jako „wychodzącą z ulicy Źródłowej krzywo i pobocznie aż do Wisły“, nazywała się dzisiejsza ulica Bočna.

Przy końcu w. XVI ksiądz Piotr Skarga obdarza Warszawę instytucją, niezmiernie jej potrzebną: szpitalem Ś. Łazarza. Szpital znajduje pomieszczenie w gmachu umyślnie zbudowanym przy ulicy Mostowej. Ponieważ od kościołów, szpitali i zakładów dobroczynnych brały zwykle swą nazwę ulice, zdawałoby się mogło, że miano „Łazarzowej“ otrzyma Mostowa. Stało się inaczej. *Łazarzową* zwała się przez czas długi — Brzozowa. Wynikło to stąd, że część zabudowań szpitalnych oraz cmentarz, urządzone, jak zwykle wówczas, tuż przy szpitalu (był to jeden ze smutnych, niehygienicznych i nielogicznych zwyczajów naszej przeszłości) wychodziły na tę ulicę.

I nie tylko ulica, którą nazywają akty ówczesne *platea S. Lazari*, lecz nawet oddzielne jej posesye od szpitala nazwę przyjęły. Tak

naprzykład jeden z aktów wymienia „ogród i browar Łazarzowski“ (*ortum cum brasicatorio dictum Łazarowski*).

Ta prastara ulica, której jedna połać jest bezpośrednio z muru obronnego na domy mieszkalne przerobiona, nosiła też i inne nazwy.

Ponieważ w dawnych wiekach stało tu dużo spichrzów (Wisła płynęła wówczas znacznie bliżej brzegu warszawskiego), więc i ulicę zwano przez czas długi: *Spichlerna*, lub *Między Spichlerzami*. Jednocześnie też mówiono o niej i pisano: *Podwalna*.

Dopiero „Komisya porządkowa“ (*Boni ordinis*) w r. 1771 nazwała tę ulicę: Brzozowa. Powód nazwy sielankowej był—elegijny. Wzięto ją od brzóz, które gęsto zarastały cmentarz szpitalny.

Ulica Czysta, istniejąca pod dzisiejszą nazwą nieco więcej, niż wiek, a w dzisiejszym kształcie nieco więcej, niż pół wieku, była pierwotnie zwykłą, niezabudowaną drogą i nazywała się *Ossolińska*.

W roku 1784 przy ulicy „Ossolińskiej“ zapisano tylko trzy pozycye: „Bok pałacu nr. 413“ (pałac księżnej Lubomirskiej), „Bok pałacu nr. 413“ (oficyny pałacu Saskiego), i „Bok pałacu nr. 414“ (pałac księżnej Ogińskiej, kasztelanowej wileńskiej). Zaznaczono też, że nie posiadała braku. Niestety, długo

musiała nań czekać, bo plan Bacha z r. 1807 przedstawia ją jako niebrukowaną, a na planach z roku 1830 i nieco późniejszych widać przy niej same tylko ogrody.

Zaznaczmy mimochodem powód jej nazwy dzisiejszej. Powstać ona miała stąd, że ta ulica, leżąc w jednym z najwynioślejszych punktów miasta, nawet podczas największej niepogody bywa sucha i—czysta.

Ludowi warszawskiemu, zwłaszcza w dzielnicy Staromiejskiej, dobrze jest znana prastara nazwa placu pomiędzy Piekarską a Podwalem, na który wychodzą uliczki: Ryccerska i Ślepa. Ten plac nazywał się, i w ustach ludu dotąd się nazywa, *Piekiełko*.

Ostatniemi mianem oznaczano u nas wszystkie wogóle miejsca, na których, z wyroku sądowego, paleni byli na stosie ludzie—niekiedy także zwierzęta. W obrębie dzisiejszej Warszawy znajdowało się drugie (wówczas do niej nie należące) „Piekiełko“, tam, gdzie dziś posesya nr. 2470 przy ulicy Nowolipie. Istnieje też miejscowość zwana „Piekiełko“ niedaleko Warszawy, na drodze do Pałtaska.

Piekiełko przy ulicy Piekarskiej tem jest pamiętne, że tu w roku 1526 palono żywcem wieśniaczkę Kliczewską, oraz nieznaną z nazwiska piekarkę z Krakowa, obwinione (nieśluszenie) o otrucie ostatnich książąt Mazo-

wieckich. Pisze o tem Bernard Wapowski: „Przed Warszawą (Piekiełko leżało już za murem zewnętrznym), na com patrzył, wkopali w ziemię słup, do którego obie na łańcuszkach długo uwiązali, każdą na swoim łańcuszku, nagą, opak ręce związawszy, a dokoła nich nakładłszy dREW, wkoło zapalili. Piekły się przy owym ogniu, jako pieczenie, przez cztery godziny, niżli pomarły, biegając około słupa, narzekając, kłusując zębami jedna drugą...”

Nazwę *Piesza* nosiła niegdyś dzisiejsza ulica Źródłowa, która otrzymała ostatnie miano w roku 1769. Inna „Piesza“ znajdowała się, i dotąd znajduje, przy Rynku Nowego Miasta.

Dzisiejszy plac Krasiński w początkach zeszłego stulecia nazywał się: *plac Komisyi*. Wówczas też i pałac i ogród Krasińskich nosiły miano: „pałac i ogród Komisyi“. Weześniej nieco, w ostatnich latach w. XVIII, [nazwa pałacu brzmiała: „pałac Rzeczypospolitej“.

Sięgnąwszy w głębszą przeszłość, dowiadujemy się, że plac Krasiński (który powstał, podobnie jak plac Saski, z dziedzińca pałacowego) w czasach, poprzedzających jeszcze wybudowanie pałacu, znany był pod nazwą: *plac Węgrzynowski*.

Ciekawą i znamieną jest historia nazwy:

Poprawa. Nadana jednej z ulic urzędowo (dekretem „Komisyi Brukowej“ w r. 1784) nie utrzymała się, gdyż ją lud—odrzucił. Odrzućciwszy, zatrzymał inną, dawniej przez siebie stworzoną: Boleść. Ostatnia nazwa dotrwała dotąd i prawem zwyczaju stała się urzędową. Ta „Boleść-Poprawa“ prowadzi od końca Mostowej do Wisły, tuż przy wielkim, długim budyńku, zwanym „Stara Prochownia“, gdzie przez długie lata mieściło się więzienie. Ostatnia okoliczność tłumaczy dostatecznie powód jednej i drugiej nazwy.

Dzisiejsza ulica Wązka, która obecnie, po znacznem rozszerzeniu, i do tej nazwy prawo straciła, nazywała się niegdyś *Raczyńska*. Wzięto to miano od pałaca wznoszącego się na rogu Długiej i opatrzonego na czole wielkim, złocistym napisem „Dom Raczyńskich“. Pałac przebudował, upiększył i owym napisem opatrzył Filip Raczyński, generał wojsk Rzeczypospolitej. Dziś mieści się tam Sąd Handlowy.

Nazwy *Rybitwa* i *Rybitwia* służyły dawniej Rybakom. Spotykają się te nazwy dziś jeszcze w wielu polskich miastach nadrzecznych.

Dzisiejsze Rybaki, prawie w całości zabudowane domami murowanymi, wśród których i kamienice kilkopiętrowe znaleźć można, były niegdyś jakby osadą rybacką, z lichych, drewnianych domków czy chat złożoną. Je-

szeze „Taryfa Łokeiowego w czasie Sejmu czteroletniego ułożona (lecz nie wydrukowana) wymienia na tej długiej—o wiele dłuższej, niż obecnie—ulicy tylko dwie kamienice i jedną „kamieniczkę“.

W taryfach z końca w. XVIII spotyka się ulicę *Sielecką*. Nie należy jej brać za jedno z ulicą Sielecką, znajdującą się dziś na Pradze (na Szmulowiźnie). Ulica „Sielecka“ obejmowała numery 3042 do 3063, zapisywane obecnie przy Czerniakowskiej.

Ulica Piwna, jedna z najstarszych, nazwę swą utrzymuje oddawna. Jeszcze w epoce książąt Mazowieckich, w aktach łacińskich (niekiedy niemieckich) pisano ją po polsku: „uliczka Pywna“. Jednak i ona nosiła przygodnie inne nazwy.

Część ulicy Piwnej, bliższą placu Zamkowego, (od nr. 106 do 117) nazywano przez czas długi *Świętego Marcina* lub *Świętomarcińska*. Kościół i szpital (właściwie przytułek dla biednych, tak zwane *xenodochium*) pod wezwaniem tego Świętego dały owej nazwie początek.

W wieku XVI Piwna zwała się także: *Szynkarska*. Istnieje akt z roku 1536, w którym niejaki Mikołaj Piwniczny sprzedaje dom swój „in platea Tabernatorum położony“.

Wogóle zauważyć można, że ta ulica po wszystkie czasy nosiła wybitne znamię dewo-

cyjno-pijackie. Tu było zawsze najwięcej zakładów, poświęconych miłości bliźniego i... jego gardła oraz żołądkowi. Tu wśród „wiech“ (godeł piwiarni i winiarni), kołyszących się przed każdą niemal kamienią, widniały w dwóch miejscach płaskorzeźby (prawdopodobnie polichromiczne), z których jedna przedstawiała Ś. Marcina, dzielącego się swym płaszczem z ubogim, druga — Ś. Łazarza, okrytego ranami, przez psy lizanemi.

Na chwałę (!) Starej Warszawy zaznaczyć trzeba, że i na innych jej ulicach nie brakło „gospód“ z wesołemi Dosiami, Gretami i t. p. obfitowały zaś w nie najbardziej: Rynek i ulica Nowomiejska. Mieściły się te gospody najczęściej w „sklepach“ to jest piwnicach lub loszkach, do których schodziło się wprost z ulicy. Za Sasów, gdy kult Bachusa doszedł u nas do szczytu, pito najwięcej po zaułkach, i wówczas przyszła do niemałego pod tym względem znaczenia ledwie znana dzisiejszym warszawianom uliczka Ślepa. Pijak, tak samo jak zakochany, szuka najchętniej miejsc ustronnych.

Mieszkańców ulicy Nowogrodzkiej zdziwi zapewne wiadomość, że tam, przed stu laty jeszcze, znajdowały się grunty orne, rosło żyto i pszenica...

Nazywało się to miejsce: *Szeroka Włoka*.

i rozciągało długim pasem od Solea aż do dzisiejszych rogatek Jerozolimskich.

„Szeroka Włóka“, należąca niegdyś do książąt Mazowieckich, została przez nich w w. XV ofiarowana kościołowi Ś. Ducha. OO. Paulini, którzy następnie przy tym kościele osiedli, sprzedali ją, przy końcu wieku XVII, księżom Misyonarzom. Ci ostatni, uprawiając „Szeroką Włókę“ na własną rękę, lub też grunta częściowo w dzierżawę wypuszczając, założyli tu około r. 1750 folwark własny, wystawili też kaplicę wraz z ementarzem grzebalnym. Później nieco powstała w tem miejscu oddzielna jurydyka, nazwana (nie wiadomo z jakiego powodu) „Nowogrodzka“, i ta nazwa dostała się w pauciznie istniejącej tam dziś ulicy.

Kilka ulic w okolicach dzisiejszej Żelaznej Bramy i b. koszar Mirowskich brało niegdyś swe miano od innej jurydyki, zwanej „Wielopole“. Ta jurydyka otrzymała przywilej r. 1693, od Maryi de la Grange d'Arquien, kancelerzyny w. koronnej, najmłodszej siostry królowej „Marysieńki“, zaślubionej Janowi Wielopolskiemu. Ratusz jej znajdował się przy ulicy Krochmalnej nr. 1011.

Jedna z ulic, należących do tej jurydyki zwała się *Wielopolska*, druga — *Targowica Wielopolska* lub wprost: *Targowica*. Te obie

ulice dotąd istnieją. Pierwszą jest Przecho-
dnia, drugą Targowa.

Dawniejsza ulica *Wierzbowska*, nazywana tak jeszcze na planach z wieku zeszłego a no-
sząca to miano ku czei biskupa poznańskiego
Wierzbowskiego, (za rządów Michała Kory-
bata), zmieniła się na dzisiejszą Wierzbową.

Ogrodniki, na *Ogrodnikach* zwano da-
wniej dzisiejszą ulicę Ogrodową — jednak na
planie Warszawy Zannoniego (z r. 1772) mia-
nem *rue Ogrodniki* jest oznaczone dzisiejsze
Nowolipie. Co prawda, w owym czasie po
obu stronach tej ulicy ciągnęły się nieprzer-
wanym ciągiem ogrody.

Wiadomo wszystkim, że lud warszawski
ulicę Wałową, prowadzącą od Świętojerskiej
do Franciszkańskiej, z dziwnym uporem na-
zywa: „Wołowa“. Ma on do tego swoje „ra-
cye“. Mogą inni wyprowadzać nazwę ulicy
od usypanego tu w w. XVII „wała“—dla ludu
początek tej nazwie dała istniejąca przez czas
długi, w bezpośredniem sąsiedztwie tego miej-
sca, t. zw. *Wolnica*.

O tej „Wolnicy“ pisał mi kiedyś jeden
z najstarszych wówczas mieszkańców Warsza-
wy, p. Leon Goldman, co następuje:

„W moich latach dzieciennych dzisiejszą
ulicę Franciszkańską, od Nalewek do Boni-
fraterskiej, nazywano powszechnie: *Wolnica*.
Czy ta nazwa popularna była zarazem i urzę-

dową — nie wiem. Po obu stronach znajdowało się, ile zapamiętać mogę, po parze lichych zabudowań mieszkalnych, a przy zbiegu Franciszkańskiej z Wałową i dalej, odbywał się codziennie targ, na którym okoliczni mieszkańcy zaopatrywali się w warzywa, ogrodowinę i nabiół; w budynku zaś narożnym (przy Wałowej) mieściły się jatki rzeźnicze, gdzie mięso sprzedawano taniej o grosz na funcie, niż w innych jatkach miejskich. Było to w *drugim dziesięcioleciu wieku teraźniejszego* (XIX-go) Ulica ta zaczęła się zabudowywać dopiero po przepędzeniu żydów z ulic: Królewskiej, Granicznej, Żabiej, Elektorальной, Marywila i t. d. w tamte kąty, i wtedy nazwa dzisiejsza („Franciszkańska“) zaczęła wchodzić w użycie; dawniejsi zaś mieszkańcy tamtej ulicy jeszcze w r. 1850 nazywali ją *Wolnica*“.

Niezwykłe koleje przechodziła w w. XIX nazwa ulicy Zgoda.

Dziś ta nazwa służy ulicy, będącej przedłużeniem Brackiej, od Chmielnej do Marszałkowskiej; przed kilkudziesięciami zaś laty oznaczona nią była — Sosnowa. Jeszcze na planie z r. 1822 to oznaczenie widzimy.

Weześniejsze taryfy z zeszłego stulecia nazywają tę ulicę *Zgodna*.

Co najdziwniejsze, jedyny zapisywany niegdyś przy niej numer hipoteczny 1493

(w r. 1807 dom drewniany Eichlera) przeszedł wraz z nazwą na dzisiejszą ulicę Zgoda.

Jednakże w „Taryfie Łokciowego“ z roku 1784 (rękopiśmiennej), i nazwa i położenie tej ulicy są takie, jak dziś. Zapisany w niej jest jeden również numer hipoteczny 1493 („Dworek z parkanem Dacharskiej wdowy“), resztę zaś ulicy wypełniają:

z jednej strony— „tył dworku i muru z parkanem *ad* nr. 1396; parkan i bok dworku z załamkiem *ad* nr. 1494; szerokość ulicy Złotej (wynosząca wówczas 26 łokci); bok dworku z wjazdem i parkanem *ad* nr. 1622“;

z drugiej strony — „tył ogrodu z parkanem *ad* nr. 1629; także były *ad* nr. 1354; szerokość ulicy Przeskok (8 łokci) mur szpitala Dzieciątka Jezus, mur podwórza i folwarku tegoż szpitala, mur od ogrodu szpitalnego“.

Dzisiejsza ulica Kapitałna, leżąca niewiele więcej nad dwieście lat istnienia, była niegdyś zwykłą drogą, leżącą na gruntach Jakóba Zadzika, biskupa krakowskiego, kancelarza w. koronnego a wcześniej jeszcze kanonika Kolegijaty warszawskiej. Jako leżąca blisko wałów miejskich była nazywana: *Na Wale*. Wprost tej drogi kanclerz wystawił dwór okazały, w testamencie zaś zapisał go Kapitale warszawskiej. Dwór uległ następnie pożarowi, czy też został rozebrany (może pod budowę kościoła i klasztoru OO. Kapucynów),

z gruntów zaś, odziedziczonych po Zadziku, Kapitała utworzyła jurydykę i nazwała ją „Zadzikowska“. Wówczas i ową drogę, która zwolna stawała się ulicą, zaczęto zwać *Zadzikowska* a także *na Kapitulnem*. Z czasem, pierwsza nazwa całkowicie zniknęła; z drugiej powstało dzisiejsze miano ulicy.

Czy ulica Żórawia otrzymała swą nazwę od—żórawi? Nie, bo gdyby tak było, zawsze nazywałyby się Żórawia—tymczasem, w chwili swych oficjalnych narodzin (około r. 1780) zwała się *Żórawieńcowa*. Utworzono tę nazwę bezpośrednio z innej, która służyła temu miejscu, zanim jeszcze ono zostało ulicą, brzmiała zaś: *Żórawieniec*. Skąd jednak wzięła się ta ostatnia? Na to pytanie odpowiedział niegdyś Sobieszczański: „Bezwątpienia pierwszym powodem takiego nazwania tej miejscowości była obfitość rosnących tu jagód *żórawin*, do czego grant tatejszy szczególnie jest sposobny, a ślad nawet *żórawin*, jarzębiny i t. p. w kilku ogrodach dotąd (pisane około r. 1850) widzieć można“.

O NIEISTNIEJĄCYCH DZIŚ ULICACH.

Czas nie tylko zatarł ślady wielu nazw, służących ulicom warszawskim, ale obszedł się w ten sposób i z pewną częścią samych ulic.

Niejedna z tych ostatnich, choć jeszcze przed kilku dziesiątkami lat głośna i gęsto zaludniona, zaginęła całkowicie w pamięci dzisiejszego Warszawianina, nawykłego w rzadkich tylko wypadkach oglądać się poza siebie.

Pomiędzy czytelnikami tych kartek mało zapewne znajdzie się takich, którzyby zachowali pamięć ulic: Zielonej, Bitnej, Żółwiej, Taniej, Owezej, Krętej, Klimowej i t. d., a jednak one wszystkie dopiero po roku 1840 zniknęły z powierzchni Warszawy.

Wogóle Warszawę, jak każde miasto, przyrównać można do żywego organizmu, w którym odbywa się nieustannie przemiana cząstek starych na nowe. Części oporniejsze, stanowiące jakby kościec miasta, trwają najdłużej i trzeba stuleci, żeby je zniszczyć lub zmienić—inne nikną i przemieniają się z zadziwiającą nieraz szybkością. Najmniej oporności posiadają zwykle części najnowsze.

Kolebką Warszawy a zarazem jej rdzeniem i „pestką“ jest dzielnica Staromiejska. Szanować ją powinniśmy, jak świętość. Wszelki zamach na jej postać dzisiejszą, usunięcie choćby jednej cegły z miejsca, na którym ją ręka pradziadów położyła, stanowi świętokradztwo.

W nowszych dzielnicach miasta zmiany odbywały się częściej—nierzadko bez istotnego, poważnego powodu, wywołane w wielu

wypadkach tą nerwową ruchliwością, która jest znamieniem naszych czasów i naszego plemienia. A musiała być ta ruchliwość niemała, ieśli w niezbyt długim okresie czasu i w mieście nienależącym do wielkich, padło jej ofiarą około stu ulic i aliczek...

Wskrzeszamy ich pamięć, aby utrzymać łączność doby dzisiejszej z wczorajszą — tą łączność dla wszystkich obowiązującą, bez której w żadnym kierunku normalnie rozwijać się nie można.

Ułożyliśmy je alfabetycznie, leksykono-wo—aby ułatwić odszukiwanie ich w mroku przeszłości i związanych z nią wspomnień.

Abrahamowska. Była o niej mowa w pierwszej części tej pracy, jako o ulicy *Żydowskiej*—nosiła bowiem obie te nazwy. Nazywała się także, ku końcowi swego istnienia: *Baryczkowska*.

Ta ulica o trzech nazwach istniała *intra muros*, to jest w obrębie murów obronnych Starej Warszawy, od r. 1438 do 1766. Być może, iż istniała dawniej jeszcze, ale dopiero pod rokiem 1438 spotykamy pierwszą piśmienną o niej wzmiankę.

Żydzi znaleźli w Warszawie wyjątkową, większą, niż gdziekolwiek indziej, gościnność.

Nie wyrzucono ich za mury miejskie, nie zamknięto w wyodrębnionem *ghetto*, nie uznano za niebezpiecznych i „nieczystych“. Mieli synagogę i cmentarz w sąsiedztwie katolickich świątyń i cmentarzy — dążąc zaś, jak wszędzie, do skupiania się, osiedli na własnej ulicy, własnymi domami zabudowanej.

Snać jednak rychło tej gościnności nadszali... już bowiem w r. 1483 Bolesław V, książę Mazowiecki, polecił żydów z Warszawy usunąć, a Zygmunt I, po przyłączeniu Mazowsza do Korony, ten wyrok w r. 1527 potwierdził i obostrzył.

Pamiętką po nich pozostała ulica „Żydowska“ oraz liczne akty kupna i sprzedaży, do ksiąg „radzieckich“ wciągnięte, gdzie przy nazwisku każdego starozakonnego dopisywano „*judeus Warschoviensis*“.

Pozostałe po żydach posesye ponabylali i pozajmowali chrześciane, „kirkut“ zaś ich, dziwną rzeczy koleją, przeszedł na własność Kapituły, która weale weześnie, bo już w roku 1531 wybudowała na nim piekarnię (*bullaria seu domus pro pistande pane*). Co się stało z synagogą — niewiadomo. Znane jest tylko miejsce, gdzie się wznosiła: przy zbiegu ulicy Żydowskiej z Wąskim Dunajem, gdzie dziś numery hipoteczne 153 i 154.

W początkach w. XVII, większą część domów przy ulicy Żydowskiej *v.* Abrahamow-

skiej nabył Stanisław Baryczka, patrycyusz i bogacz warszawski — wówczas też, od jego nazwiska, zwać się ona zaczęła „Baryczkowska“.

Podezas pierwszej i drugiej wojny szwedzkiej, wiele ta ulica ucierpiała od kul i swawoli żołdactwa. Nawiedził też ją kilkakrotnie pożar, stały gość naszego miasta w dawnych wiekach. Wreszcie upadło jej znaczenie z chwili, gdy wielkie młyny miejskie, do których była najbliższą i najwygodniejszą drogą (stały te młyny przy końcu Piekarskiej, od strony Podwala) padły również ofiarą ognia.

W wynikułem podczas wojen domowych zamieszania, zagęściły się w kraju wszelkiego rodzaju bezprawia. Następstwom ich było, że niektóre ulice warszawskie *de facto* istnieć przestały, gdyż prywatni grabieżcy prawem kaduka częściowo je zajmowali, a następnie zamuroywali (!). Tak właśnie stało się z ulicą Baryczkowską. „Nader liczne spory — pisze Weinert—powstawały o jej zabór, a w końcu, gdy Komisya Porządkowa spór sądowy o jej własność w r. 1764 wytoczyła, zastała ją całkowicie już zabraną i przez prywatnych jedenastu właścicieli—zamurowaną“.

Rzadki to zaprawdę w dziejach miast wypadek—w Warszawie wszakże nie jedyny.

Ulica Żydowska *v.* Abrahamowska *v.* Baryczkowska biegła od Wązkiego Dunaju, linią

ukośną, do Piekarskiej i kończyła się w pobliżu już wspomnianych młynów miejskich, które stały tuż pod murem obronnym. Obejmowała posesje, oznaczone dziś numerami hipotecznymi 153, 154 i 281 oraz tyły numerów, 94, 95, 96, 97, 98, 99 100 i 101. Liczyła 109 łokci długości a 8 szerokości. Widać z tych wymiarów, że była właściwie — zaułkiem.

Bernardyńska. Lustracya z r. 1564, wliczbie ulie dziś już nieistniejących, wymienia, oprócz Żydowskiej: Bernardyńską i Przeczną. Kierunek Bernardyńskiej, tak został określony w uchwale magistrata z r. 1770:

„Ulica Bernardyńska z pomiędzy murów OO. Bernardynów i PP. Bernardynek wychodząca, od placu kamienicy szlchetnego Czeremaka z jednej a z drugiej muru OO. Bernardynów początek biorąca, aż do Wisły ciągnie się“.

Bazylińska. Istna efemeryda, trwająca lat kilkanaście w rzeczywistości a niewiele więcej we wspomnieniach i nazwie, której nawet do żadnej taryfy nie zapisano.

Krótką historyą tej ulicy wiąże się z historyą obrządku grecko-unickiego w naszym kraju, głównie w Warszawie.

W połowie w. XVIII liczba wyznawców tego obrządku wzrosła w naszym mieście tak bardzo, że okazało się koniecznem wzniesie-

nie dla nich oddzielnej świątyni. Król Stanisław August wziął tę sprawę do serca i ofiarowawszy księżom Bazylianom część gruntów Ujazdowskich (Ujazdów był dziedziczną własnością króla), przyczynił się do zatwierdzenia na sejmie r. 1768 następującej uchwały:

„Aprobacya fundaszu OO. Bazylianów na Ujazdowie. — Fundacyi OO. Bazylianom prowincyi koronnej na Ujazdowie, placu naszym dziedzicznym, z przykupieniem dóbr za złp. 200,000, a nie więcej, *pro subsistentia* osób zakonnych, pozwalamy, a to dla wygody ludu w obrządku ruskim zostającego i publicznej usługi, którą uczeniem języków: greckiego, słowiańskiego, skoropis zwanego i innych, czynić będą“.

Plac, ofiarowany Bazylianom, znajdował się przy zbiegu dzisiejszej Pięknej z aleją Ujazdowską. Po rozszerzeniu go przez kupa, obejmował posesye oznaczone obecnie numerami hipotecznymi 1713 A, 1713 B i 1713 C. Oprócz placu, król ofiarował zasiłek pieniężny, co, w połączeniu z posiadаныmi i zebranyimi drogą składek kapitałami, pozwoliło księżom przystąpić rychło do budowy.

Założono fundamenty, wyprowadzono do pewnej wysokości mury, wzniesiono dokoła tymczasowe budynki gospodarskie i mieszkalne, ale na tem wszystko się skończyło. Nagła śmierć księdza Komarkiewicza z Supraśla,

który był kierownikiem budowy i duszą przedsięwzięcia, pomieszała plany i całej sprawie kres położyła. Księża Bazylianie znaleźli też wkrótce innego dobrodzieja, w osobie metropolity Jazona Janoszy Smogorzewskiego, który w r. 1781 wystawił im kościół z klasztorem przy ulicy Miodowej.

Opuszczony plac powrócił do swego pierwotnego właściciela, a mury, co nie stawszy się budynkiem, były już ruiną, dotrwały aż do r. 1824, w którym—według J. Bartoszewicza—zostały w części użyte na nowe budowle, a w części rozrzucone.

Przez długi czas nazywano to miejsce: „plac“ albo „folwark Bazyliński“, później wprost: „ulica Bazylińska“, i ta ostatnia nazwa przeniosła się nawet do aktów urzędowych.

Podług Weinerta, który dziejom tej ulicy oddzielną rozprawę poświęcił „całą przestrzeń dzisiejszej Pięknej, zaczawszy od Mokotowskiej aż do alei Belwederskiej (Ujazdowskiej), przezywano ulicą Bazylińską“.

Według pomiaru, dokonanego w r. 1784, miała ta ulica 28 łokci koronnych szerokości a $344\frac{1}{2}$ długości. Część dawnego „folwarku Bazylińskiego“ zajmuje dziś Dolina Szwajcarska.

Baryczkowska (patrz „Abrahamowska“).

Bieda. Niewielki zaułek, pomiędzy Krzywem-Kołem, Mostową i Brzozową, od drugiej połowy w. XVIII zamknięty i częściowo do sąsiednich posesyj wcielony. Tu wznosiła się najstarsza i najokazalsza z wież Starej Warszawy, której rysunek oglądać można na widoku naszego miasta z w. XVI, dołączonym do pomnikowego dzieła Brauna „*Theatrum Urbium*“ (1593 r.). Zwała się ta wieża *Okrągła* albo *Szeroka*, po przeniesienia zaś do niej więzienia marszałkowskiego, *Marszałkowska*.

Kształt tej wieży był niezwykle: okrągłokulisty, a góry ostro zakończone. Sobieszczański, opierając się na znakomitem dziele Violetle-Duc'a p. t. *Dictionnaire de l'architecture de XI au XIV siècle* twierdzi, że została wzniesiona przed wiekiem XIII, gdyż, według wspomnianego autora, takich wież w czasie późniejszym już w Europie nie stawiano.

Ten drogocenny klejnot, po przodkach nam pozostały, przez czas długi szanowano i pielęgnowano. Król Stanisław August, obdarzony wysokim poczuciem estetycznym, i choć go o „sfrancuzienie“ Polaków oskarżano, przeszłość narodu kochający i o pamiątki jej dbały, polecił Lubomirskiemu, marszałkowi koronnemu, Wieżę Okrągłą przez czas i pożary zrujnowaną, w roku 1769 odnowić i wzmościć. Świadectwem odnowy była tablica bronzowa z odpowiednim napisem łaciń-

skim, umieszczona nad wejściem i widoczna od strony Krzywego-Koła.

Pomimo odnowy, prastary zabytek architektury średniowiecznej wkrótce potem przyszedł do ostatecznej ruiny i rozebrany być musiał.

Ktoby dziś pragnął zobaczyć już nie ślad (bo go prawie nie zostało), lecz miejsce, na którym wznosiła się ongi królująca nad miastem „Wieża Marszałkowska“, musiałby szukać go w drugim podwórzu domu nr. 188, w samym załamie Krzywego-Koła. Niejakie pojęcie o wysokości i krzepkości tego zabytku dałoby mu obejrzenie resztek starego muru miejskiego w tyłach podwórza, przy posesyi nr. 247 na Mostowej (dawny szpital Ś. Łazarza). Wreszcie ślad uliczki „Bieda“ znalazłby przy alicy Brzozowej w kilku podwórkach i placykach, obróconych dziś na składy węgla.

Bitna. Należała do grupy alie, które w roku 1832 zostały zrównane z ziemią, ustępując miejsca koszarom, fortom i okopom dzisiejszej Cytadeli. Ta dzielnica, której ślad dziś już tylko na starych kartach i we wspomnieniach starych ludzi dochował się, obejmowała kilkanaście alie i uliczek—stanowiących przed kilkudziesięciu laty najrozkoszniejszą może część Warszawy, pełną letnich pałacyków, cienistych ogrodów, a pośród jednych i drugich

hucznej wesołości uczających magnatów i różnej wrzawy kwaterującego tu wojska..

„Bitna“ liczyła się do najmniejszych w tej grupie aliczek—stąd tylko ważna, że przy niej stały „Koszary Królewskie“, albo inaczej „Koszary Gwardyi Królewskiej“, które po roku 1815 przemianowano na „Koszary Aleksandryjskie“ (*Casernes d'Alexandre*).

„Bitna“ biegła prostopadle do Wisły, od Faworów do ulicy Gwardyi. Przy końcu wieku XVIII zapisywano przy niej, oprócz „wjazdu do Koszar“, tylko „dwa dworki i kamienicę marowaną z placem“ niejakiego Otto; zresztą znajdowały się przy niej same place, na składy drzewa obrócone.

Brama Krakowska. Nie tylko brała nazwę od głównej z bram miejskich (rozebranej w r. 1817), lecz była z nią prawie równoznaczna.

Brama Krakowska, której widok zewnętrzny dochował się na jednym z rzadkich sztychów Anny Tyszkiewiczówny (siostrzenicy ks. Józefa Poniatowskiego, z pierwszych słabów Potockiej, z drugich Wąsowiczowej), wznosiła się pomiędzy rogiem Podwala i Placu Zamkowego, zachodząc wzdłuż poza ulicę Ślepą. Tworzyły ją dwa budynki czworograniaste, odległe od siebie o 25 łokci. Według Wilhelma Kolberga („Kilka badań Starożytności warszawskich“), wszystkie głównejsze bra-

my w dawnych miastach stawiano podwójne, to jest składające się z dwóch budynków, jeden za drugim (w mniejszej lub większej odległości) połączonych ze sobą oddzielnymi murami i różnemi wzmożeniami, często naprzód wysuniętymi. Miejsce pomiędzy budynkami nazywało się „*W bramie*“.

Pozostawiając do innej sposobności szczegółowy opis „*Bramy Krakowskiej*“, tu zaznaczyć musimy, że do niej, jak do wszystkich większych bram miejskich, tuliły się małe domki, niby piskłeta pod skrzydła kokoszy, szukając pewnej obrony na wypadek oblężenia. Tych domków, w początkach wieku XVII i weźniej, było tak wiele, że tworzyły rodzaj uliczki czy placyku; usunął je wszakże niemal doszczętnie Władysław IV, oczyszczając miejsce pod kolumnę swego ojca. I tylko do ostatnich niemal czasów dotrwała niewielka, jakby do starej bramy przyrosła kamieniczka, której właścicielem za Stanisława Augusta był Merlini.

Cokolwiekbądź, w najstarszych taryfach Warszawy, „*Brama Krakowska*“ jest zapisywana jako ulica, o której w najdokładniejszej z nich Taryfie Łokciowego czytamy:

„*Brama Krakowska*“ nr. 118. Kamienica Merliniego. Bok kamienicy *ad* nr. 563 (ulica Grodzka). Po drugiej stronie: Schodki, nad Bramą idące, należące do miasta. Bok ka-

mienicy *ad* nr. 534 (Podwale). Bok kamienicy *ad* nr. 297 (ul. Ślepa). Szerokość uliczki Ślepa, między kamienicami Łazarewiczowej i Różańskiego (2 łokcie kor.). Bok kamienicy Różańskiego“.

Merlini, jako właściciel jedynej posesyi, przy tej ulicy zapisywanej, występuje we wszystkich taryfach z początku zeszłego stulecia, aż do r. 1817 wyłącznie, w tym bowiem roku pod nr. 118, przy „Bramie Krakowskiej“ jest zapisana „Kamienica Minasowicza“. Następnie i brama i ulica i dom bezpowrotnie znikają, a przy nr. 118 czytamy stale: „Plac pusty“ albo „Plac przed Zamkiem Jego Ces. Królewskiej Mości“.

Chińska. Nie ulica właściwie, lecz droga czy aleja w okolicach Łazienek. Wymieniona w „Obwieszczeniu Komisji Województwa Mazowieckiego“ z r. 1823.

Cicha. Biegła równolegle do uliczki Bolesław (opisanej w pierwszej części tej pracy) od Rybaków ku Wiśle, z lewej strony „Starej Prochowni“. Dawniej dochodziła do rzeki, od której odgradzał ją tylko plac pusty, należący do dworu Sołtyka, biskupa Krakowskiego (nr. 2565), później ten plac zabudowano i przejście zamknięto. Najdawniejsze taryfy nie zapisują przy ulicy Cichej ani jednej posesyi, wymieniają tylko „dwa dworki *ad* nr. 2565“, będące zapewne zabudowaniami gospodar-

skiem i przy wspomnianym przed chwilą dworze Sołtyka.

Czujna. Zajęta pod Cytadelę. (Porównaj: *Bitna, Dominikańska, Fawory, Fraszki, Głęboka, Gwardyi, Klimowa, Kreta* i t. d.). Tworząc jakby jedno z rozgałęzień większej ulicy Fawory, biegła poza Koszarami Gwardyi, kończąc się przy samej Wiśle.

Ta, pod nr. 2000, wznosił się wspaniały pałac bankiera Łyszkiewicza (później Soldenhoffa). Wiodła doń nadzwyczaj szeroka aleja, drzewami wysadzana, z tyłu zaś znajdował się piękny, duży staw.

Ogółem ulica Czujna posiadała siedem posesyi (№ 1994—2000) i tylko krótką uliczką Półkowską była przedzielona od okopów.

Cały prawy bok tej ulicy (idąc ku Wiśle) wypełniały boki zabudowań koszarowych, ogrody oraz wielki „plac musztry“. Minąwszy wyłot ulicy Półkowskiej, stał „pod górą, nad wąwozem“ dworek drewniany Rózickiego (№ 2523). Z lewego boku, prócz pałacu Łyszkiewicza, ogrodów, „placu z altaną Sierakowskiego“ i parkanów, wznosiły się „dwory“: Borysławskiego oraz „pruskiego podsędka“ Rawskiego.

Dawna. Przechodzący ulicą Jezaicką zauważyć mogą na niej, w pobliżu Kanonii, pewną, zawsze zamkniętą, na kolor brudno-czerwony pomalowaną, bramę.

Ta brama zamyka starą uliczkę, od wielu

już lat skasowaną, która w najpierwszych taryfach zowie się *Dawna*, co dowodzi jej bardzo starożytnego pochodzenia.

Jeszcze przed kilkunastu laty, wszedłszy na podwórze domu nr. 81 na Kanonii, można było z pustego, znajdującego się przy niem placyka, widzieć tę uliczkę, jako długi wąski przesmyk, zupełnie pusty, zarosły trawą i zasypany gruzami. Dziś właściciele przyległych domów na Kanonii (nr. 75 do 89), włączyli częściowo tę pustkę (czy nie *jure caduco?*) do swych podwórek i poprzegradzali ją parkanami.

Uliczka „Dawna“ jest niezawodnie dawniejsza od Kanonii, posiadać też musiała ongi znaczenie strategiczne, ze starych bowiem planów miasta widać, że wiodła od Jezuickiej, (która jeszcze wówczas Jezuicką nie była). do muru obronnego i przy nim się kończyła, Jakkolwiek W. Kolberg, na odtworzonym pracownicie planie starych murów miejskich, nie oznaczył w tym punkcie baszty, napewno twierdzić można, że ona tam istniała. Pilniejsze poszukiwania, nie ograniczające się wszakże na powierzchni ziemi, lecz w głąb jej sięgające, odkryłyby z pewnością ślad tej baszty. Na nieszczęście, o tego rodzaju poszukiwaniach, niesłychanie ważnych, nikt dotąd w Warszawie nie pomyślał.

Kamienica, zagradzająca uliczkę Dawną

od strony Jezuickiej, stoi tam już od trzech wieków blisko, choć była kilkakrotnie przebudowywana i jak się zdaje, rozszerzona, przez łączenie z posesyami sąsiednimi. Taryfy z w. XVIII wymieniają po tej stronie ulicy Jezuickiej tylko 4 kamienice, a w „Rewizyi Gospód“ z r. 1669 zapisano ich tam 6.

Cokolwiekbądź, aliczka Dawna, już w epoce wzniesienia kamienicy, nie była od Jezuickiej odcięta: wejście na nią prowadziło przez bramę, zawsze stojącą otworem. W „Taryfie Łokciowego“ (r. 1784), w opisie ulicy Jezuickiej, bezpośrednio po numerze 73 („Szkoły po-Jezuickiej“) dodano: „Szerokość ulicy Dawnej, *nad którą* mieszkanie Proboszeza“.

Dominikańska. Zwano ją także prościej: „droga Dominikańska“. Kreśliła nieforemny zygzak na spadzistości Powiśla, między Przyrynkem a Rybakami. Zajęta wraz z innymi pod Cytadelę.

O tej ulicy „Taryfa Łokciowego“ mówi: „Ulica czyli droga przez plac XX. Dominikanów, początek swój od ulicy Przyrynek mająca, w ciągu swoim, aż do ul. Rybaki idąca, jest jak Klimowa, prywatna“.

Przy ulicy Dominikańskiej stały same tylko drewniane dworki i to rzadko, więcej było placów pustyńskich, na składy drzewa obróconych. Najokazalszy był dwór obszerny XX. Dominikanów, po którym jednak już w po-

czątkach w. XIX tylko puste miejsce pozostało. Zapewne zgorzał.

Dziekanka. Pamiątką po tej ulicy jest stojący dotąd, choć skazany już na rozrzucenie, dom na Przedmieściu Krakowskiem, blisko kościoła po-Karmelickiego, gdzie przed kilku laty jeszcze mieścił się hotel drugorzędny, czyli „zajazd“ pod nazwą „Dziekanka“, w swoim czasie nader popularny.

Sama ulica istniała, dopóki istniało Wązkie Przedmieście Krakowskie, a więc do roku 1865. Poziom jej był znacznie niższy, niż Przedmieścia Krakowskiego, co jeszcze dziś przy wspomnianym domu jest widoczne. Od strony Towarzystwa Dobroczynności zjeżdżało się na tę ulicę po dość stromej pochyłości, jak do wąwozu. Przy zakładaniu na gruzach „Wązkiego Przedmieścia Krakowskiego“ skwera, musiano to miejsce niwelować za pomocą nasypu.

Ulica „Dziekanka“, tak samo, jak wspomniana w pierwszej części tej pracy „Dziekańska“, (dziś Trębacka), a także istniejąca dotąd przy Kanonich „Dziekania“ — nazwę swą wzięły od Dziekana przy kościele Ś. Jana, którego (oraz całej Kollegiaty), własność stanowiły. Istniała nawet oddzielna jurydyka tego nazwiska, od tego właśnie miejsca zaczynająca się, która jeszcze za Książąt Mazowieckich, nadanie swe otrzymała (w r. 1402 od księcia Jana Starszego).

W r. 1830 na Dziekance zapisywano tylko trzy numery hipoteczne, 2667 *A*, 2667 *B*, (kam. XX. Karmelitów, Prokuratorya Jeneralna, Archiwum Jeneralne krajowe) i 2668 (kamienica Kapitały Warszawskiej). Drugą połąć stanowiły były kamienie przy Wązkiem Przedmieścia Krakowskiem (od nr. 373 do 383).

„Taryfa Łokciowego“ podaje taki opis tej ulicy:

„Ulica Dziekanka, zaczynając od ulicy Bednarskiej. Bok kamienicy i podwórza *ad* nr. 2672 (ul. Bednarska). Tył kamienicy *ad* nr. 377 (Przed. Krak.). Tył stajen i kamienicy z wjazdem *ad* nr. 385 (Przed. Krak.). Szerokość Przedmieścia Krakowskiego (38 łokci). Druga strona ul. Dziekanka, zaczynając od Przedm. Krakowskiego. Bok cmentarza XX. Karmelitów Bosych. Bok kościoła XX. Karmelitów. Wjazd do klasztoru. Kamienica z wjazdem, podwórzem i ofieynami, do Scholasteryi Warszawskiej należąca (tu właśnie stoi dziś brzydkie, żółte domisko, zwane „Dziekanka“). Bok stajen i kamienicy z podwórzem *ad* nr. 2675 (dziś dom narożny od Bednarskiej). Szerokość ul. Bednarskiej (10 łokci kor.)“.

Fawory. W grupie ulic, zajętych pod budowę Cytadeli, jedna z największych i najpiękniejszych. Biegła równolegle do Wisły, łącząc się z ulicą „Gwardyi“, przy kościele

Świętokrzyskim, (Świętego Krzyża w Polu, inaczej „Gwardyackim“).

Te wszystkie duże, piękne ulice, połączone ze sobą mniejszemi i mniej pięknemi przecznicami, przedstawiały widok niezwykły, któremu podobnego napróżnobyśmy szukali w obrębie dzisiejszej Warszawy.

Były to jakby arystokratyczne gościńce, w małej tylko części brukowane, o wyglądzie bardziej wiejskim, niż stołecznym. Wzdłuż tych ulic ciągną się wille bogate, między kępami drzew schowane, za willami dworki o prastarych ganceczkach, dzikiem winem obrośniętych. Dalej wielkim kwadratem zieleni wykreśla się łąka, lub srebrno-błękitnym okręgiem błyska staw z parą melancholijnych łabędzi...

Gdzieniegdzie widać tu wieżyczkę małego kościołka, krzyże cmentarne, z poza niskiego ogrodzenia wychylające się, wreszcie długie, parterowe budynki a przy nich prostokątne place, na których pojedynczo i plutonami snują się—żołnierze.

„Fawory“ odznaczały się pozorem zupełnie sielskim, przypominały owe na krańcach Paryża leżące, napół wiejskie dzielnice *Auteuil*, *Batignolles*... których Warszawa nie posiada, choć są jej tak bardzo potrzebne. Tu znajdowały się najpiękniejsze na całe miasto ogrody: „Fraszka“, „Sansgêne“, „Tivoli“ i inne,

będące własnością arystokracji rodowej i pieniężnej.

Na „Faworach“, mimo ich znacznej długości, liczono tylko dwanaście posesyj, (nr. 1972 do 1993). Należały do Rautenstraucha, Białobrzeskiego, szpitala Ś. Ducha i innych.

Dzieje posesyi pod nr. 1983 są dość ciekawe.

Do roku 1788 znajdowała się tu karczma oraz młyn wodny, opłacające miastu (którego własnością był ten numer i przyległy) dość niski czynsz dzierżawny. Ale w wymienionym roku zjawił się jakiś przedsiębiorczy baron Szefler, który, wydzierżawiwszy na lat dwadzieścia, na korzystniejszych dla mięsa warunkach, owo miejsce, dawne budynki rozrzucał i wznosił na oczyszczonym placu fabrykę stali, hamernię i szlifiernię. Niebawem jednak po otwarciu fabryki, musiał ją zamknąć, zbankrutowawszy doszczętnie, podobno dla braku potrzebnej ilości wody. Zbankrutowawszy, nie zapłacił miastu nawet pierwszej raty dzierżawnej. Budynki i grunt wziął następnie od miasta szpital Ś. Ducha, a gdy w r. 1802 budynki zgorzały, grunt nabył Rautensztrauch i w prześliczny ogród zamienił.

W drugiej połowie w. XVIII, zapisywano przy tej ulicy „dworki“ następujących właścicieli, przeważnie oficerów wojska polskiego: pułkownika Królikiewicza, majora de Pyrch,

regimentarza Szymanowskiego a także: Nankwaskiego, podkomorzego wyszogrodzkiego i Łąckiego kasztelana sandomirskiego. Właścicielem „pałacyku z czterema wjazdami, oficyną i karczmą“ (?) był wówczas Białobrzeski.

Fraszki. Ulica również pod Cytadelę zajęta. Leżała na samym krańcu miasta, biegnąc od Czujnej do okopów.

Niewielka, po jednej stronie mająca same ogrody, obejmowała zaledwie trzy posesye (nr. 2322—2324). Bezpośrednio przed rozrzuceniem, znajdował się tu już tylko jeden dwór drewniany (Wardyńskiego sukcesorów) i jedna kamienica (Bockhan-Dietricha) — numer zaś 2523 był pustym placem (Różyckiego).

Opis ulicy „Fraszki“ z końca w. XVIII tak ją przedstawia:

„Ulica Fraszki, zaczynając od Okopów. Bok browaru *ad* nr. 2004 (ul. Pólkowska). Szerokość ul. Pólkowskiej (16 łokci). Bok dworku, stajen i ogrodu *ad* nr. 2003. Bok góry pastej, Cmentarza laterańskiego dotyczącej, *ad* nr. 2901. Bok ogrodu *ad* nr. 1995 (ul. Czujna). Dworek z podwórkiem szpitala św. Ducha. Szerokość ul. Czujnej (25 ł.). Dworek pod górą stojący Rozickiego. Druga strona tejże ulicy, od muru Pólkowskiego zaczynając. Mur od ogrodu i podwórza z wjazdem do dworku „Pólków“ zwanego. Reszta tej

ulicy łądy nadwiślane, bez żadnego zabudowania“.

Już z opisu powyższego widać: jakim cichem, romantycznym, drzew, cienia i samotności pełnem ustroniem, była wówczas ta ulica. Pozostała taką i później. Aleksander Weinert, pisząc w jednym ze starych kalendarzy Jaworskiego „O lasach w obrębie Warszawy“, zamieszcza tam epizodycznie następne wspomnienie osobiste, sięgające pierwszych lat w. XIX:

... „Przebiegając ogrody najpiękniejsze, niegdyś posiadane przez bankierów Kabryta, Blanka, Łyszkiewicza, Rafałowicza, przy ulicach *Fawory*, *Żytnej*, *Śmiałej*, *Bitnej*, widziałem jeszcze wówczas w ich obrębie kilkowiekowe dęby, sosny, modrzewie i tym podobne drzewa wysokopiennie. Nigdy nie zapomnę owej chwili, gdy, ubiegając się za motylem przy końcu ulicy *Fraszki*, gdzie przy samym okopie stał pałacyk murowany, opuszczony, przy ujściu rzeczki Drzasny do Wisły, wpadłem pewnego poranka do ogrodu dzikiego, mającego w kwadrat przeszło 30 łokci obszaru i gęsto zarosłego. Pałacyk ten był niegdyś dworem wsi Pólków — oznaczony jeszcze na planikach przy taryfie Glücksberga z r. 1829. Bezludny dom dwupiętrowy, gęstość wysokich drzew wysokopiennych, żadnego głosu ludzkiego ani osoby na ulicy pastej, grobowa ci-

sza w gęstym lasku tak silnie na mnie oddziały, że, sądząc, iż wpadłem do jakiegoś ostępu rozbójniczego, drżąc z przestachu, szeptać zacząłem: *Kto się w opiekę...* Wrażenie było tak silne, że na całe życie utkwiło w mej pamięci! I te szczątki lasu dawnego w obrębie okopowym miasta wycięte zostały, kiedy to całe terytorium od roku 1833, na Cytadelę stopniowo zajmowano“.

Głęboka. Należała do tejże grupy, co dwie poprzednie. Biegła prostopadle do Wisły, od Przyryнку. Obejmowała, prócz placów pustych, trzy posesye (nr. 1933 do 1935); między nimi jeden dom murowany, będący własnością Łapińskiego, później Makowieckiego.

Na rogu Głębokiej i Przyryńku wznosił się obszerny gmach, należący niegdyś do Potockich (później do Szalborskiego), w którym mieściła się loża wolnomularska. Lud warszawski nazywał ów gmach: „pałac Lucyperra“. Przeniesiono doń później (w roku 1817) szpital św. Ducha, najstarszy ze szpitali warszawskich (nie trzeba go łączyć z dzisiejszym szpitalem Ś. Ducha przy ulicy Elektoralnej). Całkowita nazwa tej instytucyi, raczej filantropijnej, niż leczniczej, brzmiała: „Szpital Sióstr Miłosierdzia św. Ducha, Panien Marcinkanek“.

* Ulica Głęboka pozyskała literacką, jeśli nie nieśmiertelność, to przynajmniej popular-

ność, dzięki Włodzimierzowi Wolskiemu, który napisał powieść p. t. „Domek przy ulicy Głębokiej“.

Grodzka. Ta ulica, jakkolwiek tałająca się jeszcze po taryfach, oddawna już w rzeczywistości nie istnieje. Dwa numery przy niej wymienione (jeden z nich służy dawnemu pałacowi „pod Blachą) możnaby łatwo przenieść na inne ulice, lub też do innych numerów przyłączyć.

Ulicę Grodzką można było nazywać „ulicą“ w wieku XVI, nawet jeszcze w XVII, gdyż wówczas była z obu stron zabudowana dworami i dworkami, których część ustąpiła później miejsca pawilonom rozszerzającego się Zamku, a część została zajęta na użytek dwóch żeńskich klasztorów: „Wdów i Sierot“ oraz „Bernardynek“.

Aż do roku 1643, w którym Władysław IV otworzył przejazd z Zamku królewskiego na Przedmieście Krakowskie, oczyściwszy plac dokoła kolumny swego ojca, ulica Grodzka stanowiła jedyną wewnątrz murów komunikację pomiędzy Zamkiem i Wisłą.

Jeszcze w r. 1669 wymieniano przy tej ulicy kilkanaście domów, nazywając ją także: *Zamkowa*, choć nazwa ostatnia oznaczała zarazem jedną połąć (prawą, idąc od Zamku w stronę Starego miasta) Świętojańskiej.

Z latami i rozmiar i znaczenie ulicy Grodzkiej malały. W końcu w. XVIII zapisywano przy niej już tylko trzy posesye: nr. 363 (kam. Rafałowicza), 364 (pałac „pod Blachą“) i 365 (kam. króla Stanisława Poniatowskiego).

W taryfach późniejszych te trzy numery są określone inaczej: nr. 363 — plac, na którym stoi kolumna Zygmunta, nr. 664 — pałac „pod Blachą“ (w r. 1844: „pałac rządowy, Dyżurstwo Główne, Kancelarya Dyplomatyczna“), nr. 365 — kamienica „Banku Polskiego“.

Gwardyi. Piękna, długa i szeroka ulica, zajęta pod Cytadelę. Biegła w pobliżu Wisły, równoległe do niej, załamując się w jednym tylko miejscu pod kątem rozwartym. Wychodziła z Zakroczymskiej, kończyła się przy Bitnej.

Ulica Gwardyi, wysadzona po obu stronach drzewami, posiadała wyjątkowo bruk, którego potrzebę usprawiedliwiał wielki panujący tu ruch pieszy i kołowy. Tędy szło się i jechało do koszar Gwardyjskich, do kościoła i cmentarza Świętokrzyskiego i do rozgłośnego Konwiktu księży Pijarów.

Wspomniany kościół, zwany „Świętego Krzyża w Polu“, albo „Gwardyacki“ był zapisany pod nr. 1975. Otaczał go cmentarz grzebalny, na którym od czasów bardzo dawnych chowano zmarłych na cholere i po-

wietrze morowe. Zakład wychowawczy Pijarów, zwany „Żoliborz“ (*Joli bord*) posiadał wspaniałe czoło od ulicy, obejmując zarazem całe zbocze płaskowzgórza, wiodącego ku Wiśle a także piękne i rozległe ogrody.

Do tej posiadłości olbrzymiej, liczącej 657 łokei kor. długości od ulicy, dotykał duży również pałac „z oficynami i dwoma wjazdami“ pułkownika Geraulta.

Karpia. Mała uliczka, która, zgodnie ze swem rybiem mianem, leżała przy samej rzece, stanowiąc przejście z Solea do Wisły. Znajdował się przy niej tylko jeden numer hipoteczny 2960. Ten numer rozdzielony później został na dwa: *A* i *B*, z których pierwszy tylko dotrwał do naszych czasów i jest zapisywany przy ulicy Solec.

Z „Taryfy Łokciowego“ dowiadujemy się, że uliczka Karpia miała szerokości 15 łokei kor. Pod nr. 2969 stały wówczas dwa dworki Ożarowskiego, kasztelana wojnickiego; drugą zaś jej stronę stanowił bok nr. 2961 („dworek z ogrodem i parkanem“) na Soleu.

Około r. 1830, pod nr. 2960 znajdują się „Koszary wojskowe“, a pod 2961 — plac pusty. W roku 1844 jest zabudowany tylko nr. 2960 *A* („kamienica braci Eichmüllerów“), a tenże numer z literą *B* oraz nr. 2961 są puste. Pozostało tak dotąd.

Klimowa. Przekazana, która przed r. 1832 łączyła Przyrynek z Rybakami. Dziś na jej miejscu plac pusty, oddzielający miasto od Cytadeli. Klimowa biegła równolegle do Głębokiej, Zakątnej, Dominikańskiej. Pozbawiona bruku, zabudowana rzadko, wyłącznie małymi, drewnianymi domkami, mało przedstawiała podobieństwa do właściwej miejskiej ulicy.

Taryfy z końca w. XVIII mówią o niej: „*Ulica* czyli *droga* Klimowa, kosztem dziecica utworzona, zatem prywatna“. W roku 1784 stały przy niej dworki Kopeczyńskiej, Kaeperskiego, Witkowskiego, Siennickiego, Kaczkowskiego, Kruchowskiego, Nowakowskiego i Czwarowskiego. Bezpośrednio przed skasowaniem, nie tylko nie posiadała ani jednego murowanego domu, lecz nawet liczba zapisywanych przy niej posesyj zmniejszyła się do pięciu.

Nazwisko tej ulicy pochodziło od wójta jurydyki Radziwiłłowskiej Klima, który ongi miał tu swą rezydencję.

Kokosza. Niezwykle jej dzieje autor niniejszego opisał kiedyś przy innej sposobności. Ten opis powtarza tu w skróceniu.

Uliczka Kokosza, całkowicie dziś przez warszawian zapomniana, leżała pomiędzy Rynkiem Nowego Miasta i Wisłą. Nie była ani długa, ani szeroka. Początek jej znaj-

dował się między posesyami nr. 1881 i 1877, koniec—przy posesyach nr. 2578 i 2579. Tworzyła linię łamaną, przecinała „Rybitwę“ (dzisiejsze Rybaki), biegła następnie w kierunku równoległym do Wisły.

Losy tej uliczki były dziwne, prawie fantastyczne. Pewnego razu (daty dokładnej nikt nie zna; jak się zdaje stało się to w w. XVIII) uliczka Kokosza zginęła. Uliczka rzeczywista, miastu całemu znana, dokładnie wymierzona, ni stąd, ni zowąd, przepadła, ulotniła się—przez czas długi nawet ślad jej odszukać się nie dawał...

W lat kilkadziesiąt po tym wypadku, wykryto rzecz dziwniejszą jeszcze: część uliczki Kokoszej, obejmująca przestrzeni 134 łokci kwadratowych, została... skradziona.

Zdawałoby się, że po tych dwóch dziwach nie będzie już miejsca na trzeci, tymczasem on się znalazł i przewyższył jeszcze dwa poprzednie.

Kiedy w r. 1829 generał wojsk polskich, Koriot, wydał swój wielki, piękny plan Warszawy, zagubiona uliczka Kokosza znalazła się na nim, ale... w odległości dwóch wiorst blisko od miejsca, gdzie poprzednio się znajdowała. Nazywa się tam *Kokosia* i mieści się pomiędzy Browarną i Dobrą, tworząc linię prawie prostopadłą do każdej z nich a zarazem i do Wisły. Ta strona miasta była

wówczas słabo zabudowana, kierunek uliczki wytknięto pomiędzy pustymi placami: nr. 2735, 2737, 2734 *A* i 2735 *B*.

Co było powodem tych osobliwych przenosin? Weinert przypuszcza, że podstęp i zła wola osób interesowanych, które rozmyślnie wprowadziły w błąd Koriota. Tym osobom chodziło o zatarcie śladów nadażycia, którego się dopuściły podczas zamieszek, panujących w kraju i w jego stolicy. W istocie, sprawa przypominała podrzucenie skradzionego woreczka, w którym pozostawiono bezużyteczne papiery, zabrawszy wpierw gotówkę.

Trudny jest do pojęcia błąd Koriota, ale trudniejsze jeszcze: zachowanie się wobec niego miasta. Nietylko nie znalazł się nikt, kto-by przeciw fałszowi założył opozycję, ale, co dziwniejsze: fałsz, dzięki niezaprzeczonemu przez długie lata istnieniu, nabrał powagi i znaczenia prawdy. W r. 1852 inżynier miasta Świątkowski, wydając obszerną taryfę miasta z planami, wymiar każdej posesyi okazującymi, uliczkę Kokoszą na tem samem miejscu, co i Koriot, oznaczył...

Wobec dwojga takich świadectw publicznych, miasto, obdarowane nową ulicą, przyjęło fakt spełniony, bliższej krytyce go nie poddając.

Nie mogła jednak postąpić tak samo stro-

na przeciwna, której kosztem darowizny dokonano...

Traf zdarzył (a może nie traf, lecz bardzo dowcipne wyrachowanie?), że uliczka Kosza, odbywając podróż fantastyczną z północnych krańców miasta do jego środka, upadła na grunta, należące do Panien Wizytek. Panny Wizytki ani zaprotestowały przeciw nadużyciu, ani go nawet dostrzegły. Na planach istniała uliczka „Kokosia“, należąca do miasta; w przekonaniu zakonnie był to plac pusty, należący do nich. Byłoby to trwało Bóg wie dokąd, gdyby nie zaszła okoliczność, przy której interesy obu stron starły się ze sobą.

Około r. 1856, Panny Kanoniczki postanawiają swe place nad Wisłą sprzedać na prawie emfiteutyicznym, czyli w wieczystą dzierżawę wypuścić. Akt dochodzi do skutku, nie spotkawszy się z nieczyją opozycją. Ale gdy w r. 1853 nowonabywey otaczają nabytą własność parkanem, zagradzając i ową mniemaną uliczkę, będącą właściwie ich własnym, prywatnym przejazdem do Wisły, komisarz administracyjny, opierając się na powadze Koriota i Świątkowskiego, podnosi gwałt i występuje przeciw „zaborowi“. Pachołkowie miejsce rozrzucają parkan a właściciele placów ciągnieni są przed *forum* sądowe. Zkołei, ci ostatni zwracają się z uzaleniem do zakonnie.

Ze swej strony i magistrat nie ma spokoju. Zaprzeczać dobrej wierze Panien Wizytek nie śmie... Są wprawdzie dowody czarno na białem przeciw nim, ale są też czarno na białem za nimi. Prócz tego słyszeć się dają głosy sędziwych mieszczan, słuszność klasztorowi przyznające. Jak z tego wybrnąć?

Położenie było rzeczywiście kłopotliwe. Z jednej trudności rodziła się druga. Jeżeli uliczka Kokosza nie jest uliczką Kokoszą, to, gdzie znajduje się uliczka Kokosza? Byłaby to pasta nazwa bez treści?..

Jęła przeto jedna strona i druga wertować stare akty, uczyć się na gwałt historii swego miasta. Jakoż ta historia przybyła im wkrótce na pomoc, a przedstawicielem jej i rzecznikiem stał się: Aleksander Weinert, konserwator aktów dawnych i dziejopis Warszawy. On to, odsuwając na stronę wszystkie taryfy drukowane oraz wszystkie urzędowe i nieurzędowe plany miasta z w. XIX, sięgnął do rękopiśmiennej „Taryfy Łokciowego“ z r. 1784, której oryginał znajduje się w archiwum magistrackim (w pracy niniejszej często się na tę taryfę powołujemy), i tam, przy opisie posesyi 2577, znalazł co następuje:

„Po zakończeniu ulicy Rybaki, urząd zjazdowy, znajdując na boku tejże ulicy ścianki czyli uliczkę teraz nazwaną *Kokosza*, a przy

niej domy niektóre, do innych ulic publicznych nie dotykające, przez wzgląd ciasności tejże uliczki, do przejazdu przez żaden sposób niezdatnej, do przemiara tylko frontów posesyi, tejże uliczki *Kokoszej* dotykających, jako to nr. 2378 i t. d. przystępuje“.

Dowód był jasny i wystarczający. Uliczkę *Kokoszą* przeniesiono na miejsce właściwe, i oddano klasztorowi, co było klasztorne.

Dodajmy na zakończenie, że uliczka *Kokosza* otrzymała swą nazwę nie od kur, lecz od zamożnego rybaka nazwiskiem *Kokosz*, który grunty swe tak bardzo rozszerzył i zabudował, że utworzyła się stąd uliczka.

Koszary. Inaczej: *Przejazd przez Koszary*, lub poprostu: *Przejazd*. Mała uliczka poza *Koszarami Gwardyi*, rodzaj wąwozu, brzegiem *Wisły* biegnącego od *Czujnej* do *Okopów*.

Przy tej uliczce były zapisywane tylko dwa numery: 2006 i 2007.

„Taryfa *Łokeiowego*“, prócz placów pustych, tyłów i boków przyległych posesyj oraz ogrodów i oficyn, wymienia tu: dwa „plac na masztrę“ i „siedem pawilonów dla *Gwardyi Koronnej ad* nr. 2009“.

We wszystkich taryfach, drukowanych od roku 1832 włącznie, uliczka „*Koszary*“ jest wymieniana jako posiadająca dwa numery hipoteczne, będące w posiadaniu prywatnych właścicieli. W taryfie z roku 1844 spotykamy ją

również, zapisano wszakże przyniej aż trzydzieści cztery numery: od 2006 do 2031 (kilka podwójnych). Przy pierwszych dwóch numerach, w połączeniu z trzema następnymi (2008, 2009*a* i 2009*b*) są wskazane „Koszary Aleksandrowskie, dawniej Koszary Gwardyi zwane“. Reszta numerów obejmuje „Place Miasta Warszawy, zajęte na Cytadeli Aleksandrowską“.

Koszary Mirowskie. Wymienione jako oddzielna ulica jedynie w rękopiśmiennej taryfie z końca wieku XVIII. Posiadają jeden tylko numer hipoteczny 934 (dziś Halle Targowe). Szczegółowy opis tej uliczki brzmi:

„Ulica Koszary Mirowskie, nr. 934. Koszary. Pawilonów, po prawej ręce od Woli, osiem. Zawierają łokci $810\frac{1}{4}$. Odtrąciwszy na ulicę *Ciepła* zwaną, przy najbliższym pawilonie 15 ł. 3 c., reszty rozległości Koszar zostaje 794 ł. 2 c. Szerokość ulicy Koszary Mirowskie 38 ł. 1 c. Z drugiej strony pawilonów sześć obejmują 810 ł. 1 c. W tyle koszar uliczka ma się zwać *Zatyłki*“.

Kręta. Mały, krzywy przesmyk, biorący początek z ulicy Zakroczymskiej, następnie niknący między zabudowaniami przy „drodze“ Dominikańskiej.

Zapisywano przy tej uliczce osiem posesyj (nr. 1951 do 1958), O.O. Paulini warszawscy mieli tu dwa dworki oraz cegielnię.

W Taryfie Łokciowego zaznaczono: „Ulicz-

ka Kręta, tak jak Klimowa i Dominikańska, prywatną jest“.

Krótką. Jedną z najpiękniejszych rzeczy w Warszawie jest ta strona Przedmieścia Krakowskiego, która pomiędzy Trębacką a Placem Zamkowym zakreśla wspaniałą, szeroko i łagodnie wyginający się łuk, zabudowany wązkimi, różnej wysokości i różnego wyglądu domami. Ten łuk tworzy dziś linię jednolitą, nie tworzył jej wszakże dawniej. Prawie w samym środku przerywała tę linię mała uliczka „Krótką“.

Właściwie było to tylko przejście między dwiema kamienicami (nr. 439 i 440), prowadzące na ulicę Kozią. Około roku 1870 aptekarz Szejner, nabywszy posesyę nr. 439, wraz z należną do niej uliczką (była zatem prywatną, i jako taka, nie posiadała oświetlenia gazowego oraz innych miejskich porządków), na całej przestrzeni wybudował istniejącą tam dziś kamienicę. Przyczyniło się to zarówno do piękności, jak do higieny i porządku miasta, uliczka bowiem Krótką była stekiem wszelkiego rodzaju nieczystości. Nazywano ją też w gwarze warszawskiej mianem, które w druku powtórzyć się nie da.

O ulicy Krótkiej znaleźliśmy nader znamienny artykuł w *Kurjerze Warszawskim* z r. 1824 (nr. 254 z dn. 25 października).

„Między Przedmieściem Krakowskim

a ulicą Kozią jest uliczka zwana *Krótką*, między ścianami dwóch domów, zwykle w czasie słoty błotnista i trudna dla piechoty do przebycia. W zeszłym tygodniu, w dniu słotnym, spotkali się na niej *Elegant* modnie ubrany i jakiś *Chudy pachol*. Aby jeden z nich sucho przeszedł, trzeba było koniecznie, żeby drugi wstąpił w błoto. — No, któż komu ustąpi? — zawołał *Elegant*.—Zważając na pański piękny ubiór—rzecze *Chudy pachol*—mniemać można, że pan jesteś panem, a zatem ja ustąpić mu powinienem, lecz pan masz bezwątpienia służącego, który ma buty wychędoży, a ja, przyznam się szczerze, nie mam za co nawet kupić *szuwaksu*, a chciałbym się teraz pokazać czysto w miejscu, gdzie spodziewam się zjeść od dawna oczekiwany obiadek.—*Elegant* uznał tę rację za zupełnie przekonywającą i wlaź w błoto, aby ustąpić głodnemu biedakowi“.

Krzywokolna. Nie wymienia tej ulicy żadna z taryf drukowanych. W taryfie, wydanej przez J. Glücksberga w r. 1832, w wydrukowanej na okładce „Wiadomości o dawnych ulicach, wypisanej z Akt Urzędu Muncypalnego M. S. W. (Miasta Starej Warszawy), zamieszczono „Krzywokolną“ z tem krótkim objaśnieniem: „gdzie teraz są numery 941, 942 i 943“.

W najpierwszej z drukowanych taryf („Taryfa Miasta Warszawy do składki na koszary

i t. d. w r. 1784 ułożona“), która, dodajmy, jest w rzeczywistości o dziesięć lat od daty na tytule wskazanej, późniejsza—trzy wymienione numery zapisano przy ulicy „Zatyłki“. Był to błąd, którego źródła szukać należy w powszechnem a nas niedbalstwie i w prywatnej złej woli. Na nieszczęście, ten błąd przedostał się do taryf następnych i powtarzano go bezkrytycznie przez czas długi. Co gorsza, wniesiono ten błąd i na plany miasta—nie bacząc, że najlepszy z nich, w r. 1762 przez pułkownika Ricaud de Tirregaille wykonany, dokładnie wskazywał i nazwisko i położenie ulicy „Krzywokolnej“, istniejącej niezależnie od ulicy „Zatyłki“.

Podług Weinerta, Krzywokolna miała początek przy dzisiejszej Zimnej, między posesjami nr. 946 i 947, gdzie znajdował się wówczas plac trójkątny (z podstawą 108 a wysokością 120 łokci koronnych). Biegła od wschodu na zachód, równoległe do Koszar Mirowskich. Tworząc w drugiej połowie łuk, wyginający się ku północy, kończyła się w kierunku ukośnym przy Elektorальной, między posesjami nr. 786 i 787. Miała szerokości około 12 łokci dzisiejszych, długości 352 łokci koronnych, czyli dzisiejszych 363, cali 21.

Opisała tę ulicę dokładnie „Taryfa Łokciowego“. Oto ten opis, który wiele spornych punktów wyjaśnia i wiele powikłań rozwiązuje:

Ulica Krzywokolna. Bok placu *ad* nr. 490 w kwestyi między Chołocińskim będącego, do dworka Chołocińskiego (ł. 38 c. 2). Nr. 941. Dworek Chołocińskiego z załamkiem przy ulicy Krzywokolnej (ł. 69 c. 2). Bok kamienicy szl. (szlachtetnej) Koberlej *ad* nr. 786 (ul. Elektoralna — ł. 59 c. 1). Druga strona ulicy Krzywokolnej. Bok kamienicy i dworku z dwoma wjazdami J. W. Górskiego, chorążego, *ad* nr. 787 (ł. 110). Parkan Wojnickiego w załamku *ad* 788 (ł. 8). Wjazd do dworku Jana Jerzego Hempla *ad* nr. 789 (ł. 8 c. 2). Nr. 942. Dworek drewniany Gabryela Petza, rzeźnika, (ł. 22 c. 5). Nr. 843. Dworek drewniany Pawła Andrzejewskiego (ł. 21). Lazaret Gwardyi Konnej Koronnej *ad* nr. 934 (Koszary Mirowskie—ł. 32 c. 3).

Ulica Krzywokolna należała do jurydyki „Wielopole“, utworzonej w r. 1693 (bliższa o niej wiadomość w pierwszej części tej pracy). Na własność miasta przeszła dopiero w połowie w. XVIII, wraz z całą jurydyką.

Na wspomnianym planie Tirregaille'a dochowała się pamiątka dużego, osobliwego budynku, niby wieży lub bramy obronnej, który wznosił się w pierwszej połowie w. XVIII pomiędzy pierwszym pawilonem Koszar Mirowskich (po prawej ręce, idąc od ogrodu Saskiego) a ulicą Krzywokolną.

Badynek był marmurowy, miał kształt kwa-

drata, z bokami na 50 łokei koronnych długimi. Na każdym z jego rogów wznosiła się wystająca, również kwadratowa wieża, której boki liczyły po 25 łokei kor.

Cały wygląd budynku wskazywał wyraźnie jego znaczenie fortyfikacyjne.

Z jakich czasów ten budynek pochodził? czy był współczesny Koszarom, czy też sięgał epoki dawniejszej? — pytania dotąd nie rozwiązane.

W historyi Warszawy pytań takich nie braknie.

Mała. Przejście pomiędzy domami z Przedmieścia Krakowskiego na Bednarską—istniejące tylko do drugiej połowy w. XVIII.

Uliczkę „Małą“ wspomina tylko taryfa rękopiśmienna, z której możemy wyrobić sobie dokładne o jej położeniu pojęcie. Czytamy tam co następuje:

„*Ulica Mała*, zaczynając od Przedmieścia Krakowskiego. Bok kamienicy *ad* nr. 371 (Przedm. Krakowskie, kamienica pani Lalie). Szerokość ul. Bednarskiej (ł. 10 c. 3). Druga strona ul. Małej, zaczynając od Bednarskiej. Bok klasztoru Panien Karmelitek *ad* nr. 370 (ł. 58)“.

W tejże taryfie zapisano, że szerokość uliczki Małej wynosiła 8 łokei koronnych.

Mniej świadomym dziejów naszego miasta przypominamy, że na miejscu klasztoru

PP. Karmelitek wznosi się dziś gmach Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności.

Myślonicka. Jedna z ulic, a właściwie „dróg“ przy Łazienkach Królewskich, czy też w ich obrębie.

Wymieniona razem z „Pałacową“ i „Chińską“ w Obwieszczeniu Komisji Wojewódzkiej z r. 1828.

Mysia v. Mysza. Łączyła Nowy - Świat z Bracką, mniej więcej w tem miejscu, gdzie dziś gmach rządowy, zajmowany przez Zarząd komunikacyi.

Jeden tylko numer hipoteczny: 1609 znajdował się przy tej uliczce, która biegła pomiędzy dwiema posesyami: nr. 1269 i 1270 na Nowym Świecie. Owym jedynym posesyonatem, przy ulicy Mysiej wymienianym, był przez długie lata niejaki Hasselbek.

Dzieje tej uliczki są ściśle związane z dziejami posesyi nr. 1269, do której ona przylegała. Był to „pałac“, najpierw Mniszków, następnie Opalińskich, wreszcie Piaskowskich. W początkach wieku zeszłego, ten pałac, przez ostatniego właściciela zaniedbany, znajdował się prawie w ruinie. W r. 1818 nabył go i do pewnego porządku doprowadził Mateusz Zrazowski. Odnowiony gmach w ręku jego długo nie pozostawał: kupił go rząd, rozrzucił i wznosił na tem miejscu gmach, mieszczący dziś w sobie Zarząd komunikacyi

lądowych i wodnych. We dwa lata później, przeszły na własność rządu: i uliczka i stojący przy niej dworek. Dworek rozebrano, uliczkę zamknięto. Stała tu jedna z oficyn gmachu rządowego.

Uliczka Mysia miała zaledwie 9 łokci kor. szerokości.

Naprawa. Mała uliczka na krańcach Soleca, biegnąca od tej ulicy do Wisły. „Taryfa Łokciowego”—jedyna, która „Naprawę” z nazwiska wymienia—pisze o niej:

„*Ulica Naprawa*, zaczynając od ulicy Solec. Bok magazynu *ad* nr. 1655 (na Solecu, „magazyn z wjazdem księcia de Nassau”). Druga strona ul. Naprawa, zaczynając od Wisły. Bok Magazynu *ad* nr. 2936 (Solec, „magazyn ze stacją i wozownią Ossolińskiego, wojewody Podlaskiego”). Szerokość ulicy Solec (ł. 48 c. 2).

Szerokość uliczki „Naprawa” wynosiła ł. 11 c. 2.

Ostrożna. Niewielka uliczka w okolicy Pawiej, w sąsiedztwie więzienia zwanego „Pawiak”.

Wymieniona dopiero w taryfie z r. 1844, z objaśnieniem, że na nią wychodzą boki posesyj nr. 2351, 2360 i 2361.

O tej uliczce pisze Sobieszezański:

„*Ulica Ostrożna*, w r. 1835 otworzona,

od sąsiedztwa domu więźniów, których strzedz się wypada, nazwisko swoje otrzymała“.

Owcz. Rozrzucona przy budowie Cyta-
deli. Była jedną z przecznic, łączących Za-
kroczymską z Przyrynkem. Prócz ogrodów,
znajdowała się przy niej w wieku XVIII tylko
jedna kamienica (Onufrego Fontany).

Opis jej w „Taryfie Łokciowego“ nastę-
pujący:

„*Ulica Owcza*, zaczynając od Zakroczym-
skiej. Bok kamienicy, stajen i parkanu *ad*
nr. 1831 (ulica Zakroczymska dom Krauza.
Nr. 1868. Dworek z wjazdem Smolińskiego.
Szerokość ulicy Przyrynek (ł. 18 c. 2). Druga
strona Owcezej. Bok dworku *ad* nr. 1907 (Przy-
rynek, dworek Marcinkiewiczowej). Nr. 1869
Wjazd do dworu Raczkowskiego. Wjazd do
dworu *ad* nr. 1832. Bok dworu i parkan od
ogrodu *ad* nr. 1832. Szerokość ulicy Zakro-
czymskiej (ł. 26 c. 2)“.

Ulica Owcz. miała szerokości ł. 12 c. 2.

Pałacowa. (Porównaj „Myślenieka“).

Plac Marywilski. Część dzisiejszego pla-
ca Teatralnego, bliższa ulicy Bielańskiej.

W początkach w. XIX należał do placów
targowych.

Już po rozebraniu Marywila i wzniesie-
niu gmachu teatralnego, nazwa: „plac Mary-
wilski“ utrzymywała się nie tylko w języku po-
tocznym, lecz i w aktach urzędowych i w dru-

ku. Wymienia ją między innymi „Kalendarzyk Informacyjny“ na rok 1838.

Plac pod Lwem. Nieistniejący dziś przy ulicy Chłodnej (róg Żelaznej). Z nazwą można było jeszcze spotykać się w ostatnich latach wieku zeszłego.

Plac Oranżerji. W obrębie Łazienek Królewskich. Wspominany w aktach i obwieszczeniach magistrackich z pierwszej połowy wieku XIX.

Podgórze. Wzmiankę o tej ulicy znajdujemy w „Rewizyi Gospód“ z r. 1669. Po opisie szpitala Ś. Łazarza (przy ulicy Mostowej) czytamy tam:

„Poczyzna się ulica *Rybitwia* (Rybaki) y *Podgorze*, począwszy od Przewozu, gdzie *ante* Spiklerze bywały“.

Zapewne było to wązkie, spadziste i zygzakowate przejście w rodzaju „Kamiennych Schodków“ i „Kościelnej“, biorące początek przy ulicy Freta, lub też w Rynku Nowego Miasta. A może oznaczano tem mianem całe zbocze płaskowzgórza warszawskiego, pełne w tem miejscu małych domków i ogrodów.

Półkowska. Pisano ją zwykle „Pulkowska“. Była bardziej wysunięta na północ i najbliższa wałów podmiejskich. Po roku 1832 zajęta pod Cytadelę.

Nazwisko brała od wsi Półków, leżącej zaraz za wałami,

W pobliżu tej ulicy, nad samą Wisłą, znajdowała się „Góra Pólkowska“, albo inaczej „Góra Szubieniczna“, na której w dawnych wiekach stała szubienica murowana.

Przy ulicy Pólkowskiej istniał pierwszy w naszym mieście cmentarz Ewangelicki, oznaczony jeszcze na planie Bacha z r. 1808.

Mało tu było domów mieszkalnych. Z pięciu, zapisywanych przy tej ulicy posesyj, dwie były około r. 1784 dworkami drewnianymi (Wiśniewskiego i Wagnéra) jedna „kamieniczką“ (Klimkiewicza). Pod nr. 2004 stał „browar murowany i suszarnia Wagnera“, a pod nr. 2001 była zapisana: „Góra z dworkiem Sztetnera i *kierkut* (tak) Ewangelicki oparkaniony“.

Już przy końcu w. XVIII cmentarz przy ulicy Pólkowskiej został zamknięty. W taryfach następnych nr. 2001 rozdzielono na dwa: *a* i *b*, i pod pierwszym zapisywano (aż do r. 1832) „plac pusty“, a pod drugim „dawny Cmentarz Ewangelicki“.

W chwili zajmowania ulicy Pólkowskiej pod Cytadelę, wznosiła się przy niej tylko jedna kamienica (Boekhan-Dietricha) i jeden dom drewniany (Feliksa Wagnera).

Taryfa z r. 1844, zamieszczając na liście ulic warszawskich ulicę Pólkowską, choć już *de facto* nieistniejącą, wymienia przy niej, oprócz „placów m. Warszawy, zajętych na Cy-

tadełę Aleksandrowską“ jedną „kamienicę rządową“ (Nr. hip. 2003).

Ulica Pólkowska liczyła 54 łokci koronnych szerokości.

Przeczna. Wymieniona w lastracyi z roku 1364 jako leżąca „poza murami“, w bliskości kościoła i klasztoru OO. Bernardynów.

Przedzamkowa. (Zob. „Grodzka“).

Przejazd albo Przejazd przez Koszary. (Zob. „Koszary“).

Przypawia. Biegła równolegle do Pawiej, biorąc początek przy Dzielnej. Znajdowały się przy niej posesye nr. 2356 i 2357. Zamykała ją stojąca poprzecznie posesya nr. 2355.

Ulica Przypawia jest oznaczona na planikach przy dziełku: „Plan i Obraz Warszawy“ (b. r., około r. 1830).

Przypust. Jedno z przejść, łączących Sołec z pobrzeżem Wisły.

Ta mała uliczka znajdowała się w bezpośrednim sąsiedztwie Karpiej i biegła równolegle do niej. Tak samo jak Karpia nie miała ani jednej własnej posesyi; wychodziły na nią tylko boki domów sąsiednich: nr. 2957 i 2958. „Taryfa Łokciowego“ podaje szerokość uliczki Przypust na ł. 11 c. 3.

Taryfy drukowane wcale tej uliczki nie wymieniają.

Pusta. Mała uliczka w tyłach Zamku Królewskiego. Znajdował się przy niej tylko

numer hipoteczny 2621, dziś zapisywany przy ulicy Garbarskiej.

„Taryfa Łokciowego“ tak tę uliczkę opisuje:

„*Ulica Pusta*, zaczynając od Garbarskiej. Bok dworku *ad* nr. 2612. Nr. 2621: Dworek ze stajniami Najjaśniejszego Pana dla Eskorty. Druga strona ul. Pustej, zaczynając od Wisły. Szopa *ad* nr. 2621. Bok dworku *ad* nr. 2613. Szerokość ul Garbarskiej (ł. 9)“.

W taryfach późniejszych pod nr. 2621 znajdujemy „plac pusty“, a od r. 1832 „Stajnie należące do Zamku“.

Rzeźnicza.—Istniała w w. XVII w okolicach Przedmieścia Krakowskiego i Bednarskiej. Wspomina o niej Adam Jarzębski w swym „Gościńcu“ (r. 1643), opisując dwór Leśniowolskich. Oto jego słowa:

Dwór Ich MM. PP. Leśniowolskich na Rzeźniczej ulicy.

Przeciw tam, za Rzeźnikami,
Różnymi rzemieślnikami,
Przedtym domeczek miewano,
A teraz Dwór zbudowano,
Piękny, przestronny, szeroki,
Udatny, z gankiem, wysoki.
Do niego wejście uliczką
Z Przedmieścia, małą przeczniczką.
Przeciw tejże wrota właśnie
Wydają się oczom jaśnie.

Saska.—Znajdowała się w tyłach ogrodu Saskiego, pomiędzy Graniczną i Królewską. Ponieważ nie posiadała żadnego numeru hipotecznego, więc jej w taryfach drukowanych nie wymieniano. „Taryfa Łokciowego“ tak ją opisuje:

„*Ulica Saska.* Bok kamienicy z parkanem i wjazdem *ad* nr. 971 (ul. Graniczna, dom narożny Zbrodowskiego). Parkan od ogrodu nr. 1077 (ulica Królewska, „wjazd do dworku Pacienburg“). Druga strona ulicy Saskiej, zawracając od Królewskiej. Mur i oficyna od ogrodu *ad* nr. 413 (ogród Saski)“.

Ulica Saska miała 33 łokei kor. szerokości.

Schodki.—Wychodziła z Bocznej ku Wiśle, stanowiąc niejako przedłużenie Grodzkiej.

Nie wymieniano jej w taryfach, gdyż właściwie była tylko przejściem, ułatwiającem przedostanie się (w tyłach pałacu „pod Błachą“, obok stajen czerkieskich) z placu Zamkowego nad Wisłę.

Jeszcze około r. 1880 to przejście istniało i było rzeczywistymi schodkami o bardzo szerokich, brukowanych stopniach.

Skąpa.—Na miejscu tej ulicy rozkłada się dziś plac pusty przed Cytadela.

Początek swój brała ulica Skąpa tam, gdzie kończyła się Zakroczymska (ówczesna Zakroczymska, przeszło dwukrotnie od dzi-

siejszej dłuższa); następnie, wyginając się ku północy, przecinała Przyrynek i dochodziła do Rybaków. Ale w drugiej połowie była pustą, zgoła niezabudowaną drogą.

Sześć numerów przy tej ulicy zapisywano. Były to same domki drewniane. Jeden z nich (nr. 1962) należał do rzeźnika Sierakowskiego, przyjaciela i współtowarzysza Kilińskiego. Ten to Sierakowski, na balu wydanym (w r. 1791) dla mieszczaństwa warszawskiego, miał odezwać się do „pani Krakowskiej“, podając jej mu do pocałowania rękę w rękawiczce: — „Kiliński szewc, niech więc całuje skórę; ja rzeźnik, dobrać się muszę do mięsa...“ I żądał, żeby rękawieczkę zdjęto.

Taryfa z r. 1844 już ulicy Skąpej nie wymienia, a znajdujące się przy niej przedtem numery zapisuje przy ulicy Krętej.

Śmiała.—Biegła równolegle do Wisły, między Tanią a Żyzną, w bliskości Faworów i Koszar Gwardyjskich. Zapewne sąsiedztwo tych ostatnich było powodem nadawania leżącym tam ulicom takich nazw jak „Śmiała“, „Bitna“, „Czujna“ i t. p.

Na ulicy Śmiałej było zaledwie siedem posesyj (nr. 2021 do 2027) — same dworki i ogrody. Szerokość jej wynosiła 25 łokci koronnych.

Spadek.—Zaczynała się zaraz za „Zdrojem Królewskim“ (dotąd istniejącym, w małej

kotlinie, pod samą Cytadelą) i biegła prawie prostopadle do Wisły, obok „Żoliborza“.

Znajdowały się przy tej ulicy tylko cztery numery hipoteczne.

Ulica Spadek tem głównie w dziejach Warszawy pamiętna, że z powodu najłagodniejszej w tem miejscu spadzistości pobrzeża, zbudowano wprost niej w r. 1828 most pływający, na planach współczesnych oznaczany jako „most Nowy“. Ten most długo nie trwał. Rozebrano go już w pięć lat po wystawieniu, w r. 1833.

Z „Taryfy Łokciowego“ dowiadujemy się o jednym jeszcze mniej ważnym, ale ciekawym szczególe. Przy ulicy Spadek, na wyniosłości panującej nad Wisłą, znajdowało się przy końcu wieku XVIII (może i później jeszcze) miejsce przechadzek publicznych. Zwało się: „Góra do spaceru“.

Była to „promenada“ dość rozległa. Dłuższy bok „Góry“ liczył 187, krótszy 86 łokci koronnych.

Widzimy stąd, że już wówczas warszawianie zaczęli pojmować, iż częścią naszej stolicy najpiękniejszą i najbardziej „do spaceru“ nadającą się, jest — Powiśle.

Stary Pocieją. „Pocieją“, istniejący dziś wewnątrz olbrzymiej posesyi pomiędzy Bagnem i Zielną, jest już *trzecim* z rzędu targiem, noszącym to, zgoła przygodne, nazwi-

sko. Pierwszy znajdował się na Senatorskiej (róg dzisiejszego placu Teatralnego); drugi — na Marszałkowskiej (róg dzisiejszego placu Zielonego). „Starym Pocijowem“ nazywano właśnie ten drugi.

Wszystkie trzy „Pocijowy“ były targami wyłącznie żydowskimi, przez zarząd miasta żydom oddanymi. Dzieje ich łączą się ściśle z ogólnymi dziejami ludności żydowskiej w Warszawie i w Polsce. Niema tu miejsca na szczegółowe ich opowiadanie, przytoczymy więc tylko kilka szczegółów, bezpośrednio z przedmiotem naszym związanych.

Warszawa, okazując żydom w początkach (za książąt Mazowieckich) nadmierną gościnność, zapłaciła im za nią później nadmierną nietolerancją. Kupcom żydowskim pobyt w mieście był wzbroniony; musieli płacić t. zw. „biletowe“, to jest: kupować w urzędzie marszałkowskim pozwolenie na każdodzienny pobyt w Warszawie, przyczem byli obowiązani przed zachodem słońca wynosić się z miasta. Ociągających się (a któryż starozakonny nie ociąga się z wypełnieniem urzędowych nakazów!) śladzy marszałkowscy każdego wieczora wyrzucali siłą *extra muros*.

Za Augusta III, gdy marszałkiem wielkim koronnym był słynny rygorzysta, Franciszek Bieliński, żydom stało się już tak daszno, że

za wygraną Warszawie i rozłożyli się obozem pod Warszawą. Ten ich obóz, który był właściwie kolonią handlową, nazywał się „Nowa Jerozolima“, i miał z czasem udzielić swej nazwy przeprowadzonej tamtędy alei.

Warszawa, która żydom cisnącym się do niej broniła przystępu, za uciekającymi przed nią tłumnie pogoniła... Sklepy warszawskie stały pustkami, „Nowa Jerozolima“, przez wszystkie dni w tygodniu, z wyjątkiem soboty, bywała przepełniona.

Ten stan był jeszcze gorszy od dawnego, szkodził prawidłowemu rozwojowi miasta, groził mu częściowo upadkiem. Po namyśle, postanowiono, już za Stanisława Augusta, otworzyć bramy miasta przed Izraelem. „Nowa Jerozolima“ upadła, a właściwie przeniosła się do Warszawy. Rząd jednak, nie chcąc rozstawać się całkowicie z systemem odosobnienia, pozwolił żydom tylko w pewnych punktach miasta mieszkać i handlować.

Wówczas to powstał pierwszy „Pociój“—przy ulicy Senatorskiej.

Istna ironia losu sprawiła, że brudnemu, żydowskiemu targowisku dostało się nazwisko starej, magnackiej rodziny, która z handlem i żydami żadnych bezpośrednich związków nie utrzymywała. Na tem się wszystko ograniczało, że miejsce, gdzie żydów osadzono, było w pierw pałacem Pocięja, który zre-

szą, jeszcze przed tem wydarzeniem sprzedał swą siedzibę, silnie już zrujnowaną, Uruskiemu, szambelanowi króla Stanisława Augusta. Ten ostatni z gruntu ją przebudował, czyniąc z pałacu „bazar“, w kształcie bardzo długiego, jednopiętrowego budynku, mieszczącego od czoła szereg niewielkich sklepów i sklepików, na obszernym zaś dziedzińcu odkryte i przenośne kramy.

Pierwszy „Pociejów“ zajmował dwie posesye, (nr. 476 i 477), na dwóch przeciwległych rogach Senatorskiej i Nowosenatorskiej. Pamiętać trzeba, że dzisiejszego placu Teatralnego wówczas nie było, Nowosenatorska zaś dochodziła aż do pałacu Blanka.

„Taryfa Łokciowego“ nazywa nr. 476 „Oficyny Pociejowskie“, a nr. 477 „Kamienica Uruskiego“. Pomiędzy temi dwiema posesyami zapisuje: „Szerokość ulicy Nowosenatorskiej 23 łok. kor.“.

Żydzi dotrwali na tem stanowisku do początku w. XIX, niewiele dłużej nad lat dwadzieścia. W pierwszych latach zeszłego stulecia bazar rozrzucono, a cała wielka posesya nr. 276 została podzielona na pięć części (*a, b, c, d, e*), na których zaczęto wznosić nowe domy. Dla żydów miejsca już tam nie było. Próbowali przesiedlać się do sąsiedniego Marywila, co jednak trwało krótko. W roku 1809 przenieśli się, a raczej zostali przeniesieni, na

Marszałkowską pod nr. 1404. Nazwisko niewinnej rodziny szlacheckiej poszło za nimi.

Ten nowy Pocijów, zanim stał się z kolei „Starym“, nazywano „Otwocki“ albo w gwaraowej przeróbce ludu warszawskiego—„Hunwocki“.

Gdy ulica Marszałkowska zaczęła podnosić się i stawać pierwszorzędną, brudne, hałaśliwe targowisko nie mogło już być przy niej tolerowane—przeniesiono je zatem w miejsce ustronniejsze, na Bagno.

Nazwa „Stary Pocijów“ przylgnęła do posesyi nr. 1404 i utrzymywała się długo — mniej długo jednak, niż sama posesya, która dopiero około r. 1900 ustąpiła miejsca wielkiej w nowoczesnym stylu kamienicy Hersego.

Sucha. Niewielka uliczka, blisko okopów miejskich, zajęta pod Cytadelę. Leżała pomiędzy ulicami: Kłopot i Zieloną. Znajdowało się przy niej siedem posesyi (nr. 2113 do 2119).

W r. 1784 przy ulicy Suchej stały dworki: Fermińskiego, Wierzbickiego, Grabińskiego, Sznegasa, Rodziewicza, Wojciechowskiego.

Z postępem czasu ta ulica, zamiast rozwijać się, upadała. Taryfa z r. 1832 wymienia przy niej już tylko trzy dworki, przy pozostałych zaś numerach zapisuje „place pasté“.

Dziwić się trzeba: z jakiego powodu nazywano tę ulicę „Sucha“, jest bowiem rzeczą więcej, niż prawdopodobną, że leżała na grun-

cie wilgotnym. W bezpośrednim jej sąsiedztwie znajdowały się liczne stawy i mokradła, będące ostatnią pozostałością po płynącej tu niegdyś rzeczce Drnie v. Drzaśnie.

Szymanowska.—Długa i szeroka ulica, zajęta pod Cytadelę. Biegła w kierunku prostopadłym do Wisły. Zaczynała się przy zbiegu ulic Gwardyi i Fawory, kończyła na krańcach zachodnich miasta, gdzie w w. XVIII było czyste pole, a później ulica Pokorna.

Ulica Szymanowska przecinała ulicę: Zieloną i Kłopot. Łączyła się też z nią ulica Wesoła.

Na tej dużej przestrzeni nie spotykało się nie ani ważnego, ani ciekawego. Nieprzerwanym szeregiem ciągnęły się tu dworki i parkany. Dworki miały wygląd albo zgoła sielski, albo małomiasteczkowy; z ponad parkanów wychylały się niezbyt wysokie grusze, jabłonie i inne drzewa owocowe, przemieszane z czeremchą i krzakami bżowymi. W dalekiej perspektywie widziało się pole kłosiste oraz, nakształt jakiegoś Don Kichotowego hufca, liczne, obracające się wiatraki. Piały koguty, gdakały kury, hałasowały dzieci — z otwartych, doniezkami zastawionych okien czujne gospodynie nawoływały razem: dzieci i kury. Głosów nie zagłuszał tarkot kół, ulica bowiem nie była brukowana. Z żalem się myśli, że już dziś takich ulic w Warszawie niema...

Wśród dwadziestu sześciu posesyj (nr. 2033 do 2058) zapisywanych przy ulicy Szymanowskiej, w wieku XVIII znajdowała się tylko jedna kamienica (Cyzartowicza v. Ciężartowicza). Niewiele zmienił się ten stan do roku 1832, w którym liczone tam kamienie—cztery.

Tania. Prostopadła do Wisły. Wychodząc z Faworów, wprost kościołka „Gwardyackiego“ (Ś. Krzyża w Polu), kończyła się przy Zielonej, wprost Żółwiej. Doznała losu wszystkich trzech wymienionych ulic.

W „Taryfie Łokciowego“ tak opisana:

„*Ulica Tania.* Bok dworu, stajen i parkanu *ad* nr. 1992 (Fawory). Szerokość ulicy Śmiałej (ł. 22 c. 1). Bok dworu z wjazdem i parkanem *ad* nr. 2069 (Śmiała). Szerokość ul. Zielonej (ł. 23). Druga strona ul. Taniej. Bok dworku ze stajniami i ogrodem *ad* nr. 2068 (Zielona). Nr. 2028 do 2523. Dworki: Mioduszewskiego, Wichmana, Kornackiego, Jarosiewicza, Fetterego. Szerokość ul. Fawory ł. 21 c. 3“.

Na planie Bacha z r. 1808, widzimy ulicę Tanią, przedłużoną od Faworów do ul. Gwardyi. To przedłużenie idzie obok kościołka i cmentarza Gwardyackiego. Na planach późniejszych już go nie spotykamy.

Szerokość ulicy Taniej wynosiła ł. 24 c. 2.

Tytuniowa. Szła od rogatek Stawczyńskich, (Powązkowskich) do ulicy Pokornej,

a właściwie do znajdującej się tam, pod nr. 2218, fabryki tabaczej. Fabryka mieściła się w zabudowaniach Domu Poprawy zwanego „Cakhaus“ (Cuehthaus).

Przez tę ulicę wożono (w drugiej połowie w. XVIII) tytoń do fabryki, i stąd poszła jej nazwa.

W zabudowaniach Cuehthausu i Fabryki Tabaczej mieściły się później Koszary Piechoty.

Ulica bez nazwiska (I). Wraz z niektórymi dawnymi ulicami Warszawy, zatarła się i bez śladu zginęła ich nazwa. Dwie z takich podwójnie zaginionych ulic wydzieramy w tem miejscu zapomnienia, nie mogąc zaś odnaleźć ich nazwy, oznaczamy przynajmniej położenie.

„Uliczka bez nazwiska nr. I“ znajdowała się w tyłach kamienic Krzywego-Koła (nr. 190, 191, 192 i t. d.), pomiędzy nimi a murem obronnym. Prawdopodobnie była to część „między murza“ (*intermoenia*). Szerokość jej wynosiła 6 łokci koronnych.

Przy końcu w. XVII właściciele domów przyległych zajęli częściowo tę uliczkę i do posesyj swych wcielili.

Magistrat, już po upływie dłuższego czasu po dokonanej gwałcie, upominał się o swą własność, lecz sprawa, leniwie prowadzona, poszła w odwłokę i grabieżcy przy zabranych gruntach utrzymali się.

Ulica bez nazwiska (II). Dziwią się obcy i swoi: dlaczego najwspanialsza ze świątyń warszawskich, Katedra Ś. Jana, w ciasną uliczkę wepchnięta, dla braku dość obszernego przed nią placu lub takiejże ulicy, znikąd nie da się objąć wzrokiem w całości? Po źdźwieniu, przychodzi kolej na projekty, mające na celu zaradzenie złemu i naprawienie błędu, przez ojców i dziadów spełnionego. Estetycy „śmielszej natury“ doradzają, żeby dla odsłonięcia widoku na kościół—zburzyć cały szereg prastarych domów przy ulicy Świętojańskiej, wprost Katedry... Niestety! zapomnieli o najważniejszym: że dzisiejsze czoło kościoła Ś. Jana nie liczy nawet jednego stulecia, i że poświęcać dla niego kilkanaście kamienie, z których każda po kilka stuleci liczy i jest pamiątką drogocenną, byłoby nietylko zbrodnią, lecz i — głupstwem.

Co najwyżej, możnaby przywrócić dawny stan rzeczy, który różnił się od dzisiejszego tem, że pozwalał przyglądać się Katedrze z odpowiedniego oddalenia. Oto bowiem pilniejsze poszukiwania dowodzą, że praojcowie nie byli tak nieprzezorni, jak to się wydaje praprawnikom, i że w bardzo odległych już czasach przeprowadzili wprost Katedry—ulicę.

Ta ulica (o której dotąd żaden z historyografów Warszawy nie wspomniał), w poło-

wie w. XVII, to jest w porze największych zamieszek w kraju i największych nieporządków w stolicy, została częściowo zabudowana. Skarżyć się na to musieli obywatele, gdyż na sejmie r. 1677 uchwalono konstytucję tej treści:

„Szpitala Ś. Łazarza w Warszawie własne kamienice i domy z gruntami *in rem pauperum* nabyte, *ab onere ferendi hospitis ex officio in perpetuum* uwolniono, i przywilej na terazniejszym sejmie *eo nomine* dany, *in toto* aprobowano. Przytym uliczkę *juris publici*, kamienicy Brackiej tegoż szpitala przyległą, *ex opposito* kościołów Ś. Jana i Ś. Marcina do tejże kamienice wiecznie przyłączono i inkorporowano, z tą deklaracją, aby, *pro majori commoditate*, wolne we dnie przejście ludziom do kościołów pomienionych na nabożeństwo chodzącym, sporządzone było“.

Ślad tej ulicy, która z czasem, przy wielkim natłoku domów w dzielnicy Staromiejskiej, stała się „uliczką“—dochował się i w „Taryfie Łokciowego“ (z r. 1784), obfitującej w ważne i cenne szczegóły.

Czytamy tam przy opisie ulicy Świętojańskiej co następuje:

„Nr. 18. Kamienica do Szpitala Ś. Łazarza należąca, łokci 18 c. 1. Rachując w to uliczkę, zamkniętą dla przechodu, łokci 5 i pół trzymającą, nad którą są mieszkania“.

Już zatem w w. XVIII warunku zastrzeżonego konstytucją sejmową nie dotrzymywano. Uliczka została bezprawnie zamknięta, a potem zagrodzona murem i całkowicie zabudowana.

Gdyby ją przywrócono miastu, stałoby się to z korzyścią nie tylko dla estetyki, lecz i dla słuszności.

Usilna. O ulicy Usilnej wiemy tylko, że znajdowała się w pobliżu klasztoru Bernardynów na Przedmieściu Krakowskim i była wązkim przesmykiem pomiędzy klasztorem a sąsiadującymi z nim ogrodami.

Wązkie Przedmieście Krakowskie. Jeszcze je pamiętają starsi mieszkańcy Warszawy. Istniało tam, gdzie dziś zieleniec z pomnikiem Mickiewicza. Miało postać wysepki, ujętej w dwa rozwidlone a następnie łączące się ze sobą, ramiona właściwego Przedmieścia Krakowskiego.

Właściwie tylko jedno ramię (lewe, idące od kolumny Zygmunta) było „Wązkim Krakowskim“; drugie zaliczało się do Dziekanki. Jednakże ową „wysepkę“ tworzyły wyłącznie domy, do Przedmieścia Krakowskiego należące. Było ich ogółem *piętnaście* (nr. 371 do 385).

Awangardę tego szeregu domów stanowiły dwie posesye, silnie naprzód (w stronę placu Zamkowego) wysunięte i oddzielone od

pozostałych przedłużającą się w tem miejscu ulicą Bednarską.

Były to numery 371 i 372—oba w dzielnicach Warszawy pamiętne.

W drugiej połowie w. XVIII, pod nr. 371 zapisywano „kamienicę pani Lalie“, a pod 372: „kamienicę Wasilewskiego“.

Krótką kronikę tej ostatniej podał „Kuryer Warszawski“ w r. 1830 (nr. 200), z powodu, że ten „obszerny dom, dotąd zwany Wasilewskich, przez nowego dziedzica został podwyższony i otrzymać ma nową postać“.

Z opisu „Kuryera“ bierzemy najważniejsze szczegóły.

Dom, o którym mowa, został wybudowany w r. 1767 przez Józefa Seweryna Wasilewskiego, „konsyliarza króla Stanisława Augusta“, podług planu architekta Hiża, pod dyrekcją konduktora Szyca (Schütz), na gruncie szlacheckim, do biskupa krakowskiego należącym. Poprzednio stał w tem miejscu dworek drewniany na podmurowaniu, w którym mieściła się jedyna wówczas na całą Warszawę „traktyernia“.

Pierwszą lokatorką nowego, ozdobnego domu była księżna Sapieżyńska (z Branickich). Następnie dom został zajęty na Poczty (przeniesioną następnie do pałacu Bryłowskiego). Po przeniesieniu Poczty, w domu Wasilewskiego zamieszkał Rybiński, biskup ka-

jawski, a po nim bankier Kabryt, płacący za pierwsze piętro 1,500 dukatów, co było czynszem na owe czasy niesłychanym.

Potem osiada w tym domu najznakomitszy z jego mieszkańców: biskup Ignacy Kraśnicki. Odbywały się u niego co tydzień tak zwane „wieczory uczone“, na których ksiądz biskup „obecny literatom, uświetniającym wiek Stanisława Augusta, odczytywał swe dzieła; często na takie wieczory i sam król przybywał“.

Późniejszymi lokatorami słynnego domu są: biskup Massalski i Kollątaj, podkanclerzy koronny „który, w tym domu mieszkając, wydał wszystkie swoje pisma, tak chlubnie przez Polaków wspominane“.

W roku 1801 mieszkał tu król francuski Ludwik XVIII, pod nazwiskiem księcia de Lille, z całym swym dworem.

Z późniejszych znakomitszych „lokatorów“ wymienić trzeba: hr. Feliksa Potockiego, księcia Giedrojeja, generała dywizyi, i księcia Pawła Sapiechę.

W r. 1830 właścicielem domu Wasilewskich został Malez, doktor medycyny i chirurgii.

Uzupełnijmy tę notatkę szczegółem, że, jakkolwiek do ostatniej chwili warszawianie nazywali tę posesyę „dom Maleza“, właściciel jej posiadaczem, bezpośrednio przed roz-

rzuceniem, był Samuel Orgelbrand, głośny księgarz i wydawca, który miał tu swą księgarnię oraz zakłady drukarskie.

Wesoła. Zajęta pod Cytadelę. Biegła równolegle do Wisły, pomiędzy Szymanowską a Żyzną. Ta ulica, pełna pustek, dołów i kałuż, trudno zgadnąć, od czego miano swe otrzymała. Nie czyniła jej chyba „wesołą“ okoliczność, że przy niej w ostatnich latach Rzeczypospolitej, w dworku miejskim (do „Miasta Starej Warszawy“ należącym) pod nr. 2122 mieszkał „mistrz sprawiedliwości“, czyli... kat.

Prócz „mistrza“ mieli tam dworki i ogrody: Sokoliński, Tomaszewski, Gzowski, Tymiński, Topczewski i Kapuściński. Prócz nich niejaki Krynicki posiadał pod nr. 2127... „budę“ (tak zapisano i w rękopiśmiennej i w drukowanej taryfie z r. 1784).

Ulica Wesoła miała szerokości 21 łokci, 3 cale.

Jeszcze w r. 1844 zapisywano przy tej ulicy 4 posesye prywatne oraz jedną „miasta Warszawy“. Ostatnią była ta, którą zamieszkiwał niegdyś „mistrz sprawiedliwości“.

Więzienna. Zapisana w taryfie z roku 1844 z objaśnieniem: „Na tę ulicę wychodzą boki posesyj nr. 2351, 2360 i 2361“. Pierwsza z tych posesyj znajduje się przy ulicy Pawiej, dwie ostatnie przy ul. Dzielnej.

Wjazd albo **Wjazd do posesyi.** O tej uliczce wspominają jedynie taryfy rękopiśmienne.

Przy „Wjeździe“ wymienione są tylko dwa numery hipoteczne: 1791 i 1792 — dziś połączone w jeden i zapisywane przy ulicy Ciasnej.

Taryfa z roku 1784 nazywa tę uliczkę: „Uliczka czyli Wjazd do Stajen Dulfasa“, i oznacza jej szerokość na 12 łokci 2 cale.

Jak się zdaje, z „Wjazdu“, rozszerzonego i zabudowanego, utworzyła się z czasem dzisiejsza Ciasna.

Wodna. Mała uliczka, zaledwie warta wzmianki, a jednak na starych planach z nazwiska wymieniana. Leżała nad samą Wisłą, biegnąc do niej prostopadle od Bugaja i stanowiąc jakby przedłużenie Kamiennych Schodków.

Żadnego oddzielnego numeru hipotecznego uliczka Wodna nie posiadała. Wychodziły na nią boki dwóch domów murowanych: nr. 2602 (oficyna „austeryi“ na Bugaju) i nr. 2603 (oficyna murowana, dworek i stajnie na tejże ulicy). Szerokości miała 11 łokci, 2 cale.

Żadna z taryf drukowanych ulicy Wodnej nie wymienia. Natomiast zapisywana jest w nich ulica tego nazwiska na Pradze.

Wygoda. Mały, choć niezbyt wązki (20 łokci) zaułek, łączący niegdyś ulicę Chłodną z Ogrodową, w pobliżu Białej.

Taryfa rękopiśmienna tak mówi o tej uliczce:

„Ulica *Wygoda*. Bok dworku *ad* nr. 775 (Elektoralna, dworek Hencla). Szerokość ul. Chłodnej 38 ł. 2 c. Druga strona ulicy *Wygody*. Bok dworku *ad* nr. 891 (Chłodna, dworek Horalika, mydlarza). Szerokość ul. Elektoralnej 24 ł. 2 c.“

Wygon. Ostatnia z ulic, które po roku 1832 istnieć przestały.

Wychodziła z Bonifraterskiej, wprost dzisiejszej uliczki Przebieg i, biegnąc prostopadłe do Wisły, łączyła się z Zakroczymską w samym jej końcu.

Ulica Wygon obejmowała sześć posesyj (nr. 2184 do 2189), z pomiędzy których wyróżniały się: dworek Wolskiego i kamienica Sielskiego.

Znajdował się przy tej ulicy jeden staw duży i dwa mniejsze, będące ongi zbiornikami wody, dostarczanej za pomocą rur drewnianych całej dzielnicy Nowomiejskiej.

Ślad owego wodociągu zachował się w lustracyi z roku 1660, gdzie czytamy:

„*Wygon mieyski* a na nim *rzapie* (tyleż co rezerwoary), z których woda do miasta Nowey Warszawy idzie y bydło wyganiaią“.

Ostatnia wzmianka wskazuje nam początek tej ulicy, oraz źródłosłów jej nazwy.

W wieku XVII i weześniej był tu w samej rzeczy „wygon“ albo „stegno“ (*expulsorium civile*), z którego użytkowali obywatele Nowej Warszawy, na mocy przywileju króla Jana Kazimierza.

Ulica Wygon miała szerokości 27 łokci.

Wyjazd. Nazwa tej uliczki zaginęła w pamięci warszawian weześniej, niż ona sama. Gdy przed kilkunastu laty rozrzucano na rogu Długiej i Nalewek tak zwane „Warstwy artyleryjskie“, mieszczące się w murach dawnego kościoła i klasztoru PP. Brygidek, dotykający do tych murów zaulek od strony ulicy Długiej oznaczano — w mowie potocznej, w dziennikach i aktach urzędowych—mianem: „uliczka bez nazwy“.

W istocie „Wyjazd“ nie występuje na liście ulic w żadnej z taryf drukowanych, czyni tylko o niej krótką wzmiankę taryfa Gläcksberga z roku 1832. W zamieszczonej na końcu tej taryfy „Wiadomości o dawnych ulicach, terażniejszym spisem nie objętych, z akt urzędu municypalnego wypisanych“, czytamy między innymi:

„*Wyjazd* za posesyami 561, 562 i t. d.“

W swej ostatniej postaci, częściowo do dnia dzisiejszego dochowanej, dawna uliczka była już tylko załkiem ślepym, to znaczy bez wyjścia, które zagrodzono w połowie wieku

XVIII przez wzniesienie poprzecznej oficyny pałacu Ogińskich. Przedtem uliczka dochodziła do dzisiejszego ogrodu Krasińskiego, a gdy nie było tam jeszcze ogrodu, szła dalej, łącząc się z ulicą Wałową. Gdy otoczono ogród murem, kierunek jej zmienił się i miała wyjście na Nalewki.

Opis ulicy Wyjazd w Taryfie Łokciowego jest następujący:

„Ulica *Wyjazd*, zaczynając od ul. Długiej na prawo. Bok dworku *ad* nr. 552 (ul. Długa, dwor. Mateckiego). Dworek PP. Brygidek *ad* nr. 561 (pod tym numerem przy ul. Długiej zapisano: Mur PP. Brygidek od „Ogińskiego“ do ul. Długiej; mur klasztoru; ementarz z wejściem do kościoła z załamkiem). Mur od ogrodu z wyjazdem *ad* nr. 561. Druga strona ulicy *Wyjazd*, zaczynając od ulicy Długiej na lewo. Bok Arsenala *ad* nr. 563. Tył stajen i wozowni. Szerokość ulicy *Przejazd* (zapewne *Nalewek*) 30 łokci. Bok ogrodu z załamkiem *ad* nr. 2235 (na *Nalewkach*: „Magazyn Karowy z wyjazdem i oficyną“).

Ulica *Wyjazd* miała szerokości 28 ł. 2 c.

Głównym a po części i jedynym gmachem, w tem miejscu stojącym, był wspomniany już pałac Ogińskich. Pozostawał kolejno w posiadaniu Łyszkiewicza, Czackowskiego, Hallmana, Aloy i Karolego — jednak pamięć pierwszego przetrwała nadłóżej.

Jeszcze w drugiej połowie zeszłego wieku nazywano to miejsce „Ogińskie“.

Zatyłki. Część tej ulicy nosi dziś nazwę „Mirowska“; dawniej oznaczano tą nazwą całą przestrzeń, leżącą poza Koszarami Mirowskimi. Urzędownie „Zatyłki“ obejmowały w r. 1784 posesyi siedem (935—941), a w roku 1844 o trzy posesye więcej (do 944).

Taryfa Łokciowego wymienia przy tej ulicy tylko sześć numerów hipotecznych, z których ostatni jest „placem pustym w kwestyi z Dekertem“. Zresztą są tam same dworki: Rajtego kowala, Szulea puszkarza, Franza (dwa) i Dekerta.

Zatyłki, dotyczące ulicy Krzywokolnej, należały do jurydyki Wielopole. W początkach ani kierunek ani granice obu tych ulic nie były ściśle oznaczone i dawały powód do sporów pnlicyjnych i sądowych. Uwydatnia się to nawet w Taryfie Łokciowego, która, odznaczając się zwykle wielką ścisłością wysłownia, mówi o Zatyłkach niejasno: „W tyle Koszar uliczka *ma się zwać* Zatyłki“.

Zawrót. W czasach, gdy jeszcze Starą Warszawę otaczał mur obronny (właściwie dwa mury: zewnętrzny i wewnętrzny), dzisiejszy Zapiecek leżał już *extra muros* i był raczej uliczką, niż placem. Po lewej ręce, idąc od Podwala, wznosił się tam wówczas wielki budynek, zajmujący więcej, niż dwie trzecie

dzisiejszego placu. Niezabudowana przestrzeń tworzyła rodzaj uliczki, która, wyginając się zygzakowato, prowadziła do ulicy Piekarskiej. Ta uliczka (zapewne z powodu, że na niej wozy kilkakrotnie „zawracać“ musiały) nazywała się „Zawrót“. Jeździły tą uliczką głównie wozy, dostawiające zboże do młynów, tuż przy murze stojących, oraz rozwożące mąkę piekarzom, osiadłym przy ulicy Piekarskiej.

Niejaki ślad ulicy „Zawrót“ dochował się jedynie w Taryfie Łokciowego, gdzie czytamy:

„Uliczka *Zawrót*, od ulicy Ślepej zaczynając. Bok kamienicy *ad* nr. 323. Bok placu *ad* nr. 324“.

Tamże szerokość jej oznaczono na 10 łokci 3 cale.

Zazdrość. Tak się nazywał za Stanisława Augusta plac w okolicy Belwederu, nieopodal Wisły. Wał, sypany za rządów tego króla a mający na celu obronę miasta przed epidemią dżamy, zataczał olbrzymi łuk, którego jeden koniec opierał się o Wisłę, przy tej właśnie „Zazdrości“, drugi zaś dosięgał rzeki przy folwarku Pólków.

Zdrojowa. Leżała przy samym końcu ulicy Zakroczymskiej (niegdyś przeszło dwukrotnie dłuższej, niż obecnie), pomiędzy ulicami: Gwardyi, Spadkiem i Skąpą.

Nazwę swą brała od źródła, dotąd istniejącego (z nadmurowaniem w stylu maurytańskim, wzniesionem przez króla Stanisława Augusta).

Nie było przy tej ulicy ani jednego numeru hipotecznego. Wychodziły na nią boki dworków i kamienie: nr. 1964, 1965, 1969 i 1844,

Taryfa Łokciowego zapisała przy ulicy Zdrojowej szczegół ciekawy: „Plac pusty, lipami wysadzany do spaceru, aż po Kanapę kamienną“. To miejsce przechadzki obejmowało 78 łokci frontu.

Zdrowa. Istniała w okolicy dzisiejszego szpitala, niegdyś „pałacu“ i „zamka“ — Ujazdowskiego. Prowadziła od ulicy Pięknej do „Kanału Łazienkowskiego“.

Budynków żadnych przy tej ulicy nie było—właściwie zatem miała prawo tylko do tytułu „drogi“, czy też „alei“.

Z jednej strony ulicy Zdrowej ciągnął się „bok ogrodu oparkanionego *ad* nr. 1755“ (ul. Piękna, pałac z oficynami i wjazdem księcia St. Poniatowskiego), oraz „doły i góry do Ujazdowa należące“. Drugą stronę wypełniał „bok Łazienek i placu pastego aż do cegielni“, oraz „bok placu i cegielni Najjaśniejszego Pana“ (króla Stanisława Augusta).

Zielona. W grupie ulic, które zniesiono przy budowie Cytadeli, Zielona należała do największych. Biegąc w kierunku mniej wię-

cej równoległym do Wisły, brała początek przy ulicy Inflanckiej i docierała niemal do samych okopów. Przecinały ją lub zbiegały się z nią ulice: Gwardyjska, Szymanowska, Tania, Żółwia, Sucha i Żyzna.

W drugiej połowie wieku XVIII, przy ulicy Zielonej zapisywano 27 posesyj. W ich liczbie był jeden pałac (Ossolińskich) i jedna kamienica (Tomaszewskiego) — zresztą same „dworki“.

W roku 1832 liczba posesyj wzrosła o jedną. Miejsce pałacu Ossolińskich (później Borysławskiego) zajął „Szpital wyznania Mojżeszowego“, a zamiast jednej kamienicy widzimy ich pięć.

W roku 1844 ilość posesyj przy tej ulicy maleje do trzynastu; reszta jest zapisywana jako „plac miasta Warszawy, zajęte na Cytafelę Aleksandrowską“.

Taryfa Łokeiowego podaje o ulicy Zielonej ten tylko ciekawy szczegół, że jeden ze stojących przy niej dworków (nr. 2083) należał do „Léda (Ledoux), murzyna“.

Szerokość ulicy Zielonej wynosiła 28 łokci.

Zjawienie. Ulica tego nazwiska istniała w wieku XVII. Mówi o niej Jarzębski w swym „Gościńcu“:

Zjawienie, ulica naprzeciw Folwarków.

A Zjawienie w drugą stronę
Od Folwarków ma obronę;

Tam są domy w przestronności
Na górze i w osobności.

Ponieważ jest tu mowa o „Folwarkach miejskich“, które leżały przy zbiegu dzisiejszej Świętokrzyskiej z Nowym Światem, więc „Zjawienie“ znajdować się musiało mniej więcej w tem miejscu, gdzie dzisiejsza Aleksandrya.

Żółwia. Ta mała uliczka, pod Cytadelę zajęta, zaciekawiała jedynie nazwą, której źródłostwa dojść trudno. Poza tem nie było na niej nic ciekawego.

Cztery dworki i jedna kamieniczka stanowiły ogół zabudowań ulicy Żółwiej.

Taryfa Łokeiowego, wymieniwszy te kilka posesyj, dodaje wymownie: „Reszta tej ulicy wprost aż do ulicy Kłopot — doły głębokie, wodą zalane“.

Żydowska (zob. „Abrahamowska“).

Żyzna. Wychodziła z „Faworów“, wprost Koszar Gwardyjskich i biegła w kierunku prawie prostopadłym do Wisły. Kończyła się przy ulicy Wesołej. Zbiegały się z nią ulice: Zielona i Śmiała.

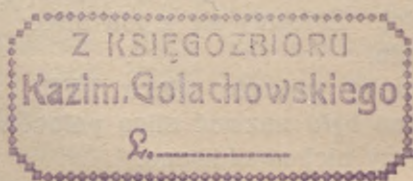
W drugiej połowie wieku XVIII, ulicę Żyzną można było nazwać ulicą pałaców, tak wiele ich przy niej zbudowano.

Mieli tu pałace (wszystkie z ogrodami i stawami): Mostowski (później Rautenstrauch),

Skopowski, Sapieha (później Chartron), bankier Blank (później Korytowski), bankier Kabryt (później Roman) i inni.

Mimo swej barwy wielkopańskiej, ulica Żyzna nie należała do szerokich. Liczyła zaledwie 20 łokci koronnych szerokości.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



Prof. Kazimierz Golachowski
 Nowy Sącz ul. Kościuszki ł. 11/1 p.

15.61

TREŚĆ TOMU I-go.

	<i>Str.</i>
O Warszawie jako stolicy kraju	I
O kamienicach w Rynku Staromiejskim	67
Z przeszłości ulic i uliczek warszawskich:	
1. O nieistniejących dziś nazwach ulic	213
2. O nieistniejących dziś ulicach	240

6-98.

Z KSIĘGOTWÓRNI
Kazim. Golaczewskiego

L.....

BIBLIC

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



I-301694

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000296996